

Stanisław Rogala

Nocne czuwanie



Stanisław Rogala

Nocne
czuwanie

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Warszawa 1982

Opracowanie graficzne

Brefjes Jacobus

Redaktor techniczny

Joanna Zaleska

Korektor

Krystyna Sobieraj

ISBN 83-205-3348-1

Copyright by Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

Warszawa 1982

Wydanie I.

Nakład 10 000+330 egz.

Pap, druk, mat, ki. V, 70 g, b92X114.

Oddano do składania 13II1981 r.

Podpisano do druku 13X11981 r.

Druk ukończono w styczniu 1982 r.

Ark, wyd. 7,75; ark, druk. 12,5.

Olsztyńskie Zakłady Graficzne im. S. Pięńżnego,

10-417 Olsztyn,

ul. Towarowa 2.

Zam, nr 408/Z L-24

Cena zł 58,—

Konie rozbiegły się po łące. Chyżo zanurzają chrapy w trawie, drobia spętłonymi nogami, cicho rżą.

Leżymy pod płaczącą wierzbą, palimy papierosy i obserwujemy konie. Jest nas czterech. Najstarszy Lucjan. Pod pięćdziesiątkę już mu będzie. Nieco uniósł głowę, podparł ją ręką i ogląda łąkę w zapadającym mroku. Jego niewielka gospodarka — trzy bruzdy i sześć miedz — podzielona na kawałki i porozrzucana po wiosce, nie może wyżywić sześciu gąb. Lucjan przygotowuje się więc do nowego życia. Chce wyjechać, przenieść się do dużego miasta. Już wyprzedził wszystko. Tylko z koniem nie może się rozstać. Ciągłe obiecuje, że jutro już go nie będzie. Rano, skoro tylko zjedzie z łąki, zaprowadzi konia do Lochy lub sołtysa, weźmie pieniądze i zniknie. Wieczorem nie pojawi się pod płaczącą wierzbą. Na próżno będziemy go oczekiwać. Nie wierzymy Lucjanowi, bo codziennie śpiewa tę samą śpiewkę. Nawet już kilkakrotnie się żegnał. Popiliśmy zdrowo, pośpiewali pieśni, długo obcałowywali i żalność rozstania topili w łzach. A Lucjan pojawiał się następnego wieczoru i znów zapewniał, że to ostatnie nocne czuwanie. Kilka razy przychodziła po niego żona. Urządzała awanturę na całą łąkę. Klękał przed nią i bijąc się w

piersi przysięgał, że to jego ostatnia noc. Ukontentowana baba odchodziła. Stachu Marzec siekierą mu się odgrażał. Tamtej wiosny wzenił się w bogatą rodzinę. Po kilku miesiącach świekra przewróciła na niego oczy i życie nie daje. Zadatkował dom Lucjana, ale ten nie może się zdecydować na wyjazd. Zwleka z dnia na dzień.

Koń Lucjana piękny. Łeb mały. Przez środek czoła od uszu do ślepiów prowadzi biała strzałka, jakby chciała wskazywać na duże chrapy. Cienka szyja ukoronowana puszystą grzywą przechodzi w muskularną pierś podpartą dwoma smukłymi nogami. Dalej grzbiet lekko wygięty niczym siodło dokładnie dopasowane do jeźdźca i smukły zad przedłużony welonem ogona. Tylne nogi w kształcie „s” nieustannie drżą, w każdej chwili gotowe do skoku. Do tego maść. Ciemny brąz grzbietu przybiera na nogach odcień mlecznej kawy i mocno lśni. Nad ranem, gdy nad łąką zawisa obłok rosy, skóra staje się czarna, a biała strzałka świeci jak prawdziwy drogowskaz.

Wszystkim bardzo podoba się koń Lucjana, a już najbardziej młodemu Matiasowi, który chętnie zamieniłby go za motor, jeszcze kilka „górali” dołożył, nawet wódkę postawił. Lucjan jest jednak uparty. Nie chce sprzedać konia dorobkiewiczowi, co to na świniach się wzbogacił i wykupił pół wioski. Objeżdżając wielkie gospodarstwo, mógłby zajeździć konia. Niech lepiej Matias motorem po wertepach się trzęsie. Koń również Stachowi Marcowi bardzo się podoba, ale nie stać go na taki luksus. Ledwie zadatkował chałupę. Wszystkim nam podoba się koń Lucjana.

Ciągle porównujemy go z naszymi chudymi i pokracznymi szkapami i nie możemy się nadziwić jego urodzie. Tylko przez zazdrość nie okazujemy uczuć, nie wpadamy w szal uniesienia.

Obok Lucjana leży Kurde Felek. Felek przy byle okazji powtarza to „kurde”, jakby się upajał swoim nazwiskiem albo wymyślił sobie takie powiedzonko. W szkole nauczyciele zwracali się do niego przez Felek Burski. Jednak dawne to czasy i niewiele zachowało się z nich w pamięci. Więc Kurde. Leży obok Lucjana. Zerwał z wierzby niewielką gałąź i majstruje z niej piszczalkę. Papieros zgaśł. Zapomniał o nim. Cały pochłonięty jest ściąganiem skóry z gałęzi, tak żeby nie przerwać włókien. W ustach Kurde będzie to doskonały instrument. Najtrudniejsze śpiewki na nim wygra. Pszczoły będą krążyć nad kwiatami, nieco wyżej motyle przelatywać, a pod niebem przyczai się skowronek. Wiatr zaszeleści w liściach i spadnie rześisty deszcz. Na niebie pojawią się tęcza i słońko. Pastusi wypędzą krowy na pastwisko, a pod wieczór my wyjdziemy z końmi na łąkę. Na głowach naszych przysiądą gwiazdy, a księżyc będzie zaglądał do oczu i płakał wielkimi kroplami. Nieraz zaśniemy i mroczne sny nas otoczą albo panna wyjdzie z wody, zarzuci na głowę przezroczysty welon i będzie tańczyć po lśniącej trawie. Takie jest granie Kurde Felka. Leżymy więc nieruchomo, spokojnie palimy papierosy, ukradkiem chwytny oddechy, żeby tylko nie spłoszyć muzyka i nie zepsuć jego misternej roboty. Nawet konie, nie chcąc przeszkadzać, znacznie się oddaliły. Nie

słysząc chrzęstu zrywanej trawy ani parskania. Jest wielka cisza. Tylko rzeka szemrze coraz głośniejsze, jakby zazdrosna była o granie Felka i usiłowała tym szmerem przeszkodzić mu w pracy.

Tuż obok Kurde Felka leży Marian Suchoń. Uważnie obserwuje szybkie ruchy rąk muzyka. Marian nie ma swojego konia i dziwimy się, dlaczego przesiaduje z nami całą noc? Często za pieskie pieniądze, za miskę gotowanej stawy albo za kieliszek wódki wynajmuje się do opieki nad końmi sąsiadów. Rzadko się odzywa, nieraz wypowie tylko parę słów, ledwie kilka sylab. Zwykle siedzi i z wielkim zainteresowaniem, które można wyczytać z wibrujących oczu albo skaczącej szczęki, przysłuchuje się naszym rozmowom. Gorliwie wypełnia wszystkie polecenia, nawet przez wodę się przeprawia, gdy któryś z koni przejdzie na łąkę po drugiej stronie rzeki. Marian jest uczynny i dyskretny. Z powodu jąkania wypowiedzenie jednego słowa przychodzi mu z wielką trudnością. Niewiele osób ma cierpliwość słuchać do końca jego jądlenia. Nam nieraz udaje się ta sztuczka, za co Marian jest szczególnie wdzięczny.

Obok Mariana leżę ja. Właściwie to pół leżę, pół siedzę. Plecy moje oparte o pień wierzby, tylko nogi wyciągnięte na derce. Opiekuję się koniem ojca. To znaczy, pod pretekstem opieki przesiaduję z chłopakami. Mam niby wakacje. Dla ojca, dla matki i kumpli mam wakacje. Nikt z nich nie wie przecież, kiedy zaczynają się one naprawdę, a kiedy na niby. Dla mnie właśnie zaczęły się na niby. No cóż... zawałem dwa egzaminy, do trzeciego nie było co podchodzić. Egzaminy wydawały się wyjątkowo łatwe,

dlatego potraktowałem je z lekkim sercem. Literatura powszechna wobec mojego dużego odczytania powinna być pestką, pokazała jednak rogi, które przy historii filozofii rozrosły się w całe poroże. Gdyby jeszcze poetyka dołożyła swoje, musiałbym powtarzać rok. Nie mogłem chwycić byka za rogi i powalić go na ziemię. Musiałem udać się do znajomego psychiatry i zdobyć zaświadczenie, że moje władze umysłowe są już tak wyczerpane, iż dalsza nauka może okazać się zgubna. Przełożyłem ostatni egzamin. Mam nadzieję, że po kilku dniach siądę do książek i wkuję, co należy. Towarzystwo koniopasów odpowiada mi. Nauczyłem się już objąć, a przecież siedzenie pod płaczącą wierzbą to jedno wielkie objęcie. Na ziemi rozciągnięte grube derki, na derkach my. Siedzę na jednej z nich oparty o pień płaczącej wierzbki i niby jestem na łące. Oczy szeroko otwarte i zwrócone na Kurde Felka. Usta rozchyłone, gotowe w każdej chwili rozmawiać. Myśli skupione na łące, na kumplach i na płaczącej wierzbce. Tylko uszy i oczy... W uszach ciągle obecny krzyk ojca. W oczach, chociaż zwrócone na Kurde Felka, nieustannie widzę ojca stojącego w ogrodzie między dwoma kikutami uschniętych drzew. Patrzy na łąkę, kiwa ręką i woła, że bym zawrócił, zaniechał wariackich harców na koniu. Stoi tak od szeregu dni. W lewej ręce trzyma siekiere. Nie wygraża nią, trzyma ostrzem w kierunku ziemi. Właściwie nawet nie krzyczy, woła, prosi, że bym zawrócił i pomógł przy ociosywaniu sosnowych pni. Z każdym dniem ojciec kurczy się, wrasta w ziemię porośniętą zrobaczywiałymi jabłkami, zamienia się w świątko. Ciągle go słyszę i widzę

zakrytego konarami drzew, przyszpilonego do ziemi moim odjazdem, a przecież jestem na łące pod płaczącą wierzbą.

Obok nas, a właściwie w odległości kilometra, półtora wioska. Przycupnęła na zboczu góry podłużnym cieniem jak zając przy miedzy i wolno pogrąża się w mroku. Jej całodzienne chodzenie po polu, rozwiązywanie dużych i małych problemów zamienia się w krzątanie po zagrodach, w powolne chodzenie między garnkami i przygotowywanie ostatnich posiłków. Zmęczone ręce leniwie obmywają twarze, ścielą łóżka. Wioska przygotowuje się do nocnego polegiwania.

Leżymy więc na derkach i w wielkim skupieniu palimy papierosy. Nieraz spoglądamy na konie, które skubią trawę, rżą z cicha i liżą się po grzbietach. Gdy rozproszą się bardzo, któryś z nas idzie i spędza je w stado. Czynność tę wykonujemy w ustalonej kolejności. Tylko Lucjan opuszcza kolejkę, wyznacza na swoje miejsce Mariana. Rozmawiamy, patrzymy w niebo albo wsłuchujemy się w łąkę. Nieraz za darmo znajdzie się rozrywka. Locha przyniesie butelkę wina, bo zależy mu na koniu Lucjana, i poczęstunkiem chce nakłonić go do ostatecznej decyzji. Kurde Felek tak zagra na wierzbowej fujarce, że nogi same rwą się do tańca. Szkoda tylko, że nie ma dziewczyn. Radzimy sobie i bez nich. Marian świetnie piecze ziemniaki. W sztuce kulinarnej nie dorównałaby mu piękna Jola z okienka w stołówce studenckiej. Nawet nasza bajzel-mama, właścicielka stacji Józka, miałaby wielkie kłopoty z dorównaniem mu. Również doskonale miesza spirytus

ze źródlaną wodą. Robi to lepiej od Kacpra, u którego za marne pieniądze kupowaliśmy bimber. Towarzystwo, w które wpadłem na skutek przedwczesnych wakacji, usiłuje zastąpić doborową paczkę studencką. W innej sytuacji gardziłbym nim, a co najmniej czułbym się głupio. Tutaj jednak to najbardziej odpowiednie towarzystwo dla mnie. Obieżyświaty i pędziwiatry. Ojciec dziwi się i jest niezadowolony, że przestaję z nimi. Przez kilka wieczorów głośno protestował i nie pozwalał brać konia. Chodziło mu głównie o Lucjana. Nie rozumiałem argumentów ojca ani jego obaw. Nie rozumiałem również zachęceń, bym chodził do klubu, do którego często przychodziła nowa nauczycielka. Poszedłem raz, drugi, ale panna o wielkich cycach i spleaszczonym nosie nie przypadła mi do gustu. Powiedziałem o tym ojcu.

— Przecież skończyła wysoką szkołę? Pasowalibyście do siebie jak łyżka do strawy, zboże do ziemi...

— Może, ale kto by zorał tyle jałowizny? — wulgarnie skwitowałem zalecanki ojca.

Zrozumiał, że nie pozwolę sobie wybierać panny na żonę, i umilkł. Gdy ostatni raz ponowiłem prośbę o konia, nie odezwał się. Uznałem to za zgodę.

Mój pierwszy wyjazd na łąkę był wspaniały. Chociaż dzieliła mnie od niej tylko kilkudziesięciometrowa odległość, postanowiłem dosiąść deresza. Nie miałem siodła ani strzemion. Nie przywiązywałem do tego wagi. Nasz koń był wyjątkowo spokojny i można było wyprawiać na nim najróżniejsze harce. Dosiadłem go na oklep.

Pogłaskałem po szyi, chwyciłem za uzdę i uderzyłem piętami po brzuchu. Obejrzał się na prawo, potem na lewo i z wielką niechęcią ruszył noga za nogą. Ojciec przerwał ociosywanie pnia, wyprostował się i patrzył na nas. Uderzyłem konia jeszcze raz. Nie zareagował. Wtedy zacząłem z całych sił walić go piętami po brzuchu i okładać lejcami po szyi. Nagle szarpnął. Gdyby nie uzda, wywinąłbym kozła. Ruszyliśmy przez podwórko, przez ogród. Ojciec postępował za nami. Uderzyłem deresza jeszcze raz i jeszcze. Przeszedł w kłus. Przywarłem całym ciałem do jego grzbietu. Nogami kurczowo trzymałem się brzucha, a rękami szyi. Zaświstało mi w uszach, w kąciakach oczu zaczęły migać drzewa ogrodu, a ziemia uciekać spod kopyt. Wypadliśmy na łąkę. Koń zakręcił i pognał wzdłuż pól. Obejrzałem się. Ojciec stał pośrodku ogrodu w sąsiedztwie opalonego kikuta starej gruszy i uschniętej jabłoni. Na ich tle podobny był do odziomka wysoko podciętego, któremu już niedane jest zakwitnąć ani wypuścić nowego pędu. Kiwał na mnie ręką, wołał, żebym zawrócił. Prosił. Nie zwracałem uwagi na jego gesty, nie słyszałem słów. W uszach świstało, ręce zajęte były koniem, nad którym nie miałem władzy. Deresz nie reagował na szarpnięcia lejcami. Nóg bałem się oderwać od brzucha, mogłem wywinąć kozła. Pędziliśmy tak długo. Na horyzoncie zaczęły majaczyć góry, które zamykają dolinę od południowej strony. Półmrok dodatkowo je powiększał i stawały się wielkoludami stojącymi na straży bezpieczeństwa naszej okolicy. Koń wyraźnie kierował się na nie. Usiłowałem

przerwać jego szaleńczy bieg, zawrócić w stronę płaczącej wierzby. Bez skutku. Oczy łzawiły od wiatru i niewiele widziałem. W uszach narastał świst. Rozgrzane w ciągu dnia ciało gwałtownie stygło. Już obejmował je ostry chłód. Obnażone części pokrywały się gęsią skórką. Wreszcie po niekończących się próbach udało mi się zmienić kierunek naszego biegu. Zawracaliśmy po dużym łuku. Koń pędził teraz wzdłuż rzeki. Kopyta jego grzęzły w miękkiej trawie, co jednak nie zmniejszyło szybkości biegu. Śmigaliśmy między niskimi olszynami, krzaki wikliny pokonywaliśmy skokami. Nim na niebie pojawił się księżyc, byliśmy przy płaczącej wierzbie. Lucjan, Marian, Kurde Felek i jeszcze kilku chłopaków stali obok drzewa i przyglądali się mojej eskapadzie. Byli pewni, że koń mnie poniósł. Lucjan nawet już chciał dosiąść swojego gniadosza i pędzić za mną. Powstrzymał go Kurde Felek. Gdy pojawiłem się od strony rzeki, byli bardzo zdziwieni. Zeskoczyłem na ziemię i zrobiłem kilka przysiadów dla rozprostowania nóg. Dereszem zajął się Marian. Przetarł go garścią trawy i nie pozwalał zbliżyć się do rzeki. Lucjan mocno uścisnął mi rękę i pocałował w policzek. Był to z jego strony największy gest uznania. Wiedziałem o tym wcześniej i pocałunek przyjąłem z wielkim honorem. Kurde Felek kilkakrotnie poklepał mnie po plecach i obiecał zagrać ładną melodię na cześć moją i konia. Pozostali również gratulowali, uważając, że koń mój jest szybszy od konia Lucjana. Nie potwierdziłem tego. Natomiast rudy Jan śmiał się cały czas i utrzymywał, że koń mnie poniósł. Powiedziałem mu wtedy: — Właśnie takiej szybkości

potrzebowałem. — Większość opowiedziała się za mną i rudy Jan przestał się śmiać. Który koń szybszy, postanowiliśmy rozstrzygnąć w najbliższym czasie. Minęło już kilka nocy, a zagadka w dalszym ciągu nie jest rozwiązana. Jakoś nie możemy się zdecydować z Lucjanem na konfrontację sił i szybkości naszych koni. Tym szaleńczym galopem bez kłopotu wszedłem do paczki koniopasów. Nikt nie żądał ode mnie spełnienia dwóch podstawowych warunków, chociaż od lat był to ceremoniał ściśle przestrzegany. Na wniosek Lucjana chłopaki postanowili przyjąć mnie do paczki, jeżeli tylko wrócę cały i na koniu. Ojciec, chociaż był przeciwny mojemu wyjazdowi, poczuł się dumny i więcej nie bronił mi spędzać nocy pod płaczącą wierzbą.

Wdzięczny im jestem za to, nie wywyższam się ani nie udaję uczonego. Jestem jednym z nich, jestem koniopasem. Gdyby mój bieg widział Puculek, byłby zachwycony. Żeby chociaż wiedział o nim... napiszę w liście. Może zyskałbym w jej oczach, przecież konie to jej hobby. Każdego roku latem wyjeżdża na hipiczne obozy, a jej pokój w akademiku wyklejony jest zdjęciami koni. Dla mnie rozmowy z Pucułkiem o koniach są bardzo pouczające. Dowiedziałem się o tych zwierzętach wielu ciekawych rzeczy. Do spotkania Pucułka nic o nich nie wiedziałem, chociaż pochodzę ze wsi, gdzie koń jest zjawiskiem codziennym, podobnie jak krowy, kury, wróble. Konie nigdy mnie nie interesowały. Chcąc mieć Pucułka, musiałem się nauczyć o nich wielu rzeczy. Szybko przekonałem się do koni, nawet polubiłem je. To bardzo poczciwe zwierzęta. Mogą się

przywiązać do opiekuna na śmierć i życie i nie przekupisz ich nawet kostką cukru. Dziewczynę możesz ująć kwiatkiem, czekoladką, byle ciuszką, konia niczym nie ujmiesz tylko dobrocią. Twój głos rozpozna z najdalszej odległości i zawsze przybędzie na pierwsze wezwanie. Można zagwizdać. Gwizdniesz kilka razy, koń tracąc ziemię pod kopytami stawi się natychmiast. Zagwizdziesz raz a długo, przerwie skubanie trawy i będzie czekał na dalsze rozkazy. Gdy dosiadasz go, klęka na przednie kolana. Takie bywają konie. Puculek miał takiego konia w Janowie. Wyrabiał z nim, co mu się żywnie podobało. Dosiadaliśmy go w dwójkę. Lekki ciężar Pucółka bywał znacznie powiększany moim ciężarem. Sobol oglądał się i czekał. Na pierwszy znak ruszał stępą. Biegł bardzo delikatnie, jakby wiedział, że całujemy się na jego grzbiecie, obejmujemy rękami i przywieramy do siebie. Nie myśleliśmy o trzymaniu się, o niebezpieczeństwie upadku, o gałęziach czyhających na nasze rozgrzane łby. Sobol sam wybierał bezpieczną drogę. Biegł piaszczystym traktem lubelskiej wsi, wolno wspinał się pod górę albo człapał po miękkim poszyciu lasu. Niskie drzewa omijał z daleka, również wysokie paprocie i trzciny obchodził po dużym łuku. Chwilami przystawał, skubał trawę, jakby był bardzo głodny, i po kilku minutach ruszał dalej. Nie popędzaliśmy go. Powolne ruchy coraz bardziej kołysały, wprawiały w miłosny nastrój. Zwierzę niby obojętne było na nasze zachowanie, ale zatrzymywało się coraz częściej, aż przystawało w cieniu

drzewa. Sobol stawał nieruchomo, tylko wachlarzowaty ogon uderzał po bokach płosząc muchy, a łeb gwałtownymi skrętami spędzał natręty. Nie zauważyliśmy odpoczynku konia, zapatrzeni w siebie, zwarci w jedno ciało. Dwie godziny wyznaczone przez dozorcę stadniny na przejażdżkę mijały szybko, niepostrzeżenie. Ostrogami przerywaliśmy drzemkę konia i kłusowali w kierunku Janowa. Kilkakrotnie dosiadaliśmy Wiatra. Osiągał zawrotne szybkości, ale na krótkich dystansach. Po dwóch, trzech kilometrach był spocony jak mysz. Musieliśmy zatrzymać się na dłuższy odpoczynek. Wiatr był szybki, ale mało wytrzymały. W galopie podrzucał nas wysoko i przeszkadzał w miłości. Dlatego też zawsze dosiadaliśmy Sobola, gdy tylko był wolny. On też wolał przejażdżki z nami niż z kim innym. Ledwie pojawialiśmy się w bokсах, rżał cicho i wysoko unosił łeb. W kaprawych ślepiach pojawiała się radość.

Odbywając na koniu ojca wymuszoną rundę wokół łąki, cały czas myślałem o Sobolu i jego spokojnym kroku, nie natomiast o Pucułku. Nie, mogłem myśleć o miłosnych uniesieniach, bo moja świadomość skupiona była tylko na poszukiwaniu sposobu utrzymania się na grzbiecie konia. Szaleńczy pęd jak na ironię przypominał mi tylko o spokojnym kroku Sobola. Dopiero zachwyty kolegów, gratulacje, poklepywania po plecach przywołały na myśl Pucułka. Po każdej przejażdżce promieniowała. Nacieraliśmy konia dużym wiechciem słomy, szczotkowali metalowymi grzebieniami, rozczesywali grzywę i ogon. Koń błyszczał.

Puculek wieszał mi się na szyi i obcałowywał ze wszystkich stron. Szliśmy nad rzekę, by w jej lodowatej przezroczystości obmyć spocone ciała. Nieraz dopiero wieczór albo głucho dudnienie wzywające na kolację przerywało nasze igraszki i przypominało o potrzebach żołądka. Za kilkanaście dni Puculek znów pojedzie do Janowa, serdecznie powita Sobola i zacznie urządzać przejażdżki. Nie będę jej towarzyszył. Szybko znajdzie sobie innego jeźdźcę. Dosiądą Sobola i stępa ruszą przez łąki, przez bezdroża leśnych pagórków, wyszukają ustronne miejsca i będą odpoczywać. Może jeźdźcem będzie rudobrody?

Kurde Felek skończył majsterkowanie. Kawalek wierzbowej witki zamienił się w odpustową fujarkę, z jednego końca przewężony i skośnie ścięty, z drugiego szeroko otwarty. Felek przymierza piszczałkę do ust, ustawia kołek zatykający otwór wyjściowy. Próbuje pierwszych dźwięków. Są toporne, chropawe, dalekie od muzyki. Kurde Felek przerywa próbę i dalej majstruje przy instrumencie.

— Kurde, przydałoby się więcej światła — mówi jakby do siebie, jakby do nas. — Nie mogę dokładnie ustawić.

Milczymy. Lucjan spojrział tylko na piszczałkę i odwraca się na drugi bok. Z kieszeni wyciąga papierosy. Patrzy nieustannie w niebo, szuka księżycy. Księżyc pojawi się nie wcześniej niż za godzinę, o czym Lucjan wie dobrze, mimo to uparcie patrzy w ciemne niebo. Marian rusza brodą, jakby chciał powiedzieć coś do Kurde Felka, lecz słyhać tylko nieartykułowane dźwięki. Rozglądam się po

łące. Usiłuję zliczyć ciemne sylwetki koni. Jednego jakby brakowało. Pewnie poszedł w wiklinę. Nie może zginąć, nie ma gdzie. Dolina nasza otoczona jest dość stromymi górami. W pogodny dzień widać ich skaliste wierzchołki. Środek doliny wypełniają łąki przecięte krętą rzeką. W kierunku południowym łąki przechodzą w uprawne pola. Przegradza je wioska zwartą zabudową, dodatkowo uszczelnianą płotami. Mysz nie może się przecisnąć z łąk na pola. Konie nie pójdą w szkodę. Nie ma obawy. Nigdzie nie mogą pójść ani zaginać. Chyba żeby niespodziewanie pojawił się dziki pies? Dawno już nie składał wizyty i zaczynamy zapominać o nim, przenosić go w krainę majaków. Możemy spokojnie leżeć pod płaczącą wierzbą i oddawać się próżnowaniu. To wypasanie koni jest trochę sztuczne, nie pasuje do naszego mocno nowoczesnego świata. Na sto kominów, jakie składają się na wioskę, jest zaledwie dwadzieścia kilka koni. Kiedyś było ich niemal tyle samo co mieszkańców i każdej nocy wszystkie wypasały się na łąkach. Było rojno. Koniopasi schodzili się w tym samym miejscu, co my dzisiaj, czyli pod płaczącą wierzbę, i gwarzyli całą noc. Przekazywali sobie wiadomości, wymieniali doświadczenia, ustalali plany. Kiedyś płacząca wierzba wyznaczała najważniejsze miejsce w okolicy. Dzisiaj niewiele już z tamtego zostało, właściwie tylko duży kikut stojący pośrodku łąki. Gałęzie obłamane przez Felka, przez innych koniopasów, złuszczone skórą płotami odłazi od pnia. Niby dalej słucha nocnych rozmów, chroni przed, deszczem, ale robi wrażenie głuchej,

obojętnej. Nie reaguje nawet na najciekawsze nowinki. Stoi obojętna, okaleczona, samotna. Koni zostało niewiele. Wypierają je motory, traktory, kombajny i młockarnie. Tradycja wypasu wygasa. Dawno skończyły się nocne posiadania kawalerki. Jeszcze tylko paru najbardziej wytrwałych ogląda całonocne gwiazdy. Należę do nich. Nie z konieczności należę, raczej z kaprysu. U ojca, mimo że na nową trawę się ma, jeszcze duży zapas siana i koniczyny, sporo seradeli. Cóż bym robił wieczorami w domu? Słuchałbym utyskiwań ojca na ciężkie czasy, na to, że żyto coś za bardzo lekkie w kłosiach, świnia urodziła tylko cztery prosiaki zamiast dwunastu, a do geesu wreszcie przywieźli nawóz i należałoby przywieźć kilka worków, drzewo ukradzione w lesie jest bardzo mokre i nie wiadomo, czy nie popęka po okorowaniu. Nieraz utyskiwanie ojca schodzi na moje studia. Bo niby co to za szkoła, gdzie tylko książki się czyta, ładnych słówek uczy i wierszyki klepie. Na te wakacje przyjechałem z potężną walizką książek. Ojciec wypakował książki, ułożył na stole w dwóch równiutkich rzędach i zaczął się im przyglądać. Długo drapał się po głowie, wypalił kilka papierosów i nieustannie patrzył na te dwa równiutkie rzędy. Następnego ranka, skoro świt, znów zajął miejsce przy stole. Cały dzień siedział nad książkami, wolno, przewracał kartki. Szczególnie długo przyglądał się rzadkim ilustracjom. Nie wolno mu było przeszkadzać. Matkę skłął, gdy wołała go do siewki, a potem odesłał do stu diabłów z jej nieoprawioną

motyką do ogrzebywania kapusty. Cały dzień drapał się po głowie, palił papierosy i coś mruczał pod nosem. Wieczorem, już przy sztucznym świetle złożył wszystkie książki, zapakował do walizy i z walizą wsadził za szafę. Zawołał mnie, grubym palcem wskazał krzesło naprzeciwko siebie i zapytał:

— Kto je układał?

— Mądry ludzie — zaskoczył mnie tym pytaniem, więc głupio odpowiedziałem.

— Skrzypki albo chociaż bęben masz?

Od razu zorientowałem się, do czego zmierza ojciec. Na naszej wsi jest dwóch takich, którzy tylko w książki patrzą: skrzypek Jan Sroka i bębniasta Antoni Głuszek, sąsiedzi. Często wysiadują na ławce przed domem, patrzą w książki z zapisem nutowym i próbują na wysłużonych instrumentach odtwarzać melodie. Uczą się na pamięć różnych wierszyków. Sroka układa do nich muzykę i potem wyspiewują na weselach, chrzcinach. Sroka nieraz sam układa wierszyki. To pogrywanie, uczenie się wierszyków i układanie własnych nie podoba się gospodarzom, szczególnie mojemu ojcu się nie podoba. Sroka i Głuszek przygrywają na wszystkich weselach, na chrzcinach, nawet kilka razy przygrywali w klubie, właściwie żadna poważniejsza uroczystość nie może się odbyć bez ich udziału, mimo to nie są poważani. Od razu zrozumiałem pytanie ojca i obawę o to, żebym nie dołączył do nich. Uśmiechnąłem się, wziąłem od ojca sporta i kilka razy zaciągnąwszy się dymem, powiedziałem:

— Nie są mi potrzebne skrzyпки, nie jest mi potrzebny bęben. Nie na muzyka się uczę.

— Co będziesz robił, jak tyle książek przeczytasz?

Kilka lat temu rozmowa nie sprawiała mi żadnych trudności. Odpowiadałbym rzeczowo, jak rzeczowo pytał ojciec. Nie miałbym żadnych myślowych wątpliwości ani nie szukał odpowiednich słów. Zapomniałem już o prostych, rzeczowych rozmowach, jakie obowiązują na wsi, a do jakiej zmuszał mnie ojciec. Jak tu mu odpowiedzieć, co będę robił po przeczytaniu tylu powieści, zapoznaniu się z ulotnymi teoriami literackimi i różnymi filozoficznymi dyrdymałkami? Milczę i usiłuję zebrać myśli, na których mógłbym zbudować odpowiedź.

— Niedawno widziałem książki Plebańczyka — ojciec zniecierpliwiony moim milczeniem mówi dalej. Znów powołuje się na Stacha Plebańczyka, który studiuje medycynę. — Chce leczyć ludzi. W jego książkach ludzie są tak narysowani, że wszystko widać, gdzie co jest. Dowiedziałem się, że mnie boli wątroba. Plebańczyk chciał mi nawet dać jakieś lekarstwo, ale mnie zioła wystarczą. Gdy nawcinam się kapusty albo pestkowych owoców, zaraz boli mnie wątroba. Ziółka wtedy piję i po godzinie przechodzi. W książkach Plebańczyka pisało o mojej chorej wątrobie. O lekach też pisało. W czym mogłyby mi pomóc twoje książki?

— Po co? Przecież ojciec na wszystkie dolegliwości ma swoje sposoby. Ojciec jeszcze nigdy nie skorzystał nawet

z najlepszych książkowych rad. Po co pytać?

— Mogłem oglądać wszystkie swoje kości. Nawet kutasa narysowali, jakby kto go nie znał, i tak dziwnie nazwali — penis, jakoś tak. A Grabowski sprowadził książki o kwiatach. Nie chciałem uwierzyć w takie cudaczne kwiatki. Myślałem, że to artyści wymyślili te cuda, żeby człowiekowi pomieszać w głowie. Tego lata kwiatki w ogródku Grabowskiego jak z książki przerysowane. Uwierzyłem, można je powąchać, dotknąć, przekonać się... A co z twoich książek będzie?

— Nic. Moje książki nie są o uprawie kwiatów ani nie pouczają o leczeniu chorób...

— To co z nich będziesz miał?

Ojciec niecierpliwił się wymijającymi odpowiedziami i zadawał coraz więcej pytań. Nie nadażalem za nimi, nie mogłem skupić myśli. Nie wiedziałem, jak go przekonać o wartości moich książek. Z każdym słowem czułem się coraz bardziej pokonany i coraz głębiej zagrzebywałem się w wątpliwościach ojca, aż zdenerwował się i powiedział bardzo dosadnie:

— Idziemy spać, nie będziemy se głowy gównem zawracać.. Jutro wstajemy wcześniej, trzeba jeszcze raz ziemniaki obradlić.

Lucjan, gdy dowiedział się, że studiuje polonistykę, poprosił o wiersz o koniach. Wprawił mnie w wielkie zakłopotanie. Znam bardzo dużo wierszy, ale żaden nie jest o koniach. Nasze rozmowy z Pucułkiem nie dotyczyły poezji. Studiowała zoologię, więc konie to jej przyszła profesja,

a nie poetycka metafora. Miałem duży kłopot ze spełnieniem prośby Lucjana i ostatecznie jej nie spełniłem.

Zawsze zazdrościłem moim kolegom poetom. Skrzyknęli się w kilku i utworzyli grupę poetycką Samsarę. Uprawiając programowo poezję anonimową, chcieli przekreślić wszystkie dotychczasowe wiersze. Wydrukowali szereg utworów. Mówili o nich w telewizji i w radio. Jeden z nich, Belphegor, mieszkał w naszym pokoju. Ukradkiem i z wielką zazdrością przyglądałem mu się, jak ślęczy wieczorami nad tomikami poezji, przechadza się pod oknami akademika i mozolnie wspina się na Parnas. Podglądałem go bardzo często. Po nocy spędzonej nad poezją spał do południa. Przynosiłem mu ze stołówki śniadanie, żeby nie musiał fatygować się wstawaniem. Jednego razu poprosił mnie o wymyślenie rymu do „żaby”. Wspólnie głowiliśmy się przez cały wykład i nic nie wymyśliliśmy.

Wtedy nie czułem wstydu. Nie byłem poetą i ostatecznie nie musiałem znać rymów. Przed Lucjanem zarumieniłem się. Przykro mi było, że nie spełniłem jego prośby. Wiersz mógł być podzięką za to wyróżnienie mnie spośród koniopasów.

— Masz rację! Wierszyki są dla słabeuszy, nie dla nas. Nie musisz się od razu denerwować. Dla żartu poprosiłem o ten wiersz, a ty serio — Lucjan bardzo opacznie zrozumiał mój rumieniec, a edukacyjne braki uznał za zaletę. Dobrze, że nadeszła Marcysia i przerwała dyskusję o poetyckich konikach.

Marcysia to największa w naszej okolicy zielara. Żywokosty, rumianki, podbiały, leśne koniczynki, królewskie oczy to jej specjalność. Zbiera je na skraju lasu od południowej strony tuż przed pokazaniem się księżyca albo wschodem słońca. Plecie z nich niewielkie wianuszki i wiesza na przyciesi. Po wyschnięciu obija kijem z liści i nasion, pakuje do małych woreczków. W jesienne słoty i zimowe mrozy, kiedy najbardziej strzyka w kościach, woreczki znajdują wielu amatorów. Marcysia chętnie leczy chorych. Nikt nie wie, ile może liczyć sobie latek, nawet „najstarsi ludzie we wsi” nie wiedzą. Dokąd sięga nasza pamięć, Marcysia zawsze zbierała zioła, suszyła je i za niewielką opłatą sprzedawała chorym.

Od razu zapomniałem o wierszu i o dziwnym gadaniu Lucjana, skoro tylko pojawiła się Marcysia. Wracała z lasu. Była zziębnięta i przemoczona do kolan. Zaprosiliśmy ją do ogniska, poczęstowali świeżo upieczonymi ziemniakami. Jadła z apetytem. Marian przyglądał się jej bardzo uważnie. Dokładnie śledził ruchy rąk, brodę spokojnie przeżuwaną ziemniaki. Co chwilę spoglądał na połatany worek leżący u jej stóp, ten ziołowy skarbiec. A gdy Marcysia raz i drugi odwzajemniła mu się spojrzeniem, uśmiechnęła się i zapytała, kiedy przyjdzie do niej, zarumienił się bardzo i ruszył w kierunku rzeki. Po kilku krokach zaczął biec. Szybko zniknął w ciemnej bryle krzaków. Kurde Felek poprosił wtedy Marcysię o zioła na przeziębienie. Chciała odwdziżyć się za poczęstunek i od razu

sięgnęła do węzełków. Kurde Felek zaśmiał się i powiedział, że chodzi o jego piszczałkę. Wczoraj zapluł ją trochę i przeziębila się. Dzisiaj nie ma ochoty strugać nowej, więc prosi Marcysię o ratunek. Marcysia przerwała jedzenie ziemniaka, popatrzyła na Kurde Felka z politowaniem i powiedziała, żeby nie naśmiewał się z mądrości starych ludzi. Kurde Felek zawstydził się i poszedł nawrócić konie. Lucjan wziął Marcysię pod rękę i odprowadził do wioski. Jej wielki skarbiec niósł na plecach. Po powrocie podszedł do Felka, uderzył go w twarz z jednej i z drugiej strony i kopnął w brzuch. Felek zwijał się po łące jak zraniona dżdżownica, a Lucjan pouczał go, żeby więcej razy nie naśmiewał się ze starej kobiety.

Marian przerywa wreszcie to nasze odrętwienie pod płaczącą wierzbą a swoje zapatrzenie na ręce Kurde Felka przysposabiające piszczałkę do grania i kładzie na ogień świeże bierwiona. Ognisko nieco wypaliło się i przygasło. Otoczyło się kręgiem popiołu, z którego, jak z korony Chrystusika, wystają nie dopalone kawałki drewna. niewiele zostało żaru, tli się białymi punkcikami pośrodku ogniska. Nie ogrzewa nikogo, nic nie oświetla, nawet siebie nie oświetla, bo tylko te robaczki świętojańskie migają. Przypominają nam, że za chwilę skończą się, zgasną. Marian rozgrzebuje żar, robaczki świętojańskie niczym iskierki unoszą się do góry i nikną w ciemnościach. Przez krótką chwilę robi się nieco jaśniej. Możemy nawet obejrzeć swoje twarze. Marian kładzie na resztkach żaru świeże bierwiona. Formuje je w stożek, w taki namiot bez brezentowego pokrycia. Płomień będzie szedł szybko, oświetlał

placzącą wierzbę i kawał łąki, będzie przepędzał komary lgnące do niego jak muchy do miodu, wyraźnie określał naszą pozycję na łące. Mniej będzie niedopalonych kółców z korony Chrystusika. Marian mocno nadyma policzki i rozdmuchuje żar. Bierwiona są suche, więc szybko czepiają się ich świętojańskie robaczki, zamieniają się w duże iskry, które przy kolejnym dmuchnięciu Mariana są już niewielkimi płomykami. Stożek namiotu przyjmuje postać pochodni i opada płomieniem w dół ku podstawie. Rozjaśnia się. Żar uderza po twarzach, aż odsuwamy się na dwumetrową odległość. Śmiało zagląda nam do oczu, że trzeba przysłonić je powiekami. Oślepieni, tracimy z widoku ognisko. Jest tylko czerń szpilkująca oczy świętojańskimi robaczkami. Mimo to jesteśmy zadowoleni. Radość falą gorącą rozplywa się po kościach i ogrzewa zziębnięte ciało. Marian promieniuje. Dobrze wie, że sprawił nam wielką radość. Jego szczeka bardzo szybko drga, jakby chciał porządnie wypluć chociaż jedno słowo. Ale udaje mu się tylko kilkakrotnie powtórzyć dźwięk, który wyraźnie przypomina beczenie owcy. Ponawia próbę raz i drugi. Macha ręką i coś pokazuje na nas i na ognisko. Niewiele rozumiemy, ale chyba chodzi mu o pochwalenie się, że ognisko i nasza radość to jego zasługa. Księżyc w dalszym ciągu niewidoczny, więc częściowo zastępuje go ognisko.

Największa ciemność spada na dolinę w kilka minut po zachodzie słońca, lecz przed pojawieniem się księżyca. Góry w okamgnieniu pożerają wszelkie światło, kładą się na dolinę wielkimi płatami czerni, zamieniają ją w piekielną

otchłań, w nieprzebytą czeluść. Wioska kurczy się do rozmiarów niewielkiej dżdżownicy i nim pochłonie ją ciemność, wije się, zapala światła białych okien, usiłuje rozproszyć mrok, lecz na niewiele to się zdaje. Góry podchodzą blisko i wciągają ją w swoje przepastne wąwozy. Tworzy się studnia, która jak za machnięciem pałeczki, wsysa nas w sam środek i dławi. Nieustannie spadamy, nie mogąc osiągnąć dna. Wielka dziura. Zrywa się wiatr. Drzewa, zwykle słabo znaczące się na łące, osiągają niespotykane rozmiary. Wyłazą ze wszystkich stron na stupałczastych nogach, kolebią się na boki i otwierają paszcze konarów. Na chybotliwych nogach wielkie pióropusze liści. Trawy zamieniają się w las i usiłują dorównać drzewom. Szeleszczą, jakby łamały je przedpotopowe widziadła. Gdy mija powiew wiatru, cichną, maleją i niczym wierne psy łąszą się u nóg. Obiegają łąkę skołtunionymi falami, pienia się u podnóży gór, syczą. Rzeka mieni się błyskami. W kształcie i zachowaniu podobna jest do mlecznej drogi. Wielka czeluść. Styksowa rzeka określa kierunek spadania. Ponad wszystkim górują bezkształtne korpusy koni. Łby potrząsają czarnymi chmurami grzyw, ślepią przebłyskują gwiazdami, smocze chrapy zioną kłębami pary. Zwały mięsa przenoszą się bezszelestnie z miejsca na miejsce, łamią lasy traw. Niekiedy podchodzą blisko i obwąchują nasze strachliwe ciała. Siedzimy skuleni pod płaczącą wierzbą i błogosławimy ją za parasol, który rozłożyła nad nami. Ciała drżą. Może trochę ze strachu, może z piekielnej czeluści, która oziębia się w miarę naszego spadania?

Parasol jest bardzo pomocny. Odgradza nas od potworów i pozwala spokojnie spadać, służy za spadochron. Cieszymy się z parasola, tylko on nam pozostał. Padamy na kolana, obejmujemy pień drzewa, nisko opuszczamy głowy, zaczynamy szeptać słowa niezrozumiałej modlitwy. Coraz głośniej błogosławimy płaczącą wierzbę. Z szeptu Lucjana rodzą się słowa kierowane ni to do nocy, ni to do wierzby.

— Cholerna ciemność. Prędkiej na drzewo wejdiesz, nim je zauważysz. Pieroński mrok.— Lucjan podnosi się z kolan i rozłożywszy ręce, obmacuje ciemność.

— Wczoraj było jaśniej — Kurde Felek odnosi słowa Lucjana do siebie i kłamie, że tylko dzisiaj jest tak ciemno. Pewnie chce nas pocieszyć, przedłużyć rozmowę.

Nie wierzę słowom Kurde Felka, więc mówię:

— Każdego wieczoru jest jednakowo; ani jaśniej, ani ciemniej.

Z boku, jakby zza gór, dochodzą nieartykułowane dźwięki. To Marian chce włączyć się do rozmowy. Próbą jądlenia pogłębia czerń, wypełnia ją satanicznym bulgotem, przyspiesza nasze spadanie. Kurczymy się coraz bardziej, uczepteni dziurawego spadochronu, podciągamy kolana pod brody i szczękaniem zębów usiłujemy zagłuszyć szelest traw. Okropność. Tracimy poczucie czasu. Całe wieki spadamy w piekielną czeluść. Wreszcie między końskimi grzywami zaczyna przeblyskiwać lunatyczne światło księżyca. Wstępuje w nas otucha. Wytracamy szybkość spadania. Księżyc miga raz, drugi, trzeci i pełnym blaskiem wpływa na otwarte morze. Zawracamy.

Przybywa popielatego światła. Styks zamienia się w rzeczulkę i spokojnie wije się pośród łąk. Na garbach fal drgające mrowie księżyców. Jest już jasno. Przyspieszamy powrót. Trawy karłowacieją, znów są niewielkimi źdźbłami kurczowo uczepionymi ziemi. Konie, żeby skubać trawę, nisko opuszczają łby i schodzą spod obłoków pod drzewa. Dużo światła. Drzewa kurczą się i można już przerzucić je kamieniem. Wioską powraca na zbrocze góry podłużnym cieniem i gasząc ostatnie światła przymyka oczy okien i zasypia. Rozradowane chłopaki wyskakują spod parasola płaczącej wierzby i nacierają zziębnięte ciała. Nawet Kurde Felek odkłada niedokończoną piszczałkę i ulega urokowi księżyca. Przebiegają łąkę we wszystkich kierunkach, tarzają się w trawie. W uniesieniu wskakują do rzeki i obmywają z ciał resztki mroku. Tylko ja pozostaję pod płaczącą wierzbą. Dalej wyleguję się na derce. Nie boję się rzeki ani zimnej wody. Dzisiaj nie mam najmniejszej ochoty moczyć się. Księżycową radość odczuwam rozleniwieniem ciała i wygodnym ułożeniem się na derce. Już wszystko w porządku. Jest łąka, jest światło, są konie i my jesteśmy rozradowani.

Najpiękniejszy księżyc widziałem w tamtym roku. Wypływał zza niewielkich chmur, nieśmiało rozglądał się i znikał. Mrugał do nas, bawił się w ciuciubabkę. Stałem w jego pełnym blasku i trzymałem za rękę Pucułka, który chował się w cieniu czereśni. Byliśmy na prywatce u Aśki. Komuś w środku nocy zachciało się świeżych owoców, którejś z dziewczyn. Zgłosiłem się na ochotnika, chociaż

nie znałem okolicy, nie wiedziałem nawet, gdzie jest ogród. Willa, w której odbywała się prywatka, leżała obok wojskowego poligonu. Na poligon zachodziliśmy raz w tygodniu podczas zajęć wojskowych, lecz od strony miasta. Tu nie byliśmy jeszcze. Puculek ochoczo zgodził się służyć mi za przewodnika. Znaliśmy się od kilku tygodni. Zapoznał nas Adam-aktor, ale była to znajomość raczej przypadkowa. Dwa, trzy razy przelotnie spotkaliśmy się na ulicy. Ledwie zdążyłem się jej uklonić. Nie przykładałem do tej znajomości większej wagi. Była jedną z wielu. Jak w studenckim życiu wszyscy na „ty”. Poznaliśmy się bliżej dopiero na prywatce. Nie wiem nawet, z kim przyszła. Pewnie, gdy ja przyszedłem, ona już była. Był również Adam-aktor. Wtedy już zerwali ze sobą. Adam-aktor przyszedł z nową dziewczyną, a Puculek z nowym chłopakiem. Poza Aśką, Adamem i Pucukiem reszta towarzystwa była mi obca. Siedziałem więc całe pół nocy w kącie pokoju, opróżniałem nieustannie napełniane kieliszki i spode łba obserwowałem towarzystwo. Część tańczyła, część rozsiadła się przy niskiej ławie wygiętej od smakołyków, jedna z par znikła gdzieś w labiryncie pokoi. Siedziałem na fotelu w kącie i głaskałem jędrne nogi dziewczyn odsłaniane w tańcu aż do pasa. Albo zaglądałem za stanki, gdy któraś zbyt kokieteryjnie pochyliła się nad ławą. Najbliżej przodem do mnie siedział Puculek. Była w rajflach i w sweterku zapiętym od dołu tylko na trzy guziki. Gdy sięgała do talerzy, sweterek rozchyłał się i wyglądały spod niego dwa dojrzałe jabłka. Nabrałem wielkiej ochoty, by zerwać je, pochwycić w usta, zgryźć. Zauważyła to i

puściła do mnie oko. Zawstydzilem się. Gdyby było większe światło, spłonąłbym. Odwróciłem głowę i udawałem, że niczego nie zauważyłem. Jednak ukradkiem spoglądałem na jabłka. Puculek dużo tańczył, ale zawsze wracał na to samo miejsce i sięgał po smakołyki, głęboko pochylając się. Nigdy potem nie była takim żarłokiem. W ten sposób przesiedziałem pół nocy, do momentu, kiedy którejś z dziewczyn zachciało się świeżych owoców. Nikt nie miał ochoty przynieść. Zresztą w pokoju została tylko niewielka część towarzystwa. Czułem, że moje zachowanie jest idiotyczne i postanowiłem się zrehabilitować. Zdeklarowałem się przynieść owoców. Puculek uważnie popatrzył na mnie, przerwał taniec, zostawiając partnera pośrodku pokoju, i ofiarował się być mi przewodnikiem. Poczulem radość, ale i treść. Uda moje zaczęły drżeć, ręce pocić się. Cały czas miałem przed oczami dojrzałe jabłka figlarnie wyglądające zza rozpięcia sweterka. Już wspinałem się po nie i zrywałem z wierzchołka jabłoni. Delikatnie układałem w rękach, pieściłem. Przymierzałem do ust, ale bałem się ruszyć zębami. Nagle łamał się szczebel drabiny i jak niepyszny lądowałem na ziemi. Gdy przedstawiałem Puculka kolegom z pokoju, przede wszystkim zwrócili uwagę na jej jabłka i nazwali „zderzakami”. Przyjąłem wyzwanie dziewczyny. Z mieszanymi uczuciami wyszedłem w ciemność nocy. Nie miałem pojęcia, w którym kierunku znajduje się ogród. Puculek wziął mnie pod rękę i pociągnął. Skoro tylko oczy przyzwyczyły się do ciemności, zaczęliśmy biec. Niebo było wygwieżdżone, między niewielkimi

chmurami hasał księżyc. Ogród znajdował się za szklarnią przylegającą jednym bokiem do willi. Minęliśmy kilka drzew i Puculek stanął.

— To tutaj — wskazała na drzewo, które rysowało się ciemną plamą. — Musimy uważać, żeby nie narwać liści — przestrzegła.

— A co tutaj jest do rwania? — wątpilem, nie zauważając w ciemnej bryle żadnych owoców.

— To jest czereśnia. Ma duże, soczyste owoce. Musimy tylko uważać, żeby nie narwać liści — przestrzegła po raz drugi.

Staliśmy pod drzewem, trzymając się za ręce. I nie wiem, co się stało, czy księżyc zajrzał mi do oczu, czy nagle spadła gwiazda i poraziła mój wzrok? W oczach zobaczyłem gorejące ogniki, na ustach poczułem dotyk świeżego owocu, a szyję zaczęły oplątywać gorące ramiona. Dwa jędrne jabłka przywierały do moich piersi. Z trudem otworzyłem oczy. Puculek wspinał się na palcach nóg, żeby sięgnąć mojej głowy. Księżyc nieustannie harcował między chmurami. Był to najładniejszy księżyc, jaki kiedykolwiek widziałem.

Dzisiejszy księżyc też jest wspaniały. Przed chwilą pojawił się między dwoma wzgórzami: Starą Babą i Zawojem. Jest w pełnym blasku. Ledwie wyskoczył z kolebki ukrytej między górami, już w pełnej krasie. Rzuca światło garściami, oświetla konie błyszczące od rosy, chłopaków połyskujących od zimnej wody, przygaszą ognisko, oświetla całą dolinę. Płacząca wierzba w jego blasku przysiadła jak kwoka na grzędzie i potrząsa łysiejącymi skrzydłami.

Ojciec powrócił do problemu moich książek następnego dnia, skoro zapytałem, czy mogę wziąć konia na łąkę. Popatrzył na mnie nie dowierzając intencjom, zapalił papierosa i kiedy zaczynałem się wiercić pod przenikliwością jego wzroku, zapytał:

— Szabelki nie potrzebujesz?

— Skąd ojcu przyszła do głowy szabelka? — odciąłem się opryskliwie.

Ojciec pomyślał chwilę, zaciągnął się kilka razy dymem i odchodząc, jakby od niechcienia, powiedział:

— Twoje książki nie uczą rozumu... Księżyc też ci się marzy?

Dopiero wtedy zrozumiałem, dlaczego pytał o szabelkę, skąd to wtrącenie o księżycu. Cały poprzedni dzień przesiedział nad moimi książkami z romantyzmu. Nabił sobie głowę czułymi historyjkami i postawił na „takich” książkach znak zapytania.

Właśnie na motywie księżycy w literaturze romantycznej poślizgnąłem się. Zacytowałem tylko Słowackiego. „Trzy razy księżyc odmienił się złoty, jak na tym piasku rozbiłem namioty”. To wszystko. A pani profesor głównie chodziło o literaturę obcą. Księżyc pokazał mi swoje rogi. Mimo to nic nie miałem przeciwko niemu. Kiedyś darował mi bardzo świeży owoc czereśni, oplótl szyję gorącymi ramionami i skierował na moją drogę Pucułka. Ścieżyna, którą biegałem z Pucułkiem, była bardzo zagmatwana. Nieustanne zakręty, zawracania i tylko z rzadka proste odcinki. Znaczna jej część biegła w cieniu chmurnych dni.

Jednak słoneczne polany, pojawiające się tu i ówdzie, były tak piękne i dostarczały tyle radości, że zapominaliśmy o wertepach, o nisko zwisających gałęziach, o które potykały się nasze głowy.

— Student, może byś zmoczył skórę? Nie bój się, majowa woda jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Podbiega Lucjan i potrząsa nade mną ramionami, z których spadają krople wody. Ostre igiełki przeszycją mnie dreszczem. Jestem zdziwiony i zaskoczony zachowaniem Lucjana. Zwykle jest bardzo poważny. Donośnym i niecierpiącym zwłoki głosem wydaje polecenia, surowo karze krnąbrną służbę. Czasami zrzuca płaszcz powagi mocnego człowieka i zachowuje się jak szczeniak. Chłapie wodą, fika koziołki i rozpoczyna wojenną zabawę. Rozstawia chłopaków w tyralierę, wydaje komendę — Padnij! — i zaczyna się szukanie Bóg wie czego. Gania chłopaków godzinami. W ciągu dnia chowa w trawie sto złotych, a wieczorem każe ich poszukiwać. Najgorzej, gdy „skarb” znajduje się za rzeką. Długo musimy się czołgać po mokrej trawie, wpław pokonywać wodę, moczyć ubrania. Wódz tak kieruje atakiem, żeby po godzinie, dwóch trafić na kryjówkę. Dorzucamy wtedy oszczędności, idziemy do handlary bimbrem i zaczyna się libacja. Wymysłem Lucjana są również dwa wtajemniczenia, przez które musi przejść każdy chłopak wstępujący do stanu koniopasów. Pierwszy stopień, jak we wszystkich wtajemniczeniach bywa, jest najłatwiejszy. Kandydatowi zawiązujemy końskim włosiem nogi, to znaczy pętlimy go podobnie jak konia, popychamy, żeby upadł na ręce i każemy udawać zającą. Skacze jak australijski kangur odbijając się rękami

do góry, a związanymi nogami do przodu. Jest przy tym wiele śmiechu. Zając nieustannie potyka się, przewraca, powstaje na spętlone nogi i usiłuje skakać dalej. Nie chodzi o nasz śmiech, o naszą zabawę. Kandydat musi odszukać bat ukryty w trawie. Dlatego pierwszy stopień wtajemniczenia nazywa się „szukaniem bata”. Co chwilę, ktoś pyta kandydata o cel jego poszukiwań. Odpowiada: szukam bata. I wtedy każdy ma prawo spełnić jego prośbę i zdzielić go nahajem albo kopnąć tak, żeby się nogami nakrył. Czynimy to ochoczo. Mimo zaleceń Lucjana o ostrym traktowaniu zająca, kopiemy go delikatnie. Nie chodzi przecież o zadawanie bólu, lecz o pozorne trudności, jakie musi pokonać. Każdy, poza mną, przechodził wtajemniczenie i dobrze pamięta upokorzenia. Jeżeli kandydat rycersko przetrwa pierwszą próbę i znajdzie bat, poddajemy go „próbie pastwiska”. Tu zaczynają się pierwsze poważne kłopoty. Kandydat musi zjeść pokaźne naręcze szczawiu zapijając wodą z rzeki. Skutki tego występują już po kilku godzinach. Najczęściej rozwolnienie. Wtajemniczanemu wolno latać tylko w jedno miejsce, gdzie przygotowany jest spory dołek, inaczej zanieczyściłby całą łąkę. Szczaw jest jedzony nie pojedynczymi listkami, lecz całymi garściami i w określonym czasie wyznaczonym spalaniem trzech papierosów. Nie lada to sztuka. Jednak taki jest wymysł Lucjana i wszyscy wtajemniczeni na czele z nim rygorystycznie go przestrzegają. Może dlatego właśnie jest tylko kilku koniopasów pod płaczącą wierzbą? Policzki

wtajemniczanego wydymają się, jakby od szynki albo kabanosów. Oczy wychodzą pod wierzch i tchórzliwie spoglądają na papierosy, które przy takiej okazji palimy szybko. Ręce łapczywie chwytają kolejne garście szczawiu i ugniatają go między palcami na niewielką kuleczkę. niewiele to skutkuje, pozornie tylko. Skoro zielona masa dostanie się do gęby, poddawana jest działaniu śliny. Rozrasta się, pulchnieje, wypełnia całą jamę. Zwykle na początku drugiego papierosa z ust kandydata zaczyna wyciekać zielona ślina. Spływa po brodzie na koszulę, bo nie ma czasu jej obcierać. Niezbyt przyjemny to widok. Gdy trzy dni temu przyjmowaliśmy Andrzeja Kujawę, dostałem torsji. Nie mogłem do końca oglądać „próby pastwiska”. Dwie godziny siedziałem w krzakach nad rzeką i wymiotowałem. Na drugi dzień zaproponowałem Lucjanowi zmianę obyczaju, uzasadniając to bezsensownym poniżaniem człowieka i względami zdrowotnymi. Popatrzył na mnie, jakbym co najmniej zdradził go i polecił nie wtrącać się do jego spraw. Nie wiedziałem, dlaczego Lucjanowi tak zależy na zmuszaniu kandydatów do jedzenia chwastru. Mocno oburzyłem się i podniosłem głos. Podświadomie liczyłem na chody u Lucjana, które wyrobił mi mój koń. Powiedziałem wtedy:

— Jakim prawem uzurpujesz sobie taką władzę? My też mamy coś do powiedzenia i zmusimy cię do ustępstwa. Lucjan nic nie powiedział, tylko niespodziewanie strzelił mnie w pysk, aż nakryłem się nogami. Gdy skoczyłem do niego, pochwycili mnie Kurde Felek i Marian, wykręcili

ręce do tyłu i bezbronnego wystawili na ciosy Lucjana. Pięściami kołatał mnie po brzuchu, kilka razy uderzył w twarz i przy pomocy swoich „goryli” wrzucił do rzeki. Gdy ochłonąłem w wodzie, wyprowadził na brzeg w pobliże ogniska, poczęstował kielichem ognistego bimbrowa i powiedział:

— Lubię bohaterów, ale nie na łące. Tutaj liczy się tylko moja wola. Zapamiętaj, bo drugim razem... — nie dokończył, zostawiając niepewność, co to on może zrobić przy kolejnej niesubordynacji. — Wszyscy to przechodzili. Ja też. Mnie wtajemniczał twój dziadek, a to był wielki skurczybyk. Gdy nie zmieściłeś się w czasie, batem odmierzał kolejne porcje. Łyka wody nie dał i zapychałeś się szczeniakiem jak gliną. W każdym momencie mógł przerwać próbę i nakazać powtarzanie albo w ogóle nie zaliczyć. Bawił się przy tym wyśmianiem, rechotał, objął kolana. Nieraz zabawa przechodziła w znęcanie. Dziadek rozkładał się na derce i batem skracał czas próby lub też wydłużał go do północy. Żeby być prawdziwym koniopasem, trzeba znać trzy sprawy: ból bata, smak łąkowego chwastu i panować nad snem. Jestem dobry i złagodziłem dawny obyczaj. Ciebie przyjąłem bez próby. Bo ty sezonowy. Student... Po kilku dniach znudzi ci się nocne czuwanie i polecisz do swoich księżek. Twój koń mnie ujął. Ale nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy...

Lucjan niespodziewanie przerwał orację i zapalił papierosa. Zacząłem podejrzewać, że nie koń powstrzymuje go od wyjazdu do miasta, ale chęć dalszego panowania nad koniopasami, rozkosz poczucia władzy, możność wydawania

rozkazów i wymuszania posłuszeństwa. Lucjan od szeregu lat przewodzi nam, chociaż baba za to ciosze mu kołki na łbie. Nachodzi nocą i wymyśla od najgorszych. Nieraz przysyła pod płaczącą wierzbę dzieci. Lucjan tylko z żoną nie może sobie poradzić. Jest spokojny, opanowany, ale do pewnego momentu. Wielu zna siłę jego pięści. Na wsi ludzie mówią, że zabił jednego śmiałka, który podniósł na niego rękę. Śledztwo nic nie wykazało. Lucjan po dwóch miesiącach aresztu wrócił do żony i dzieci, ale w oczach ludzi nadal uchodzi za mordercę. Ojciec dlatego między innymi nie chciał się zgodzić na moje nocne czuwanie. Powiedział:

— Z bandytą będziesz przystawał i takim samym się staniesz.

— To tylko ludzkie gadanie. Nic mu przecież nie udowodnili — usiłowałem zaprzeczyć ojcu.

— Nie udowodnili? Bandyty można nie złapać, ale morderstwo pozostaje morderstwem. Ktoś powinien za to odpowiadać.

— Dziadkowi też wiele rzeczy zarzucali — wspominam dziadka, mając na uwadze jego dziwne sztuczki, o których krążyły po wsi najróżniejsze bajki, a każdą sąsiadką pogaduszkę zaczynało się od pytania: — Co słyhać u Mich-tów? — Ty możesz powiedzieć najlepiej — bezpośrednio natarłem na ojca i zażądałem zweryfikowania sądów o dziadku i Lucjanie.

Ojca jakby trafiła apopleksja. Wspomnieniem dziadka ugodziłem go bardzo. Zamilkł, nie powiedział ni słowa więcej, chociaż broda nieustannie mu skakała. Zamaszystymi

ruchami czochrał się po głowie, nerwowo palił papierosa i co chwilę podejrzliwie na mnie spoglądał. Nie powiedział ni słowa więcej, poszedł do chlewa. Powrócił do tej rozmowy po kilku dniach, gdy jechaliśmy do lasu po drzewa, i chłód nocy zaczął mocno dokuczać. Ledwie minęliśmy Starą Babę, zatrzymał konie, przywołał mnie na swoje siedzenie, poczęstował papierosem i wolno, starannie dobierając słowa, powiedział:

— Zborowski wielkim pijanicą był, włóczył się po nocach. Śmierć miał marną, jak marne było jego życie. Znalezione go przy stawie z głową zanurzoną w mule. Trudno powiedzieć, czy sam się udusił, czy to ktoś zrobił? Stary Kujawa świadczył przeciwko Lucjanowi. Mieli z sobą zadawnione porachunki. Tamtego wieczoru spotkał Lucjana na drodze, jak biegł do domu z rozwianym włosiem, z marynarką w ręce. Lucjan w sądzie tłumaczył się z tego biegu bardzo głupio, że spieszyło mu się do domu. Za długo grał w karty. Sąd nie chciał wierzyć, ale ostatecznie nie udowodnił mu winy. Zwolnili go od odpowiedzialności. Ludzi to jednak nie przekonało. Chociaż w oczy mu świadczą, poza oczami bandytą nazywają. Oczekują tylko, żeby podłożyć mu nogę. Ja nie wiem, czy winien czy nie. Skoro Zborowski został uduszony albo utopiony, ktoś powinien za to odpokutować.. Pijaczyna, ale przecież człowiek...

— Zdarzają się morderstwa, których nikomu nie można udowodnić.

— To niedobrze. Wina zawsze winna być ukarana, tylko wtedy możliwa jest sprawiedliwość.

Ojciec przerwał, gdyż konie skubiąc trawę zeszły z drogi i pociągnęły wóz na zbocze Starej Baby. Chłód nocy nasilał się. Papierosy nic nie pomogły. Nie kończąc rozmowy, ojciec wyprostował wóz, poprawił uprząż na koniach i głośno strzelił z bata. Ruszyliśmy w dalszą drogę. Ojciec nie rozwiązał moich wątpliwości o winie Lucjana, niczego nie wytłumaczył. O dziadku nie powiedział ani jednego słowa. Temat dziadka stanowił tabu. Nie chciałem szargać świętości i długo nie wracałem do tego problemu. Dziadek pozostał w mojej świadomości wiejskim zakałą, „skurczybykiem”, jak niektórzy go określali, i dręczycielem.

Poznałem pięści Lucjana, poznałem bardzo dobrze. Wchodziły w mój brzuch jak tępe kołki, jak kamienie rzucone z bliskiej odległości. Wiłem się pod ich uderzeniami niczym piskorz. Głowa odskakiwała mi na boki, a łąka gwałtownie pochylała się raz w prawo, drugi raz w lewo. Tańczyła w moich znieruchomiałych z bólu oczach. Na koniec świat zawirował i stanął na opak. Niebo było łąką, a łąka niebem. Nie chciałbym drugi raz oglądać świata w takim tańcu. Niech inni patrzą, ja zamykam oczy, zatykam uszy. Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie czuję.

Andrzej Kujawa poradził sobie z próbami wtajemniczenia bez mojej pomocy, a ja potężnie oberwałem. Oficjalnie przyjęliśmy go do stanu koniopasów, ale od trzech dni nie pokazuje się ani na łące, ani nawet we wiosce. Pewnie dostał potężnego rozstroju żołądka i się rozchorował. Wtajemniczenie często dla najodporniejszych tym

się właśnie kończy, a Andrzej lichota. Wielki duch zamknięty w filigranowym ciele. Duch zniósł wtajemniczenie do końca bardzo bojowo, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Już w czas powrotu Andrzej miał spore kłopoty z dojściem do domu. Ślaniał się na nogach. Pomagałem mu, podtrzymując pod rękę. Ojcu powiedział, że zatrul się konserwą, którą zjadł w nocy. Stary Kujawa nie mógł znać prawdziwej przyczyny zasłabnięcia Andrzeja. Nie darowałby Lucjanowi. Jeszcze sprawę Zborowskiego by odgrzebał. Ułożyłem Andrzeja na wzorzystym łożu, poklepałem, po zbolącej piersi i pocieszając, że wszystko będzie dobrze, a wieczorem znów się spotkamy, odszedłem. Andrzej nie pojawił się tego ani następnego wieczoru. Jeszcze nie byłem u niego od tamtej chwili. Nie miałem czasu. Zrobię to jutro, skoro tylko skończy się nocne czuwanie i wprowadzę konia do obory. Andrzej nie jest moim przyjacielem ani nawet kolegą. Nie mam już w wiosce żadnych przyjaciół, nie mam kolegów. Rówieśnicy znikli, rozjechali się po świecie, zostało tylko kilku niedobitków. Mimo to czuję się winny, że nie obroniłem Andrzeja od jedzenia szczawiu, nawet nie odwiedziłem w chorobie.

Lucjan ocieka wodą. Z końca nosa, z rąk spływają strugi. Trzęsie się nad derką i opryskuje mnie. Proponuje kąpiel. Prawdziwi pasterze koni przez cały letni sezon kąpią się w zimnej wodzie ogrzanej tylko nędznym blaskiem księżyca. Nie przechodziłem wtajemniczenia i nie jestem zahartowany jak inni. Nawet krople spływające z Lucjana, przygotowują ciało o dreszcze. Nie mam najmniejszej

ochoty na kąpiel. Gdy mu odmawiam, chwytą mnie w ramiona, stawia na nogi i przywiera do mnie mokrym ciałem. Siłą prowadzi w stronę rzeki. Wyraźnie czuję na plecach jego ciało. Dostaję jeszcze większych dreszczy. Nie boję się kąpeli, nie przeraża mnie chłód wody. Przecież już kilkakrotnie moczyłem się do pasa przechodząc rzekę w celu zawrócenia koni albo w poszukiwaniu stułotowego banknotu. Mimo to wstrząsają mną coraz większe dreszcze, jakbym dostał ataku febry. Na plecach nieustannie czuję ciało Lucjana. Jego ręce obejmują mnie w pół, lekko unoszą do góry i przyciskają do brzucha i piersi. Mięśnie są naprężone, twardymi sękami bicepsów wbijają się pod łopatki. Brzuch chodzi jak kowalski miech i łaskocze mnie po plecach. Oddech bardzo głośny. Może to z wysiłku? Ważę przecież ponad siedemdziesiąt kilogramów, dodatkowo stawiam opór zaczepiając nogami o ziemię. Lucjan dyszy coraz głośniejsze. Wlecze mnie w kierunku rzeki, po której jeszcze biegają jak rączę konie Marian i Kurde Felek.

Miałem makabryczny sen. Zbyszek obchodził imieniny. Piliśmy bardzo długo. Grubo po północy straciłem orientację. Biegałem po lesie podczas burzy. W pewnym momencie piorun ściał jedno z drzew. Od jego blasku i huku padłem na ziemię. Drzewo powaliło się na mnie. Leżałem na brzuchu z twarzą wgniecioną w miękki mech. Drzewo przygniotło mnie strasznym ciężarem. Ledwie dyszałem. Jakiś sęk po odłamanej gałęzi uwierał poniżej pasa. Wichura kotłasiła mi włosy, zdzierała ze mnie ubranie. Sęk

wolniutko przesuwiał się w dół i wwiercał między poślądki. Nie mogłem ruszyć ręką ani nogą, drzewo coraz mocniej wgniatało mnie w mech, który pchał się do ust, nosa i tamował oddech. Sytuacja stawała się tragiczna. Byłem już skłonny poddać się, ulec woli burzy i drzewa, „skonać we wrzosach ugodzony kulą wroga”. Resztką sił, jakie pozostały jeszcze w drgającym ciele, szarpnąłem się. Owoce wysiłku przeszły moje oczekiwania. Drzewo, jak dziecinny patyczek, obsunęło się na bok. Zdziwiony otworzyłem oczy... Leżałem w rozbebeszonym łóżku razem z Fredkiem Kulasem, największym pedałem w akademiku. Byłem rozzebrany. Tylko na nogach miałem skarpetki. Koszula leżała na stole, spodnie zwisały z krzesła, slipy rzucone były na łóżko Kazika. Widok bardzo typowy przy miłosnej rozbiegance, tylko że obok mnie leżał Fredek Kulas zamiast dziewczyny. Obcapiął mnie w pasie i usiłował znów odwrócić na brzuch. Burza była jego miłosnymi zalecankami, świst huraganu skrzypieniem łóżka, a powalone drzewo nim samym. Usiłował odwrócić mnie na brzuch i naprzężonym kutasem wejść między poślądki.

Fredek Kulas pochodził z małego miasteczka zagubionego gdzieś na równinach. Jako jedyny z rówieśników ze swojej miejscowości dostał się na studia i to na medycynę. Uchodził za bardzo zdolnego studenta. Z konieczności mieszkał na naszym piętrze, nigdzie indziej nie było miejsca. Pudrował twarz, tapirował włosy, chodząc rzucał zadkiem jak dziewczyna, z kumplami lubił chodzić pod rękę. Od dawna podejrzewaliśmy go o homoseksualizm, ale

niczego nie mogliśmy udowodnić. Tego wieczoru moi koledzy postanowili poddać go próbie. Wybrali się do jego pokoju na karty, a mnie pijanego zostawili w łóżku. Kilkakrotnie, niby niechcący, informowali go o tym. Po godzinie Fredek znikł, przyszedł właśnie do mnie, licząc na łatwą miłość.

Chciałem go uderzyć, ale sparował mój cios chwytając rękę. Przerzucił przeze mnie nogę, chwycił drugą rękę i znów usiłował rozkrzyżować. Nogami zaparłem się za krawężnik, zebrałem wszystkie siły w jeden ruch i wyprężyłem się. Fredek Kulas stracił równowagę i poleciał na ścianę. To wystarczyło, żeby wyslizgnąć się z łóżka. Spadłem na podłogę. Spadając potraściłem stojące w pobliżu krzesło. Krzesło uderzyło w stół, zrzuciło popielniczkę leżącą na jego brzegu, która rozsypała się na drobne cząstki, a potem poleciało w butelki ustawione pod stołem. Zrobił się wielki rumor. Ciszę nocy nagle przerwała kaskada kamieni. Na jej odgłosy w jednej sekundzie zbiegli się do pokoju koledzy. Odciągnęli Fredka, który już zdążył powalić się na mnie i próbował dokończyć procederu. Belphegor wymierzył mu dwa siarczyste policzki i wykopsał za drzwi. Z pomocą Kazika stanąłem na nogach. Zbyszek i Waldi pokładali się ze śmiechu. Stałem pośrodku pokoju nagusieńki, tylko w skarpetkach. Na plecach czułem potężną kłodę drzewa, a między pośladki wbijał się sęk. Zacząłem wymiotować, nie zważając, że brudzę ścianę, łóżko, podłogę. Nie wiem, jak długo wymiotowałem.

Podczas wędrówki do rzeki w ramionach Lucjana przypomina mi się ten makabryczny sen. Lucjan staje się Fredkiem Kulasem, jego ciało powalonym drzewem, brakuje tylko sęka. Co prawda daleko mi do wymiotowania, ale całe moje ciało w drgawkach, w gęsiej skórcie, w ptasim upierzeniu. Boję się. Nie wiem, czy zimnej wody w rzece, czy ciała Lucjana? Coraz mocniej wierzgam nogami, rękami rozrywam jego ręce skrzyżowane na moich piersiach. Syczę przez zaciśnięte zęby, żeby mnie puścili. Nazywam go nawet skurwysynem. Niewiele to skutkuje. Lucjan ściska mnie jeszcze mocniej i dalej niesie w stronę rzeki. Marian i Kurde Felek przerwali końskie harce, gapią się na nas. Kurde Felek coś krzyczy, lecz w szarpaninie nic nie słyszę. Marian uderza się po udach i śmieje się pełnym głosem. A Lucjan dyszy coraz głośniejsze i niesie do nich pajacowatą, lalkę, która wierzga w powietrzu rękami i nogami, wykrzykuje nieartykułowane dźwięki. Czuję się właśnie jak wielki pluszowy miś, bezradna zabawka przenoszona z miejsca na miejsce, przypadkowo porzucana i znów przywracana do łask. Jesteśmy już bardzo blisko rzeki. Słysząc nawet jej cichy szmer. Kurde Felek wybiega na brzeg i usiłuje schwycić moje nogi. Pewnie zamierza pomóc Lucjanowi? Zabawa całkowicie mu odpowiada. Jest szczerze ucieszony. Może wreszcie zrealizować dawne zamiary.

W noc mojego nietypowego przystąpienia do koniopasów konie kilkakrotnie przechodziły na łąkę za rzekę. Łąka ta była przeznaczona na siano, więc oszczędzaliśmy ją przed końmi i nie wypasali na niej. Jako najmłodszemu z

towarzystwa przypadło mi w udziale nawracanie koni. Początkowo czyniłem to z ochotą, chciałem się czymś wykazać i zasłużyć na to wyróżnienie. Przechodziłem rzekę, moczyłem się w wodzie do pasa i cierpliwie zawracałem konie. Jednak po kilku razach, kiedy ubranie nie nadążało wysychać przy ognisku, zacząłem się denerwować i coraz mocniej okładać konie batem. Było to dozwolone, zresztą po to mieliśmy baty, ale Kurde Felek nie był zadowolony. Przerwał nawet piszczałkowy koncert i zwrócił mi uwagę, żebym nie bił zwierząt. Sprawiało mu to ból. Okładałem konie jeszcze mocniej, nie tylko po to, żeby nauczyć je moresu, ale żeby dokuczyć Kurde Felkowi. Zorientował się, wyczuł moje zamiary i przed świtem, kiedy spędzaliśmy konie do zagród, powiedział:

— Wyglądałeś na pocziwego chłopaka, zawiodłem się. Żałuję, że zgodziłem się na przyjęcie ciebie do naszego grona, nie uświadomiłem chłopakom, że koń cię poniósł. Wyglądałeś pocziwie... Jeszcze będziesz miał niejedną okazję przekonać się, jak boli uderzenie batem...

Do tej pory nie wiem, co miały znaczyć jego słowa? Czy to tylko zwykłe ostrzeżenie mające odstraszyć mnie od używania bata, czy może próba małego szantażu? Widząc go, jak podbiega i chce pomóc Lucjanowi w okiełzaniu moich nóg, wnioskuję, że tamte słowa zapowiadały zemstę. Postanowił bólem odpowiedzieć na ból. Mało to prawdopodobne. Jego artystyczna dusza nie powinna znać takich uczuć. Jednak pomaga Lucjanowi. Krępuje

moje nogi i wspólnie niosą mnie w stronę rzeki, która jest już tuż-tuż.

Marian przerwał uklepywanie nóg, przestał również śmiać się? Stoi pośrodku rzeki i milczy. Jest wystraszony. Słyszy moje przekleństwa rzucane pod adresem Lucjana i Kurde Felka. W sinym blasku księżycy jest bardzo blady, kościotrup. Gwałtownie porusza brodą, chce coś powiedzieć, krzyknąć, powstrzymać ich. Jednak chęć pomocy kończy się na poruszaniu brodą. Nie słyszę nawet jego jądlenia.

Dokładnie widzę taflę rzeki. W świetle księżycy błyszczą głęboką czernią, roi się od tysięcy gwiazdnych iskiełek, mruga delikatnym przeginaniem fal. Wydaje się bardzo przyjazna. Już się uspokoiłem. Lucjan i Kurde Felek podchodzą ze mną do samego brzegu. Biorą duży zamach, kołyszą. Chwilami jestem nad wodą, chwilami nad łąką. Wystarczy w odpowiednim momencie zwolnić uścisk rąk. Polecę prosto do rzeki. Lucjan śmieje się, Kurde Felek również. Bawią się w najlepsze.

Chłopaków bardzo cieszyła moja przygoda z pedałem. Śmiali się przez okrągły miesiąc. Dowcipkowali, prosili kilkakrotnie, żebym dzielił się wrażeniami, pytali, czy jeszcze mam „wianek”. Na swój dyletancki sposób opowiadali, jak przebiegał stosunek Początkowo tłumaczyłem, że obudziłem się na czas, że nie było żadnego stosunku, ledwie doszło do przymiarki. Jednak nie docierało to do ich mózgowic. Woleli swoją prawdę, bo stwarzała ona możliwości wielkiego śmiechu. Aż musiałem jednemu z nich przerwać śmiech uderzeniem między oczy. Szkoda,

że to padło na Waldka. Najbardziej chuderlawy i największy idiota, może nawet nic nie był winien w wyreżyserowaniu całej sceny? Nie stać go na taki pomyślunek. Przydałoby się takiemu Belphegorowi strzelić w pysk, przebrać śmiech. Nie odważyłbym się. Mógłby mnie zgasić jak peta w popielniczce. Gdy uderzyłem Waldka, uciszyli się, ale nigdy nie zapomnieli.

Puszczają. Ciało błyskawicznie przesuwa się między rękami. Plusk. Fontanna wody. Trener zawsze radził: nim dolecisz do wody, nabierz pełne płuca powietrza. Nie panikuj, spokojnie, jak najspokojniej. Ciało samo wypłynie na wierzch, tylko pozwól mu na to. Palce przylegają do siebie, maksymalny wyrzut ramion. Oddech łapiasz pod prawą ręką, jeśli jesteś mańkutem, pod lewą. Mocno, mocno, jeszcze mocniej. Nogi... uważaj na nogi. Trzymaj je prosto, uderzaj bardzo szybko, ale trzymaj prosto. No widzisz, udało się. Możesz wracać.

Płynę do brzegu, na którym stoją Lucjan, Kurde Felek i Marian. Brzeg dość wysoki, będą kłopoty z wyjściem. Nie ma żadnych krzaków, których gałęzie mogłyby posłużyć za drabinę. Lucjan wyciąga w moim kierunku rękę. Nie powinienem jej przyjąć. Lucjan uśmiecha się i zdecydowanie podaje mi rękę. Kurde Felek podobnie. Uśmiechają się obaj, wyciągają ręce i ofiarowują pomoc. Rychło w czas. Patrzą mi szczerze w oczy. Na ich twarzach obecne ślady tylko zabawy. Decyduję się przyjąć pomoc.

— Ale miałeś pitra! Trząśłeś się jak galareta — mówi Lucjan. — Doskonale pływasz. Gdzie się tego nauczyłeś?

Nie powiesz przecież, że w naszej rzeczułce? No już, otrząśnij się i przestań dąsać.

Klepie mnie raz, drugi po plecach, aż widzę świętojańskie robaczki, i prowadzi w stronę ogniska. Jest serdecznie ubawiony.

— Chodziłem na pływalnię. — Na pierwszym roku studiów pływanie było obowiązkowe. W ramach wychowania fizycznego. To najmądrzejsze zarządzenie władz uczelni. Wszyscy pływali bez wyjątku. Chociaż tyle nauczyłem się w ciągu trzech lat studiów. Puculek był zdziwiony, kiedy pierwszy raz wskoczyłem do Białej, rzeki przepływającej w pobliżu Janowa, i bez trudu przeciwstawiłem się jej bystremu prądowi. Ona pływała bardzo dobrze, ale ja jeszcze lepiej. Byliśmy najlepszymi pływakami wśród obozowiczów. Umiejętność wyniesiona z uczelni przydała się nie tylko dzisiaj. Pod koniec sezonu w Białej topiła się Magda — dziewczę kościste i ryzykanckie. Nie umiała pływać, a postanowiła skorzystać z dobrodziejstwa wody. Prąd uniósł ją i rzucił pod brzeg. Tylko moja przytomność umysłu i dobra umiejętność pływania uratowały ją od niechybnej śmierci. Dzisiaj wzbudziła ona zachwyt u Lucjana, zmusiła go do pochwał. W ubraniu mogłem od razu pójść na dno, koniopasi mieliby sporo kłopotu z wydostaniem mnie. Wybawiłem ich od tego.

Idziemy przez łąkę w stronę ogniska, które tli się pod płaczącą wierzbą. Woda ścieka ze mnie jak podczas największej ulewy. Ubranie szczelnie przylega do ciała, krępuje ruchy. Lucjan nieustannie mówi o moim pływaniu, o

jego zabawie. Kurde Felek przytakuje mu. Marian biega wokół nas i cieszy się. Jest uradowany. Klaszcze w ręce, podskakuje.

Ściągam koszulę, rzucam ją na gałęzie ułożone w pobliżu ogniska. Ściągam spodnie i również rozwieszam na gałęziach. Ubieram się w jakieś stare ciuchy, które każdy z nas przynosi na czas chłodu przed wschodem słońca. Wełniany sweter naciągam na gołe ciało, na niego nakładam marynarkę Lucjana. Nogi owijam w derkę. Jest mi nieco cieplej. Ciało jeszcze szaleńczo drży, niedługo będzie mu ciepło. Na koniec ściągam buty i ustawiam je tuż przy ogniu. Muszą suszyć się dość długo.

Tak suszył się ojciec po każdym przemoczeniu ubrania. Latem zdarzają się u nas niespodziewane ulewy. Ojciec ma chromą nogę, jest to jego pamiątka z partyzantki. Nie może szybko uciekać. Zawsze przemoczy ubranie. Gdy wchodzi do domu, matka już czeka z suchą bielizną. Ojciec rozbiera się powoli i oddaje mokrą garderobę matce, która wiesza ją na piecu. Buty przykrywa kawałkiem tektury, grubszym papierem i wstawia do popielnika. Przebrany w suche ubranie, idzie do kredensu, wyciąga butelkę wódki i wypija kilka łyków, po czym siada przy piecu i zapala papierosa. Apetycznie zaciąga się dymem.

Z tego powodu rzadko wychodził w pole w czas deszczowej pory i pole z roku na rok jałowiało. Podczas krótkich pobytów w okresie wakacji usiłowałem przeciwstawić się procesowi jałowienia, nadrobić zaniedbania ojca. Na

niewiele to się zdało. Gospodarstwu potrzebne były młode ręce. Ojciec rzadko wychodził w pole, a każdy deszcz zawsze go moczył. Niedawno temu właśnie nie zdążył powrócić do domu przed deszczem. Był już na pastwisku, kiedy zaczęła się ulewa. Wybiegłem w jego kierunku z gumowym płaszczem, ale był już dostatecznie przemoczony. Machnął ręką, siarczyście zaklął pod nosem i pokuśtykał dalej nie skorzystawszy z mojej gorliwości. W rozmytych koleinach drogi ślizgał się, raz nawet przewrócił, jednak nie chciał przyjąć mojej ręki. Ukryty pod płaszczem szedłem z tyłu i obserwowałem jego chybotliwy krok. Prawa noga była zdrowa i odmierzała długie kroki, lewa — chora — niewiele wychodziła przed nią, właściwie tylko dosuwała się do prawej, nie nadążała. Mokra marynarka wisiała na jego plecach jak na strachu. Ociekała wodą. Spodnie opinały patyczki nóg i powiewały na boki przy każdym podmuchu wichury. Ojciec bardzo postarzał się w ciągu ostatniego roku. Zauważyłem to idąc za nim. Włosy spielaciały, ciało wychudło, twarz wydłużyła się i pomarszczyła. Tylko ręce, chociaż pokryły się siłą siatką żył, mocno chwyciły łopatę, siekierę, widły. Ręce ojca podobne były do korzenia jałowca, który z wiekiem porasta coraz większą ilością bulw, skręca się i przybiera w sile. Zawsze z podziwem spoglądałem na nie. Ojciec skoro tylko przebrał się w suche ubranie, wziął z kredensu butelkę z wódką i usiadł przy piecu. Z ławy stojącej obok wziął książkę, która nie wiadomo jakim cudem tam się znalazła. Dokładnie przyjrzał się okładce i pociągnął z butelki. Spojrzał na mnie.

Poczułem dreszcze na ciele i gorzki smak w ustach. Książka należała do współczesnych powieści, które kilkanaście lat temu masowo zalegały na księgarskich półkach. Kilkakrotnie zabierałem się do niej, ale nigdy nie mogłem doczytać do ostatniej strony. Zdenerwowany sztuczną ideą budowania odrzuciłem ją na bok. Nie wiem, dlaczego ją przywiozłem. Ojciec otworzył książka w przypadkowym miejscu i zaczął czytać. W izbie było ciemno. Przez niewielkie okno ledwie sączyło się szare światło, gdyż deszcz rzucał wodą po szybach pełnymi garściami. Ojciec wzrok mimo podeszłego wieku miał dobry, lecz nie mógł czytać w półmroku. Ruchem głowy polecił mi zapalić światło, po czym wskazał ręką na taboret stojący przed nim. Usiadłem. Podał butelkę, żebym pociągnął. Czytał. Chwilami przerywał czytanie, pociągał z butelki i spoglądał na mnie. Odpalał papierosa od papierosa. Nieraz podawał mi butelkę, ale uważnie śledził moje picie. Gdy pociągałem mocniej, znaczącym ruchem podnosił wskazujący palec prawej ręki. Tylko raz poczęstował papierosem. Czytał. Posłusznie siedziałem na taborecie i uważnie obserwowałem jego zachowanie. Matka cichutko krzątała się po kuchni. Jednym stuknięciem garniczka nie zmąciła ciszy. Po dwóch godzinach takiego czytania i takiego siedzenia zamknął książkę i spojrzał na mnie. Butelka była pusta. Oczy ojca podniecone alkoholem mocno świeciły. Ręce drżały. Żeby je uspokoić, odłożył książkę na ławkę i wsadził ręce między kolana. Zapytał:

— Zbudował ten nowy dom?

Nie znałem zakończenia książki, przecież nigdy jej nie doczytałem do końca. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wzruszyłem tylko ramionami.

— Ubranie pewnie wyschło? Deszcz przestał już padać. Pomożesz mi przy stodole, trzeba ją trochę poratować — powiedział ojciec, nie doczekawszy się odpowiedzi. Ciężko podniósł się z ławy i chybotliwym krokiem ruszył przez izbę. Ruszyłem za nim.

Lucjan wyciąga z kryjówki butelkę, podaje mi ją i każe rozgrzać się dużym haustem. Biorę łąpczywie, przykładam do ust. Język kołkowacieje, w gardle smak piołunu, do żołądka sączy się błoga spiekota. Przerywam. Podchodzi Marian i wyciąga rękę. Lucjan jest szybszy. Uderza Mariana po ręce i zabiera butelkę. Chowa ją do kryjówki. Jest to nasza spiżarnia ukryta między konarami płaczącej wierzby. Dobrze wiemy o niej i znamy jej zasoby, ale prawo korzystania z nich ma tylko Lucjan. Takie jego niepisane prawo. Obok stałego zapasu alkoholu są w niej konserwy mięsne, ziemniaki, sól. To nasza żelazna rezerwa. Bywają noce, kiedy wypróżnimy spiżarnię do ostatniej okruszyny. Wtedy zawsze jest wesoło. Na drugi dzień uzupełniamy zapasy, tworzymy nową żelazną rezerwę. Lucjan nie pozwala, żeby spiżarnia świeciła pustkami. Obok ceremonii wtajemniczenia jest ona oczkiem w głowie Lucjana. Przez pierwszą i drugą noc nie wiedziałem o niej. Było wtedy znacznie więcej koniopasów niż dzisiaj. Może dlatego Lucjan ukrywał spiżarnię? Całą noc nic nie piliśmy. Nawet Marian nie palił ogniska. Lucjan tłumaczył, że nie ma ziemniaków, więc nie należy marnować

drewna. Może się przydać podczas chłodnych nocy. Przyjąłem jego słowa bez zdziwienia, bo nie wiedziałem, że to tłumaczenie na niby. O spiżarni dowiedziałem się niedawno, dwie, trzy noce temu. Lucjan polecił Marianowi rozpaść ognisko i upiec kilka ziemniaków. Gdy płomienie zaczęły radośnie lizać ciemności, Lucjan podszedł do drzewa, wspiął się na palcach i z mroku wy dostał pokaźny worek. Zauważył przy tym, że go obserwuję. Uśmiechnął się, żartobliwie pogroził palcem i powiedział:

— To nasze wojenne rezerwy. Żebyś bez mojej wiedzy nikogo nie częstował. Nawet tam nie zagląda j, bo się potwórzy wczorajsze.

Miał na myśli obronę Andrzeja i lanie, jakie mi sprawił.

Marian rzuca na ognisko kilka bierwion. W kierunku gwiazd wznosi się wysoki słup iskier. Za nimi podążają płomienie. Komary, które już przyzwyczyły się do wielkiego światła i zbiły się w wirujący obłok, nagle rozpraszają się. Niewielka ich część, opaliwszy skrzydła, spada w ogień. Nagle robi się ciepło. Może to wódka tak rozgrzewa moje ciało? Księżyc wzbil się wysoko, zmierza w kierunku Dużego Wozu. Na niebie roi się niezliczone mrowie gwiazd. Przyglądają się ze zdziwieniem albo tajemniczo mrugają. Starzy ludzie mówią, że to aniołowie stróże. Wzniesli się wysoko, chcąc zobaczyć jutrzejszy dzień i poznać wszystkie niespodzianki i niebezpieczeństwa, jakie nam szykuje. Możemy spokojnie leżeć na derkach, palić papierosy i wsłuchiwać się w łąkę. Ktoś czuwa za nas.

Łąka jeszcze nie śpi. Oświetla ją siny blask księżycy i gwiazd. W pierwszym momencie wieczornego mroku, kiedy księżyc jeszcze nie wydostał się z uwięzi gór, a my jak marni żeglarze nie mogliśmy utrzymać steru i skierować okrętu na właściwy kurs, łąka zamarła. Przestraszyła się mroku, który zawsze nagle spada na naszą dolinę. Długo tak trwała. Dopiero rzeka początkowo delikatnym szmerem, potem wzrastającym kołysaniem światła na falach zaczęła ją rozbudzać. Gdy chłopaki wybiegli spod płaczącej wierzby na powitanie księżycy, łąka zaczęła żyć. Może to bosa stopy spowodowały szelest trawy? Wiatru nie było, więc nie on pochylał cienkie źdźbła. Teraz łąka kołysze się, tańczy powolne tango. Kurde Felek jeszcze nie nastroił piszczałki, jeszcze nie gra, a łące muzyka nie jest potrzebna. Ma jej dość w sobie. Chrabąszcze, motyle, które zasnąć nie mogą, pszczoły dalej myszkuje po kwiatach i ptaki ciurkające w krzakach tak ją roztańczyły, rozśpiewały, niby gwiazdy i księżyc pociągały smyczkami promieni po napiętych strunach roślin. Rzeka wtóruje im basowym pomrukiwaniem. I płynie muzyka, i trawy tańczą powolne tango, a owady nie mogą zasnąć.

Jesteśmy zapatrzeni, zasłuchani. Znieruchomieliśmy jak powalone posągi, jak kłody drewna. Lucjan oparł się o pień płaczącej wierzby, duma i pali papierosa. Kieruje oczy w stronę niewidocznej wioski, rozgląda się po łące, chyba nawet spogląda na nas? Jego ręce drżą. Pragnie je uciszyć, chowając do kieszeni. Jego niespokojny wzrok jak spłoszony zajęć skacze po ciemnościach. Dziwne jest to

pozostawianie Lucjana. Zostawiłby już te trzy skrawki pola porozrzucane po wiosce, zabrał rodzinę i wyjechał do dużego miasta. Na robotę pazerny. Żona też pójdzie na zarobek i powiążą koniec z końcem. Na starość zapewnią sobie państwowe utrzymanie. Dzieci do porządnej szkoły pójda i na ludzi wyrosną. Tylko ta łąka... Nieustannie szumi w uszach, nieustannie kołysze się w oczach. Rzeka rozcina ją na dwie nierówne części, zamienia w wyspy, wysepki... Jeszcze rzeka, która wije się, śmieje i wabi lodowatą tonią. Koń zawsze ma świeżą trawę i czystą wodę. W nadrzecznych krzakach mrowie hałasującego ptactwa. Ruch, gwar, przestrzeń. Drużyna posłusznych kompanów, zaufanych i wiernych, gotowych spełnić każde polecenie, zapatrzonych w niego jak w wodza. Niewielki pagórek ze świątynią płaczącej wierzby. I stara, wysłużona derka. Pamiętająca chwile dobre i chwile złe. Pierwszą miłość, którą zabrał mu jakiś przypadkowy włóczęga, następne miłości. Te jawne z obecną żoną i te kradzione, przypadkowe. Na derce jeszcze wyraźne ślady krwi, którą należało przelać w walce o tron po dziadku Michcie i ślady hucznych uct. Jak te wspomnienia porzucić, na zawsze wykreślić z pamięci? Czy będzie je miał w mieście?

Kurde Felek zbliżył się nieco do ogniska i w jego blasku przygląda się piszczałce. Wolno obraca ją między palcami, ogląda ze wszystkich stron, sprawdza. Jednak nie słyhać dźwięku. Kurde Felek przykłada ją tylko do ust, przymierza do warg i znów ogląda dokładnie. Piszczałka musi być lekka, zgrabna, dobrze ustawiona i dokładnie przedmuchana.

Stoi przed nią nie lada zadanie. Powinna dorównać chra-
bąszczom, motylom, wreszcie rzece. Naśladować głosy
przyrody to wielka i trudna sztuka. Może tego dokonać
tylko bardzo dobra piszczałka. Ten niewielki sęczek przy
ustniku będzie przeszkadzał. Przy niższych tonach nade-
rwane włókna mogą puścić. Należy wspomagać je palcem.
Utrudni to branie wszystkich tonów, wyłączy z gry jeden
palec. Pewnie dzisiaj nie dorównamy łące. Ale spróbuje-
my. Najgorszy lot trzmiela. Bzykanie jest okrutne dla pal-
ców. Muszą wibrować jak listki na wierzbie, drzeć jak osi-
ka przed deszczem. Jednak nikt ich od tego nie uwolni ani
w niczym nie pomoże. Mógłbym tylko ja, ale ja nie chcę.
Tamci to muzyczne beztaleńcia. Moja piszczałko, niedłu-
go weźmiemy się z łąką za łby, pokażemy jej, że sęk nie
obniżył naszej sprawności. Może ojciec posłyszysz granie i
przekona się do muzyki? Nie! On nigdy nie uwierzy mu-
zyce, nigdy się nie zgodzi. Gotowy jest kupić mi motor,
żebym tylko zaprzestał grania. Ręce moje potrzebne mu
są do pługa, a nie do instrumentu. Może zabronić mi
przychodzenia z końmi na łąkę. Zagramy tylko Lucjanowi,
Marianowi zagramy i temu nowemu, studenciakowi...

Marian, nie zważając na pochylonego nad ogniskiem
Kurde Felka, rzuca w płomienie kilka patyków. Ostatni
zatrzymuje w ręce i grzebie nim w rozżarzonych węglach,
w popiele, jakby poszukiwał ziemniaków. Popiół pokrywa
czubki jego rozczłapanych butów i jeszcze bardziej je po-
starza. Popielatymi plamami osiada na nogawkach
spodni, zamienia je w szmaty nędznie trzymające się nóg.

Marian nie zauważa tego, grzebiąc w ognisku. Ogień jest dobry, sprawiedliwy. Ogrzeje bogatego, ogrzeje włóczęgę, biednego też ogrzeje, każdego spragnionego ciepła ogrzeje. Każdemu upiecze ziemniaki i pożywi każdego. Może być matką i ojcem. Domem może być i młodą kobietą. Ogień jest bardzo sprawiedliwy, nie zna wyjątków. Jest piękny. Jest bardzo piękny, bo wypala zło. Rodzi się z woli Boga i z jego woli niknie, jak święte słowa w kościele. Na bogaczy i niesprawiedliwych spłynie ogień. Spłoną niby żdzbla trawy. Ostaną się jeno drzewa rodzące dobre owoce... Takiego wziąć sobie za brata. Żeby dał się zatrzymać, do kieszeni włożyć, za rękę poprowadzić. Żeby nie parzył, nie robił bąbli przy zbliżeniu. W nocne chłody byłby z niego dobry kompan.

Ognisko przygasa i rozbłyska, pulsuje życiem naszych myśli, naszych trosk, wreszcie naszą wyobraźnią. Zatacza coraz większy krąg światła i podchodzi do wioski. Oświetla ją, budzi ze zmęczonego snu, przypomina duże i małe problemy. Stara Kwapiszowa nie zasnęła jeszcze. Przewraca się po twardym łóżu i rozmyśla o synu, który obiecał przyjechać i obradlić ziemniaki. Może mu się jakieś nieszczęście przytrafiło? Do tej pory jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Od śmierci ojca przyjeżdża co tydzień i kosi, radli, sieje. Cała gospodarka na jego ręce czeka. Wszystko. Samochodem jeździ, mógł mu się wypadek przytrafić, Matko Boska... Jerzy Kwaśniewski czuwa przy ciężarnej kobyle. Spaceruje po podwórku i ogląda dobrze rozwijające się gospodarstwo. Za rok, dwa kupi traktor, a może

pożyczy pieniędzy i kupi jeszcze tego roku, przyczepę kupi i urządzenie do opryskiwania drzew. Nie będzie się prosił tych z kółka rolniczego. Jabłonie w tym roku zawiązały się bardzo ładnie, powinien być obfity zbiór. Najmie kilku pracowników i w trzy dni uporają się z owocobraniami. Żona będzie rodzić dopiero późną jesienią, więc jeszcze pomoże tego lata. Zachodzi Jerzy Kwaśniewski do sadu, zatrzymuje się przy jego ogrodzeniu i długo patrzy w stronę łąki. Edek Małecki — zwany przez wszystkich Kierdą — skończył wreszcie spawanie ogrodzenia. Jutro skoro świt przyleci Pietryjos i będzie kłął, że tak mu opóźnił robotę. Miesiąc temu winna być gotowa. Świeży grosz wpadnie jutro. Będzie dzieciom na buty, żonie na kieckę i jeszcze na pół litra zostanie. Zgasił Edek Małecki światło w warsztacie urządzonym w starej szopie i zadowolony z siebie poczłapał w kierunku domu. Wieś, chociaż pogasiła światła, nadal pulsuje pojedynczymi drgnieniami, łączy się z nami przyczajonymi pod płaczącą wierzbą. Wspólnie więc czuwamy.

Patrzę na ognisko, na kompanów, na wioskę bardzo uważnie. Wyteżam wszystkie swoje zmysły, usiłuję przeniknąć do nich i odczytać. I chociaż spuściłem głowę, udając, że jestem pochłonięty sobą, niezauważalnie zerkam na nich i śledzę bieg myśli. Początkowo udaje się bez trudności. Rysy ich twarzy wyraźne, oczy szczerze oddają uczucia. Pomagają przy tym ręce charakterystycznym gestem albo nogi skrzyżowane lub drepczące w miejscu.

Nieraz piersi ze zmęczenia głęboko zaciągnawszy się powietrzem wznoszą się i opadają, próbując zrzucić ciężar. Obserwuję tak, dopóki z twarzy ich nie znika blask jasnych myśli, wyraźnie sprecyzowanych sądów. Oczy zaczynają zachodzić mgłą, twarze nieruchomieją, zamieniają się w bezmyślne maski. Ręce bezwładnie opadają wzdłuż ciała, nogi krzyżują się i również zamierają. Łąka unoszona jakąś magiczną siłą oddala się, rozmywa swoje kształty, rozmienia na szereg drgających punkcików. Przeraza mnie wielki mrok połykający rozpedzony samochód. Kopuły strachu równo rozstawione wzdłuż drogi migają w szparach oczu. Chwilami w wielkim pędzie nadlatuje z przeciwka stalowy potwór o dwóch gorejących ślepiach, porykujący głośnym klaksonem. Z tyłu zostali matka z ojcem. Trzymają w spracowanych rękach talerz wystygniętej zupy, spoglądają na zapuszczone pole i na mnie, który coraz szybciej znikam w mroku października. Autobus unosi mnie do wielkiego miasta. Mam w nim pobierać dalsze nauki. Gwiazdy ledwie znaczące się na horyzoncie gwałtownie powiększają swoje wymiary. Zamieniają się w wielką krzyżówkę światełek rozwieszonych na kwadratowych konstrukcjach. Wzdłuż ulic zawieszono są dwoma szeregami na niewidzialnych nitkach. Jak wielki musiał być pająk, który wysnuł tyle pajęczyny i ułożył ją w tajemniczą roszadę. Czy spotkam go kiedyś i przyjdzie mi toczyć śmiertelny bój o życie? Czy pokonam go, rzucę na kolana? Pajęczyna wisi nad wielotysięcznym miastem jak całun. Pochłonęła już setki ofiar. Czy ja będę jedną z nich? Ojciec wyjazd na studia przyjął z drzeniem serca i

rak. Wymarzony następca uciekał w mrok nocy, w wielką kaskadę świateł pospieszonym autobusem. Ojciec jeszcze stoi w furcie i robi znak krzyża, matka obciera łyż. Wędrówka do miasta pełnego światła trwa wiecznie. Tylko nieraz zmienia się jej kierunek. Powracam. Miasto oddala się, a przybliża ojciec. Oczekuje mnie na polu, żąda pomocy przy żniwach, wykopkach, siewach. Matka nieustannie stoi na progu domu i na wyciągniętej dłoni podaje chleb grubo smarowany masłem. Ledwie witam się z nimi, szybko zamieniam kilka słów i znów odjeżdżam. W mieście witają mnie koledzy: Belphegor, Waldek, Zbyszczek, Kazik. Siedzą pośrodku pokoju i grają w karty. Skoro tylko pojawiają się w drzwiach, jeden z nich, najczęściej Belphegor, ustępuje miejsca. Woli poczytać. Książki w równych szeregach spoczywają na półkach, spoglądają na nasze ręce łapczywie chwytające karty, na oczy zapatrzone w przeciwnika. Duszą im w papierosianych wyziewach, więc zółkną. O określonej godzinie, którą przypomina gwałtowny skurcz żołądka jak dzwonek na przerwę lub lekcję, zbiegamy do stołówki, pożeramy wydzielone porcje i znów pospiesznie unosimy się po schodach do pokoi. Wreszcie kończymy męczącego robra. Musimy biec na uczelnię, słuchać słów mistrzów, śledzić ich myśli, pospiesznie notować w zeszytach. Przenosimy się do bibliotek, by ze starych woluminów ścierać kurz i karmić się niezrozumiałą papką. Spotykamy dziewczyny, obejmujemy je, wiemy do akademików albo do botanika, po

spieszniekopulujemy. Gdy pajęczyna światła rozbłyska nad głowami, wracamy do kwadratowych pokoi. Zасыpiamy w norach piętrowych łózek i śnimy o lesie, o wielkim polu, o wielkiej wodzie. Nieraz pojawia się ojciec. Stoi pośrodku pola, drapie się po głowie i zastanawia, skąd tyle chwastów. Matka niesie w koszyku świeże bochny chleba. Lecz wystarczy wyciągnąć rękę, sen pryska. Nora śmierdzi duszącym potem, nikotyną i kurzem wdzierającym się z ulicy. Zaczynamy taki sam dzień, powtarzamy te same czynności, wypowiadamy podobne słowa, wykonujemy znane gesty.

Jesteśmy tak zapatrzeni, zasłuchani tylko przez kilka minut, które konieczne są na krótki odpoczynek po harcach, a wydaje się, że upływa cała wieczność. Wreszcie Lucjan przerywa swoje zadumanie i podpieranie drzewa.

— Niech to jasny piorun...!

Klnie głośno, czym przerywa nasze odrętwienie. Kurde Felek przestraszył się nieco i przypadkowo dmuchnął w piszczalkę. Niekontrolowany dźwięk zabrzmiał jak echo przekleństwa. Marian przerwał rozgrzebywanie popiołu i zaczyna sadzić ziemniaki. Ja wzdrygam się. Ubranie moje jeszcze mokre, a to, które mam na sobie, nie chroni przed chłodem, szczególnie derka. Alkohol przestał rozgrzewać.

— Smętnie dzisiaj i ponuro — mówi Lucjan, usprawiedliwiając swój gwałtowny wybuch. — Baba by się przydała.

— Albo butelka. Mógłbyś dać jedną. Może nocą nie

będzie chciało się pić? Jutro uzupełnimy — prowokuje Lucjana Kurde Felek.

— Nie można. Zaraz się upijesz i nie będzie grania. Właśnie, dobra myśl. Powinieneś już zagrać. .

— Dzisiaj nie mam ochoty. Piszczalka się nie udała. Sęk przy ustniku.

— Cholera, nic nam dzisiaj nie wychodzi. Kulawy Franek by się przydał.

Lucjan wspomina kulawego Franka, który co prawda nie należał do koniopasów, ale często zachodził pod płaczącą wierzbę i rozweselał zebrane tu towarzystwo. Kierował paczką kosiarzy zarobkowo wynajmujących się do roboty. Za gorliwe używanie noża powędrował do więzienia.

— Musimy jeszcze poczekać parę latek — mówię do Lucjana.

— Z czego ty się najbardziej cieszysz.

Lucjan robi aluzję do mojego planowanego pojedynku z kulawym Frankiem. Sprzątnąłem mu sprzed nosa Baškę. Nie doszło między nami do bitki. Może kulawy Franek podarowałby mi? Ja jego zrobiłem w konia, a Baška mnie. Wyjechała bez pożegnania i słuch o niej zaginął.

— Może tak, może nie? Pięćdziesiąt procent wygranej teoretycznie należało do mnie.

Mówię buńczucznie, bo wiem, że nigdy nie dojdzie do tego pojedynku. Wtedy miałem potężnego pitra. Ojciec dał mi nóż, żebym godnie stanął przeciwko Frankowi, ale nie skorzystałem z tego. Nóż zagubił się gdzieś. Bitnik to ja nie jestem, lecz od parady pięści nie noszę. Marian Jakubiak, historyk często grywający z nami w karty, nazwał

kiedyś Pucułka „zdrową dupą”. Bez zastanawiania huknąłem go w pysk, a gdy leciał na ziemię dołożyłem kopniakiem. Mało mu było. Zerwał się i skoczył do mnie z pięściami. Nim dołożyłem mu drugi raz, bykiem rozłożyłem mnie na podłodze. Poczułem ostry ból w prawym łokciu, co rozsierdziło mnie całkowicie. Nie zważając na liczne ciosy Mariana, parłem do przodu. Oberwałem zdrowo, ale wreszcie dopadłem skurczybyka, zdusiłem, przyparłem do ściany. Oczy wylazły mu na wierzch, na ustach pojawiła się piana. Głośno charczał. Uduśliłbym gieroja. Doskoczyli chłopaki i z wielkim trudem odciągnęli mnie od ściany i od niego. Na zgodę wypiliśmy wódkę. Marian nigdy więcej nie wyraził się o Pucułku źle ani mi nie podskoczył. Z kulawym Frankiem na pewno nie poszłoby tak łatwo, ale gram chojraka i odcinam się Lucjanowi. Jest trochę zdziwiony moim pewniactwem.

— Lubisz grać gieroja, ale często kończy to się dla ciebie zbyt przykro — pewnie ma na myśli obronę Andrzeja Kujawy i lanie, jakie mi sprawił.

— Nic dziwnego. Łatwo się bije, gdy przeciwnika trzyma dwóch goryli.

Lubię Lucjana, mimo to zawsze ustawiam się bokiem, sprzeciwiam jego zarządzeniom, nie chcę uczestniczyć w zabawie, którą wymyślił. Jestem zdziwiony, że czterdziestokilkuletniemu chłopu chce się pilnować dawno zapomnianego obrzędu koniopasów, zabawiać w idiotyczne wtajemniczenia, ślęczyć nocami pod krzakiem. Kurde Felek i Marian to młokosy, imponuje im przygoda. Mnie też. Jest to wielka odmiana w dreptaniu między uczelnią,

stołówką i akademikiem, w łażeniu do tych samych dziewczyn, graniu w karty z tymi samymi kumplami. Lucjan od dawna mówi o wyjeździe do miasta, ale termin odkłada z dnia na dzień, tłumacząc się nieuregulowanymi sprawami gospodarki, koniem. Wiadomo, że chodzi mu tylko o ślęczenie pod wierzbą.

— Ostatnie mordobicie niewiele cię nauczyło. Jeżeli jeszcze pragniesz, możemy powtórzyć — pewnie o tych „goryli” mu poszło.

— Czy będzie to twój ostatni wyczyn przed wyjazdem do miasta?... — Sytuacja staje się niebezpieczna. Dalej naciągam strunę, igrmam z ogniem.

— Czy ostatni? Zobaczymy.

— Wsadzisz mi głowę w muł jak Zborowskiemu, czy powtórzysz popisy bokerskie?

Struna pęka, ogień zaczyna parzyć. Lucjan doskakuje do mnie i leżącego chce przygnieść kolanem. Odwracam się gwałtownie. Kolano trafia w pustą derkę. Doskakuje do nas Marian, chwytając Lucjana za pas i ściągając z derki. Szamocą się długo, ale Marian nie puszcza. Lucjan okłada go pięściami, bije po twarzy, piersiach. Marian nie może się osłaniać ani odwzajemniać, bo nieustannie trzyma za pas. Chowa tylko głowę i część ciosów trafia w próżnię albo w barki. Dopiero uderzenie kolanem w podbrzusze powoduje, że Marian puszcza pas i przykuca z grymasem bólu na twarzy. Lucjan jest wolny, może dokończyć krwawego dzieła. Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, nie czyni tego. Podnosi się z wielką ociężałością, jakby szarpanina zmęczyła go. Idzie w stronę płaczącej wierzby.

Wyciąga ze spiżarni butelkę i pije z niej dużymi łykami. Przerывa. Po namyśle podaje ją mnie. Pociągam sporą porcję i oddaję butelkę Marianowi.

Skoro ojciec poprosił mnie o pomoc przy reperowaniu stodoły, myślałem, że zapomniał już o moich „niewiadomojakich” studiach i o książkach, które w jego odczuciu niczego nie uczyły. Przecież już nie był zdolny postawić nowego domu, mógł jedynie reperować, pytać o papierowe budowle z książek. Dobrze pamiętam, jak cieszył się, gdy poprzednich wakacji pomogłem mu układać nowe poszycie na chlewie. Nawet postawił z tej okazji wódkę. Sam pił wiele, chociaż mnie przestrzegał przed alkoholem. Wtedy z radości postawił wódkę. Po pijanemu zaczął namawiać, żebym rzucił te „niewiadomojaki” studia i wziął się za gospodarkę. Urodziwą pannę mi szykował. Moje kilkuletnie oddalenie na naukę w szkole średniej niewiele go nauczyło. Nadal marzył, żebym został na tych paru kromkach pola, przywdział jego garnitur, w rękę pochwycił dziadowski bat i od świtu do nocy łąził za koniem. Roześmiałem mu się w twarz i zakomunikowałem, że za tydzień jadę na obóz hippiczny do Janowa. Wiedziałem, że nie rozumiał, o jaki obóz chodzi, ale nie to było najważniejsze. Dla niego znów chciałem odjechać, zostawić go z matką, skazać na wysiłek ponad ich siły. W tamtej chwili chętnie zrezygnowałbym z wyjazdu, jednak przyrzekłem Pucułkowi i nie mogłem się wycofać. Ojciec wstał, chwycił się za brzuch i wybiegł z izby. Po powrocie był dziwnie blady, a przerzedzona czupryna sterczała jak

chochoł na kopce siana. Mimo tego incydentu pozostaliśmy w zgodzie. Wódka, a właściwie nowe poszycie na chlewie pogodziło nas i zjednoczyło do końca mojego pobytu. W dzień wyjazdu uściskał mnie i w tajemnicy przed matką wręczył pięćset złotych. Pewnie kosztowało go to wiele wyrzeczeń, niejednego kielicha musiał sobie odmówić. Powiedział: — Weź i pamiętaj, żeś gospodarski syn.

Pamiętałem do spotkania z Pucułkiem. Dołożyła część swoich oszczędności i kupiliśmy nowe buty do konnej jazdy.

Skoro tylko ruszyłem za ojcem w stronę stodoły, pomyślałem, że praca zatrze niedopowiedzenia, jakie ostatnim czasem pojawiły się w naszych rozmowach. Staniemy z ojcem przy jednej żerdzi, wejdziemy na wspólną drabinę i poczujemy, że chociaż różna siła w naszych nogach, kroki takie same. Prawy narożnik stodoły zapadł się. Spróchniałe żerdzie nie udźwignęły ciężaru strzechy. Należało wymienić je na nowe. Ojciec miał już przygotowane drewno. Leżało przy szopie przykryte kilkoma kawałkami papy. Kopnąłem w nie nogą. Spod papy wysypało się robactwo i w okamgnieniu rozbiegło po podwórku. Dobrze, że kury okazały się bardzo zwinne i głodne, bo robactwo rozeszłoby się po całym gospodarstwie.

— Trochę za dużo stonóg, pajaków i innych robaków — mimo pokojowego nastawienia uszczypnąłem ojca.

— Jak w każdej zapleśniałej dziurze.

Ojciec nie przyjął wyzwania, odpowiedział rzeczowo. Chwytał poszczególne kawałki papy i odrzucał na bok.

Wysypywały się spod nich całe roje ruchliwego robactwa. Wiklinową miotłą ogarniał żerdzie z pajęczyny i strachliwego robactwa. Stonogi włąziły na buty ojca, pięły się po nogawkach jego spodni, szukały bezpiecznych kryjówek w zakamarkach jego ubrania. Ojciec podskakiwał, strzepywał stonogi z ubrania, rozgniatł je w mokrej ziemi. Uśmiechałem się, widząc jak z wielką zawziętością tłamsi stonogi, rozdeptuje na miazgę. Przepędzał kury, żeby móc dopaść robaka i uśmiercić go. Był po dobrej wódce, więc częściej niż zwykle potykał się, kłął i biegał po podwórku. Przypominał Don Kichota walczącego z wiatrakami, tylko że groteskowość jego ruchów była spotęgowana. Zadyszał się, spocił. Nasze pojednanie poprzez pracę zapowiadało się bardzo komicznie. Ojciec pajacował za robakami, ja stałem z żerdzią w ręce i śmiałem się coraz głośniej. Wreszcie ojciec przerwał wielką wojnę.

— Na dzisiaj wystarczy — mruknął pod nosem, zapowiadając, że jeszcze nie kończy walki z robakami.

Wydostaliśmy kilka żerdzi, ociosali dokładnie, zerwali spróchniałe, które nie udźwignęły ciężaru strzechy. Z wielkim mozołem założyliśmy w miejsce starych nowe. Narożnik stodoły wyprostował się, dorównał linią pozostałym. Ojciec odszedł na środek podwórka, obszedł stodołę dookoła. Nieustannie uśmiechał się i coś mruczał pod nosem. Zapomniał już o robakach. Nareperowany narożnik przysłonił mu oczy, że tylko jego dostrzegął. Zadowolony był z wykonanej pracy.

— Teraz wygląda jak nowy. Stodoła jeszcze kilka lat wytrzyma, zobaczysz — zapewniał ojciec, chociaż niezbyt mnie to interesowało.

Po słowach tych skierował się w stronę szopy i ciężko usiadł na resztkę żerdzi. Wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów i poczęstował mnie. Łakomie zaciągaliśmy się dymem. Ojciec nic nie mówił. Co chwilę strzepywał popiół i uważnie studiował napisy na opakowaniu papierosów. Czułem, że coś gryzie w sobie, coś go gnębi, tylko nie ma odwagi głośno o tym powiedzieć. Znałem go od tej strony bardzo dobrze. Do każdej ważnej rozmowy przygotowywał się długo w ten sposób. Właśnie siedział na resztkach sterty żerdzi, bezmyślnie przyglądał się bladym napisom i dumał, porządkował myśli i słowa. Należało spodziewać się trudnego pytania albo wyjątkowo treściwej wypowiedzi. Z niecierpliwością czekałem, co znów wymyśli.

— To powiedz, jak on budował dom? — ojciec nagle przerwał w połowie palenie papierosa, wdeptał go w ziemię, gwałtownie odwrócił się w moim kierunku i zapytał.

Nie spodziewałem się takiego pytania. Nie byłem na nie przygotowany. Raczej układałem odpowiedź na temat studiów albo ostrą ripostę na ewentualne prośby o pozostanie na gospodarce. Kilka razy już poruszał ten temat i miałem przygotowane różne warianty odpowiedzi. Pytania o budowę domu przez bohatera literackiego nie spodziewałem się w najśmielszych przypuszczeniach. Dlatego bardzo mnie zaskoczył, stłamsił, przyparł do ściany szopy. Nie podejrzewałem, że kilka stron bardzo przeciętnej powieści

przeczytanych podczas suszenia ubrania i pociągania z butelki wywrze na ojcu takie wrażenie. W chwili zaskoczenia nie mogłem przypomnieć sobie ani postaci głównego bohatera, ani problematyki utworu. Zdecydowałem się na wielkie kłamstwo.

— Wie, ojciec, budowanie może być różne, szczególnie jego przyczyny, pobudki... Zależy, jaki autor podejmie ten problem i czego on dotyczy — lawirowałem w słowach usiłując zwieść ojca na manowce. Nie spodziewałem się łatwego wybrnięcia z sytuacji, mimo to podjąłem pierwszą próbę.

— Oborę też można budować, ale on dom budował i o tym mi powiedz — drżącym głosem przerwał ojciec, naprowadzając mnie na właściwy temat.

— Tak, rozumiem... Budowanie domu może być w sensie zakładania rodziny... zabiegów o przydział mieszkania, potem meblowanie go, urządzenie, znalezienie wygodnej i dobrze płatnej posadki, ożenienie się z atrakcyjną dziewczyną, na przykład z... — Nie mogłem wskazać z kim. Pucółka absolutnie nie brałem pod uwagę. Właściwie o małżeństwie nigdy jeszcze poważnie nie myślałem. Ojciec nie przerywał. Słuchał wpatrzony w końce swoich rozczłapanych butów. Gdy wspomniałem o ożenku, spojrzął na mnie pytającymi oczyma i, nie doczekawszy się odpowiedzi na nieme pytanie, wolno spuścił głowę. Brnąłem więc dalej. — Należy bardzo uważać, bo ten dom-rodzinę buduje się, powinno się budować raz w życiu, ale nieraz

partnerzy się nie dobiorą i wtedy trzeba budować drugi dom... — Ojciec na wspomnienie drugiego domu-rodziny zdenerwował się. Zgniół ledwie przypalonego papierosa w palcach i zacisnął pięści. Przeszarżowałem. Ojciec nie uważał rozwodów, ponownych małżeństw, nie wierzył w tak zwane niedobranie się partnerów. Wychodził z założenia, że chłopu wolno znacznie więcej niż babie, ale rodziny dwa razy nie powinien zakładać. Sam często kłócił się z matką, a nawet miał pokątne miłostki, nigdy jednak nie zamierzał zakładać rodziny od nowa. Wiernie trwał przy matce i przy mnie. Tym zdenerwowaniem dał mi do zrozumienia, że ma już dość bajdurzenia na temat zakładania rodziny. Postanowiłem sięgnąć po inną interpretację. — Budowanie domu można również pojmować, jako budowanie domu. Czyli zwożenie materiału, drewna, cegły lub kamienia, staranie się o pozwolenie i projekt, murarzy, cieśli, zduna i innych fachowców, a potem meblowanie go... Zwykle dom buduje się w młodości, zaraz po ożenku. Większość tak robi...

— Szczeniak jeszcze jesteś. Gównu wiesz — ojciec spojrział na mnie wrogo i przerwał bajdurzenie. Nagle zaczęły mu drżeć ręce. Spomiędzy palców powykrzywianych reumatyzmem wypadł zgaszony papieros, a oczy opanował strach. Biegały po podwórku, po chwastach, trupach robaków, spoglądały na zabudowania, na rdzewiejący pod gruszą pług i przewracający się płot.

— Tak, szczeniak nadal jesteś — powtórzył ojciec. Zaciśkał pięści, żeby uspokoić drżące ręce, zaciskał powieki, chcąc uciszyć strachliwe oczy.

Nie udało mi się wielkie kłamstwo o budowaniu domu. Co ja mogłem o tym powiedzieć? Szkoda, że od razu nie przyznałem się, iż nie pamiętałem problematyki książki, tylko zabawiałem się w moralistę. Jak mogłem się przyznać? Co pomyślałby ojciec o moich studiach? To nie medycyna ani nie rolnictwo.

— Myślałem, że opowiesz mi tę książkę. Pewnie ją mądrzy ludzie pisali, skoro o budowaniu domu jest? — ojciec usprawiedliwiał drżenie rąk, spłoszenie oczu, usprawiedliwiał wreszcie ton poprzedniej wypowiedzi.

Nie miałem mu tego za złe. Przekonanie, że praca znów nas połączy i nieporozumienia wywołane książkami znikną, przysło. Ojciec zapalił kolejnego papierosa, nisko zwiesił drżącą jeszcze głowę i zadumał się. Zawstydzony i zdruzgotany siedziałem obok niego na stercie żerdzi. Uszanowałem jego skupienie, nie przerwałem ani jednym słowem. Siedzieliśmy tak blisko godzinę. Zbliżał się wieczór i czas obrządku. Poruszyłem ojca za ramię.

— Odejdź - powiedział, nie podnosząc głowy.

— Graj, już wystarczy strojenia — słyszę głos Lucjana, który przerywa moje wspomnienia.

Kurde Felek cały czas stroił piszczałkę, aż zdenerwowało to Lucjana i kazał mu wreszcie grać. Usłyszałem jeszcze kilka rwanych dźwięków, raz wysokich, raz niskich albo bardzo krótkich, samo dotknięcie ustnika i przyłożenie palca, jakby wiatr zaplątał się w wyżłobieniach instrumentu. Kurde Felek głęboko odetchnął i dla rozgrzania, rozruszania palców puszcza bardzo szybką wprawkę.

Dźwięki gonią się w szaleńczym tempie, me nadążają ustępować sobie miejsca i kotłszą się, przepychają w niewielkich otworach. Chwilami jest to rżenie koni, beczenie owiec albo dalekie pomrukiwanie zbliżającej się burzy. To znów wartki prąd rzeki kołatający się po kamieniach, nieustannie wadzący o korzenie nadbrzeżnych krzaków wypływa na rozległe niziny, gdzie żółty piasek, duża przestrzeń, przystanąć można i spokojnie rozejrzeć się dookoła. Już przyzwyczailiśmy się do palców Kurde Felka tworzących nad puszczką ledwie dostrzegalną mgiełkę, do warg lekko wybrzuszonych na ustniku, do policzków wzdymających się i zapadających i nagle stop! Kurde Felek przerywa. Obciera rękawem koszuli spocone czoło, majstruje coś przy kołku zamykającym puszczkę, spogląda po nas. Jesteśmy zaskoczeni i oszołomieni, trwamy w bezruchu, czekamy na dalszą grę. Lucjan również czeka. Kurde Felek uśmiecha się dyskretnie. Zadowolony jest z zafascynowania, jakie dostrzega na naszych twarzach. Dotyka puszczki po raz drugi. Znów kilka dźwięków mało współbrzmiących z sobą, skłóconych, chrapliwych, jakby popsuta się puszczka albo Felek zapomniał dawnego grania. Jesteśmy zaskoczeni i zdziwieni. Nigdy mu się jeszcze nie przytrafiła taka plajta. Mimo że dźwięki płyną nadal, spoglądamy po sobie. Lucjan przypala papierosa. Jest trochę zdenerwowany. Marian wierci się, jakby chciał pomóc Kurde Felkowi. Ja również nie mogę udzielić mu żadnej rady, nie znam się na muzyce. Dźwięki rytmicznie dudnią, powtarzają się, jakby zimową porą na łące pojawił

się jeleń i głośno walił kopytem w skamieniałą ziemię. Teraz wznoszą się, wypogadzają. Już wiem, wiem pierwszy. Idziemy z Felkiem do szkoły. Na niebie świeci słońce, wokoło kwiaty i motyle, idziemy po moście. Kroki rytmicznie dudnią. Wymachujemy teczkami. Jest nam wesoło i beztrosko. Niedawno pobiliśmy się o kolorowego motyla, który usiadł na ścieżce i nie mogliśmy się zdecydować, kto z nas pierwszy rzuci w niego teczką. Teraz pogodzeni, różnym krokiem idziemy do szkoły. Muzyka cichnie. Korytarzem idzie woźny i wielkim dzwonkiem zapędza nas na lekcje. Na tle monotonnego szmeru klasy zgrzyt stalówek jak pochłipywanie. Felkowi sypie się kolejna bateria dwój. Płacze Kurde Felek. Nie może sobie poradzić z matematyką, z językiem polskim, z przyrodą. Tylko ze śpiewu jest prymusem. Dźwięki akordów wznoszą się i opadają w miarę, jak Felek śpiewa, puszcza wodze głosu i jesteśmy zasłuchani, zauroczeni. Wracamy do domu bardzo posępni. Śpiew Felka był piękny, ale znów dostał kilka dwój. Nie słyszymy szeptu łąk, szmeru rzeki, niskiego przelotu ptaków. Słyszymy tylko płacz. Ojciec powalił Felka na ziemię i okłada go długim pejczem. Felek wyje z bólu, tarza się po ziemi i przyrzeka sumiennie przysiąść do książek. Dźwięki powtarzają się, bo codziennie powracają te same sceny, a śpiew jest coraz bardziej anielski, że zapomina Felek o przyrzeczeniach dawanych ojcu. Z wielkim trudem kończy szkołę, chociaż z grania jest prymusem. Nauczyciel chwali go, a kierownik szkoły stawia za przykład samorodnego talentu.

Felek chce jechać do miasta i uczyć się grać, i śpiewać całymi godzinami. Ojciec wielkim powozem przywiązuje go do gospodarstwa, ręce oplątuje lejcami, często wkłada w nie widły, grabie. Felek wyrywa się do Jana Sroki i Antoniego Głuszka, wtedy ojciec daje mu dwa konie, żeby pędził na łąkę, motor obiecuje kupić. Felek płacze, płacze jego piszczałka. Marnuje się Felek. Każdego wieczoru wypędza konie na łąkę, struga piszczałkę i płacze na niej. Słyszymy ją codziennie. Zawodzi nad łąką i opowiada o Felkowej niedoli, o koniach, o nas.

Lucjan śmieje się. Patrzę na niego uważnie. Mimo śmiechu jego twarz dziwnie ściągnięta, naprężona. Na czole i policzkach splątana siatka żył, jakby płacząca wierzba weszła pod skórę. Oczy wielkie, wytrzeszczone. Wyziera z nich nienawiść. Tylko broda trzęsie się nieustannie i wypuszcza przez kratę zębów rechot, gdakanie kwoki. To śmiech mocnego człowieka, który musi się śmiać z muzyki, bo nie wypada płakać, rozczulać się. Podobą mu się to granie o łące, o koniach. Wiatr zaplątany w wyłobieniach instrumentu również mu się podoba, ale czy można... Gdyby uronił jedną łezkę, już nie powstrzymałby następnych.

Marian nie żałuje sobie, nie zna żadnych przeszkód. Głośno łka. Chwilami powstrzymuje się i gwałtownie porusza brodą. Chce coś powiedzieć, podzielić się z nami nędznym losem. Słyszymy jądlenie, jakby echo łkania. Nie pomaga rozkładanie rąk, pokazywanie na palcach. Nie rozumiemy go, nie możemy zrozumieć, bo nie znamy jego

języka. Łka więc Marian jeszcze głośniej.

Kurde Felek przerywa. Kilkakrotnie powtarza ostatnie akordy, utrwala je w naszej pamięci i ostatecznie przerywa granie. Marian całuje go po rękach. Całuje również piszczałkę. Obejmuje Felka, dziękuje mu za wspaniałą grę.

— Kurde, mówiłem, że się nie uda. Sęk przeszkadza. — Felek nie jest zadowolony z piszczałki, nawet głośno ją krytykuje. — Przepuszcza powietrze, a w ogóle to... Marian, kurde, zobacz co z ziemniakami, głodny jestem — niespodziewanie zmienia temat, przypomina o potrzebach żołądka.

Zawsze z wielkim zażenowaniem patrzyłem na artystów, a pisarze czy poeci przyprawiali mnie o gęsią skórkę. Uważnie przyglądałem się głowom, oczom, ustom i oczekiwałem, kiedy zaczną z nich parować wielkie metafory, zaskakujące fabuły. Wyobrażałem sobie, że lada moment zaczną wić się w wielkich bólach i powiją kolejnego bohatera. Już w szkole średniej wyobrazenie to zaczynało pryskać, na studiach proces jego rozpadu jeszcze się pogłębił. Mimo tego nadal na literatów, nawet literatów-kolegów, spoglądałem z zażenowaniem. Zawsze w ich obecności czułem się maluczki, taki wystraszony zajaczek, co to po wielkim biegu przysiadł pod miedzą i drży. Z Belphegorem, okrzyczanym i bardzo modnym poetą, nawet mieszkałem. Jednak codzienne obcowanie nie doprowadziło między nami do zażyłości. Nieustannie dzielił nas parawan metafory. Z zazdrością czytałem jego wiersze drukowane w prasie i na plakatach. Wódkę mu stawiałem,

po knajpach ciągałem. Nie wiedział, dlaczego to czynię. Pił i recytował wiersze. Słuchałem z uwielbieniem, stawiałem nową wódkę, aż upijaliśmy się do nieprzytomności. Jednego razu Belphegor zaprosił mnie i pozostałych kolegów z pokoju na wieczór poetycki Samsary do „Arcusa”. „Arcus” to klub studencki położony w centrum miasta. Jego kierownikiem był również poeta — Cugow. Dla mnie, dla Waldiego, Kazika i Zbyszka „Arcus” to zakrzepła w stare mury poezja, jedna wielka metafora z czerwonej cegły. Wystroiliśmy się w najlepszy przyodziewek i pomaszzerowaliśmy do centrum. Oszczędności rozmienione na świecący metal obiecująco pobrzękiwały w kieszeniach. Przy teatrze skręciliśmy w prawo i przez niewielki klomb doszliśmy do klubu. Było już trochę uczestników. Kilka dziewczyn, dwóch brodatych obdartusów i dziennikarka. Za nami przyszły całe rzesze wielbicieli poezji Samsary. Poeta Cugow zaprowadził nas do największej sali z niewielką scenką, na której królował dużych rozmiarów sedes. Zamknął kratę zastępującą drzwi i demonstracyjnie wyrzucił klucz przez okno. Przeszedł nas dreszcz emocji. Inni zaczęli się śmiać albo w ogóle nie zauważyli gestu Cugowa. Zbyszek kpił z dziwnie rozpoczynającego się wieczoru, Kazik przytakiwał mu. Tylko Waldi był podniecony i zdenerwowany, podobnie ja. Światła zgasły, na scenę wyskoczyło jakieś czupiradło i siadło na sedesie. Z głośników usłyszeliśmy piekielny śmiech, potem głosy narastającego szeptu. Chłopak umawiał się z dziewczyną na nocną obmacywaną. Czy mikrofon znalazł się między nimi

przypadkowo, czy była to rozmowa uplasowana? Gubiliśmy się w domysłach.

— Bracia, co was sprowadziło na ten ziemski padół, do nory tchnącej spermą i alkoholem? — doleciał z głośników potężny głos, niby Boga stwórcy.

Przez salę przeszło tchnienie zdziwienia przeradzające się w oburzenie. Pytanie zaskoczyło wszystkich, szczególnie dziennikarkę i tych dwóch z podniesionymi kołnierzami płaszczy, a siedzących w pierwszym rzędzie. W końcu sali ktoś zaczął chichotać.

— Myśmy wam słowo poetyckie przyszli głosić, więc cicho tam! Cerber! wyprowadzić pajaca! — rozkazywał ten sam głos.

W bocznej ścianie uchylily się doskonale zamaskowane drzwi i pokazał się w nich wielkolud w baraniej czapie i w kozuchu. Na pewniaka szedł w koniec sali, skąd usłyszeliśmy śmiech. Po chwili ciągnął za sobą dziewczynę, która piszczala, wiła się w jego potężnych łapskach, prosiła o ratunek. Waldi chciał wstać, ale powstrzymałem go ręką. Miewał nieraz takie bezwarunkowe odruchy samarytanimu. Na salę padł blady strach. Ukradkiem chwytailiśmy oddechy. Zza kurtyny dolatywała muzyka. Przybierała na sile, potężniała. Z odległego pomrukiwania przechodziła w grzmot. Należało zatykać uszy.

— Oto zbliża się głos nowej poezji, głos Samsary. Mieście szeroko otwarte oczy i dobrze nadstawiajcie uszu. Poezja ta oczyści was z mieszczańskich naleciałości, z przyziemskiego raczkowania, wysoko podniesie wasze głowy. Wszystkich

was, zjadacze chleba, w poetów przemieni. Od tej pory każdy jest mistrzem słowa. Czujecie to? Słyszycie? To wasz głos!!! Głos Samsary, czyli nas wszystkich.

Muzyka przerodziła się w ogłuszający pisk. Obejmowaliśmy głowy, ramionami, zakładali czapki. Niespodziewanie nastąpiła wielka cieszą. W końcu sali znów ktoś zaczął się głośno śmiać. Chwilami śmiech podobny był do spazmatycznego płaczu. Wolniutko odwróciłem się i spojrzałem w tamtym kierunku. To śmiał się Puculek. Nie zauważyłem, kiedy przyszła. Stała w rogu sali. Obok niej z prawej strony stał rudobrody malarz. Ręka jego spoczywała na jej ramieniu. Od kilku dni nie mogłem nigdzie spotkać Puculka. Jej koleżanki tłumaczyły, że wyjechała do rodziców. Ojciec zachorował i wezwał ją do siebie. Pewnie wróciła już i przyszła tutaj. Nigdy nie była łąsa na słowo poetyckie, a jednak dzisiaj przyszła. Po co?, dlaczego się śmieje? — Usłyszeliście już w sobie głos poezji? — sala milczała. — Powtarzam. Czy usłyszeliście już w sobie głos poezji??? — sala nadal milczała. — Cerber, rozbudzić w płazach głos poezji! — Znów w zamaskowanych drzwiach pojawił się włochaty wielkolud. Stanął pośrodku sali i wymachując rękami uczył nas skandowania.

— Tak! Tak! No taaaak, do kurwy nędzy! — tu i tam pojawiły się nieśmiałe potakiwania. Cerber coraz donośniej obrzucał nas stekiem przezwisk i wymachiwał rękami. Wreszcie cała sala zaczęła głośno skandować.

— Dobrze, bardzo dobrze, doskonale! Widzicie, jak

szybko nauczyłem was tworzyć metaforę. W jednym momencie z szaraków przemieniłem w jelenie, niemal w lwy... Czysta poezja, cha, cha, cha... Ten osobnik nadymający się przed wami to do niedawna książę poetów. — Scenę oświetlił reflektor i w jego blasku zobaczyliśmy bezwstydnego nagusa siedzącego na sedesie. — Indywidualista, nihilista nadymający się nad kloaką. Chcecie takimi być?

— Nieee! — zgodnie ryknęła cała sala.

— Doskonale... Umarł król, niech żyje król! Możecie iść do domów i głosić nowe poetyckie słowo. Pamiętajcie, że powiewa przed wami sztandar Samsary.

Jeszcze do tej pory bierze mnie obrzydzenie, gdy wspominam tamten wieczór, słyszę głos zamieniający nas w pajaców, w bezwolne pionki sterowane jego rozkazami. Gdy po powrocie do akademika wyskoczyliśmy na Belphegora z pyskówką, zrobił zdziwioną minę.

— Panowie, pomyłka, nie ten adres... wieczór został odwołany. Dziekanat się nie zgodził, uważając, że nasza poezja jest gównem warta, to skurczybyki. Nie zdążyłem was o tym poinformować, przepraszam. Pewnie trafiliście na seans terapeutyczny Cugowa? Skurczybyk! wykorzystuje nasze przemyślenia do swoich idiotycznych praktyk. Zrobił z was, panowie, pajaców, w bezwolne pionki zamienił i kazał skandować jakieś idiotyczne wierszyki swojego autorstwa? Takiemu mordę skuć!

Tamtego wieczoru nie spotkałem Puculka. Zapodziała się w tłumie. Stała blisko wejścia i prawdopodobnie

pierwsza fala wyniosła ją z sali i pociągnęła ulicą. Zaskoczony byłem, gdy portierka przez telefon zameldowała, że ktoś na mnie oczekuje. Nie spodziewałem się Pucółka. Przecież nie widziałem jej blisko trzy tygodnie, a z „Arcusa” wyparowała jak kamfora. Koledzy już podśmiewali się, że moją damę serca na pewno uprowadził błędny rycerz na białym koniu, a raczej biały koń, którego dosiadał błędny rycerz. Tylko gęby rozdziawili, zobaczywszy ją w drzwiach pokoju.

— Cześć, straceńcy! Jeszcze was nie zadusiła literacka magma? — promieniowała jak zwykle i od samego progu sypała dowcipami.

Uskrzydłony biegałem po pokoju, usiłując nadać mu możliwy wygląd i skrycie dawałem chłopakom znaki, żeby wynieśli się czym prędzej. Zbyszek i Kazik nic przeciwko temu nie mieli, Waldiemu również obojętne było, tylko Belphegor marudził. Pożyczył z administracji maszynę, chcąc przepisać nowo napisany poemat. Ustąpił po długich pertraktacjach graniczących z prośbami. Wychodząc, pokazywali na palcach, że będzie mnie to kosztować po dwie dychy na łebka. Bez zastanowienia zgodziłem się na ten warunek. Odbiję to, gdy oni przyprowadzą swoje dziewczyny, tylko na Waldku będę stratny.

Leżeliśmy na łóżku usiłując pokonać zmęczenie ciała. Wielka cisza przerywana nerwowymi oddechami spinała powietrze, narastała w uszach, tętniła w rozedrganych piersiach. Szczególnie głośno oddychał Puculek. Chociaż oddała mi się bez oporów, w akcie tym wyczułem obcość, jakby stało między nami to trzytygodniowe oddalenie.

Dotykałem jej piersi, brzucha, nóg, lecz każdy dotyk sprę-
żał ją, coraz bardziej zamykał. Czułem, że chce mi o czymś
powiedzieć. Może o tym wieczorze poetyckim i rudobrod-
wym malarzu trzymającym rękę na jej ramieniu, może o
niespodziewanym oddaleniu? Męczyłem się w domysłach,
ale nie miałem odwagi zapytać. Liczyłem, że zrobi to sa-
ma. Czekałem. Patrzyła po suficie, po którym ganiało się
kilka much, po grzbietach książek równo ułożonych na
półkach. Co chwilę zerkła w okno, jakby z intensywności
światła odczytywała godzinę. Kilkakrotnie pocałowałem ją
w usta, znów zaczynałem pieścić. Delikatnie odsunęła
mnie ręką, przerwała pieścizny i powiedziała: Nie pytasz,
dlaczego nie było mnie tak długo? — zrobiła zarzut z mo-
jej dyskrecji.

— Po co? Sama mi o tym powiesz i to za moment.

— Głuptas. Mogę skłamać, wymyśleć wygodną bajecz-
kę.

Puculek często określał mnie głuptasem, co irytowało.
Prosiłem kilkakrotnie, żeby tego zaniechała. Znów jej się
wyrwało.

— Możesz. Gdy zapytam, powiesz prawdę? Równie do-
brze posłużysz się bajeczką.

— Ale tak będzie przyzwoiciej. Pytanie można potrak-
tować za krępujące, zbyć je byle jaką odpowiedzią. Wi-
działam cię w „Arcusie” — nagle zmieniła temat. — Mu-
siałam nieco wcześniej wyjść.

Kłamała. Kratownica była zamknięta, a otworzono ją
dla wszystkich równocześnie. Nie protestowałem, czeka-
łem, co powie dalej.

— Musiałam jeszcze kupić lekarstwa dla ojca.

Kłamała dalej. Było już po dwudziestej pierwszej i wszystkie apteki zamknięte. Do dyżurującej musiałaby jechać na drugi koniec miasta. Analizując kolejne jej kłamstwa, czekałem.

— Myślałam, że zadzwonisz jeszcze tego wieczoru albo najpóźniej następnego dnia.

Dzwoniłem i tego wieczoru, i następnego dnia, i jeszcze następnego. Nie przedstawiałem się, więc koleżanki nie zdążyły jej uprzedzić. Brnęła coraz dalej. Powstrzymało ją dopiero moje zbyt długie milczenie. Powaliła się na mnie i obcałowując ręce, głaszcząc po twarzy, zapytała:

— Dlaczego milczysz? Nie wierzysz mi?

Miałem prawo nie wierzyć, bo to nie pierwszy raz. Przy każdej sprzyjającej okazji wymyślała najróżniejsze historie, żeby tylko wprowadzić mnie w błąd. Nie były szkodliwe. Takie dziewczęce igraszki, zabawa w kotka i myszkę. Po dwóch, trzech godzinach, nieraz dopiero po kilku dniach odwoływała dotychczasowe tłumaczenie i podawała nową jego wersję, również nieprawdziwą. Dawno rozszefrowałem Pucułka. Śmiałem się w duchu i na niby wierzyłem jej zapewnieniom. Szczerze zwątpilem dopiero leżąc w łóżku. Chociaż żądza ciała usiłowała nas pogodzić, myśli rozdzielały, a słowa, zamiast przerzucać między brzegami pomost, szukać mielizny, przez którą moglibyśmy dojść do siebie, pogłębiały przepaść. Niepokoila ręka rudobrodego malarza zarzucona na ramiona Pucułka, ich wcześniejsze zniknięcie stało nieustannie przed oczami

i zadawało mrowie pytań. Na żadne z nich Puculek nie chciał odpowiedzieć. Przekupywała mnie ciałem, scałowyla wątpliwości, które cisnęły się na usta, a ręce zaciskające się w pięści układała na swoich piersiach. Porywał nas wezbrany prąd rzeki.

— Chciałbym wierzyć. Trochę nawet wierzę...

— Dlaczego tylko trochę? Ja chcę, żebyś wierzył głęboko...

— Więc wierzę, wierzę głęboko... — teraz ja kłamałem. Ale było to lepsze od prawdy, która mogła okazać się okrutna, zdruzgotać mnie i przepędzić z judaszowego łóża. Już wtedy przeczuwałem koniec naszej miłości. Jeszcze tylko podtrzymywało ją samcze pożądanie. Chcąc zapomnieć o przysięgach faryzeusza, po raz wtóry uległem pokusom jej ciała.

— Podłóż drewna. W popiele ziemniaki się nie upieką — mówi Kurde Felek do Mariana nakazując mu dalsze czuwanie nad ogniskiem,

Kurde Felek wie, że Marian spełni teraz każdy jego rozkaz, każdą zachciankę. Za ten koncert będzie taki posłuszny. Nie odezwie się słowem, to znaczy broda mu nie będzie skakała ani nie będzie wykrzywił rąk w swojej mowie. Okaze mu większe posłuszeństwo niż Lucjanowi.

Ognisko przygasło. Rozrosło się w znaczny krąg popiołu, aż sięga naszych posłań. Niby w chęci ogrzania nas podeszło bardzo blisko, ale straciło dużo blasku i energii. Marian rozgrzebał je, rozrzucił węgle na boki, rozepchał układając w nim ziemniaki. Nie pozbierał do kupy i ognisko jest gorejącą plamą. Kurde Felek zwraca mu na to uwagę, każe wykrzesać jasne płomienie, dorzucić kilka

suchych bierwion. Marian idzie nad rzekę w poszukiwaniu suszków. Lucjan nie reaguje na polecenia Kurde Felka, nie przeszkadza mu uzurpowanie sobie jego władzy. Pochylił się nad żarem i przypala papierosa.

Po niebie nieustannie harczą świętojańskie robaczki. Mrugają do siebie, nikną w atramentowym tle albo układają się w dziwne łamigłówki nazywane przez uczonych konstelacjami. Pomiedzy nimi wielki łuk księżycy. Rozparł się wygodnie, zaczepił rogami o dwie gwiazdy i spokojnie płynie po atramentowym morzu. Za nim kilka dużych gwiazd. Wspomagając się wiązками promieni goni go. Ale księżyc nie dostrzega pogoni. Jest mu wygodnie i spokojnie, po prostu błogo. Wie, że nad ranem gwiazdy wyprzedzą go, zostawią daleko, a jutro pogoń rozpocznie się od nowa. Mają przecież własną energię, on tylko nędzny ich cień.

Łąka łśni. W jej chropowatym połysku przegląda się niebo, a na całej długości wyciągnęła swe wiotkie ciało rzeka i rozkłada się leniwie, przygotowuje do snu. W zamierającym oddechu poprawia płaszcz przetykany gwiazdami, starannie układa go wzdłuż brzegów, miejscami zawiesza na gałęziach krzaków albo kładzie bezpośrednio na trawie. Zasypia. Głośnie bulgotanie wody zamienia się w monotonne pomrukiwanie. Tylko konie... Rozeszły się po łące i nisko pochylając łby zakłócają jej sen. Trawa chrzęści zrywana potężnymi zębami. Co chwila podnoszą łby w kierunku księżycy. Podskakują na spętłonych nogach, wystukując powolny rytm. Albo obwąchują się i rzą

bardzo donośnie. Nieraz rżenie przeraża łąkę, rzekę i nas. Stajemy wtedy zdziwieni i z zachowania koni usiłujemy wnioskować o przyczynie ich niepokoju. Nic nie powinno ich przerażać, ale jesteśmy przewidujący, mamy za sobą doświadczenia wielu pokoleń koniopasów.

Kilka lat temu po naszej dolinie grasował straszny rozbójnik. Cichcem podkładał się do koni, częstował cukrem, na szyję zarzucał powróż, rozpętywał nogi i uprowadzał łakomczucha. Koniopasi musieli być bardzo czujni, reagować na każdy gwałtowniejszy ruch konia. Rozbójnik długo prześladował naszą dolinę i nasze konie. Jednej nocy wyrwał nas z domowego polegiwania głośny strzał. Wtedy końmi opiekował się dziadek, sam jeden czuwał przy nich. Kawalerka powędrowała na budowę kolei, gospodarze po znojnym dniu zalegiwali w domach. Tylko dziadek ślęczał pod płaczącą wierzbą. Wzrok miał już słaby, chcieliśmy go nawet zwolnić z nocnego obowiązku, ale był z niego wielki uparciuch. Ledwie ucichł strzał, wyskoczyliśmy na łąkę ubrani w co było pod ręką. Dziadek biegał, niby oszalały, spędzał konie w jedno miejsce i przeliczał. Nad łąką unosiła się niewielka mgła, jakby dym z papierosa, albo po karabinowym wystrzale. Dziadek zaprzeczał, że ktokolwiek strzelał, a swoją nerwową bieżącą tłumaczył pojawieniem się dzikiego psa. Nie mieliśmy powodów nie wierzyć dziadkowi. Uspokojeni wróciliśmy do domów. Na drugi, a może trzeci dzień rzeka wyrzuciła w sąsiedniej dolinie utopionego rozbójnika. Byliśmy tak uradowani, że odprowadziliśmy go na cmentarz na koniach. Chowaliśmy go jak ułana, wyborowego strzelca

i serdecznego kompana. Zapomnieliśmy o strzale, który wyrwał nas z łóżek, o nerwowej bieganinie dziadka. Byliśmy bardzo uradowani.

Chociaż pochowaliśmy rozbójnika, przywalili grubą warstwą ziemi, obłożyli mogiłę ciężkimi głazami, konie ginęły nadal. Miejsce rozbójnika, koniokrada zajął dziki pies. Dziki pies pojawiał się rzadko i zawsze nad ranem. Ukryty w trawie podczołgiwał się do koni i porywał młode źrebaki. Nikt go z bliska nie widział. Tylko w domysłach, w mrocznych wyobrażeniach określaliśmy jego wygląd. Prawdopodobnie miał wielką, gorejącą ogniem paszczę, wypełnioną dwoma rzędami potężnych kłów, stalowe nogi i zębaty grzbiet. Jego ogon zakończony był mieczem, pod uderzeniami którego padały nadrzeczne krzaki. Musiał być wielki, bo unosił nawet roczne źrebaki. Dziki pies, jak zły omen, grasował między sąsiadami, po zagrodach, po łąkach, wszędzie i zawsze wzniewał kłótnie. Walczyliśmy z nim na różne sposoby, ale najbardziej skutecznym, więc i najczęściej stosowanym było chwywanie się za ręce i wspólne skandowanie wierszyka:

Konie, nasze konie,
po łące biegają
i w nas zwartych, silnych
ratunku szukają.

Łącząc się w coraz większą gromadę, przemierzaliśmy łąki, zagrody i płoszyli dzikiego psa. Spływał rzeką albo uciekał między skaliste wąwozy sąsiednich gór. Na znak sukcesu, z radości pogodzenia się, wyprawialiśmy wielkie

uczty, które ciągnęły się do późnych godzin dnia. Ostatni raz dziki pies pojawił się w noc śmierci dziadka. Było wielu koniopasów, ale wszyscy zasnęli. Dziki pies zauroczył ich, w śpiących rycerzy zamienił. Nie do koni się jednak podkładał, nie uprowadził żadnego żrebaka. Garścią snu rzucił koniopasom w oczy, jak kłody powalił ich na derki i zabrał się do dziadka. Już kilkakrotnie dziki pies przymierzał się do dziadka. Chwytał go za bary, zduszał w gardle i usiłował przyszpilić do ziemi. Do tej pory zawsze dziadek był silniejszy. Zarzucał mu na szyję smycz wywiązaną z bata i jak potulną owieczkę oprowadzał po łące, po wiosce. Nieraz brał dzikiego psa na ręce albo kładł go sobie na piersi i obchodził zagrody: Zachodził do domów, głośno narzekając, że ta zmora nie chce go opuścić, ciągle kamieniem pod sercem przesiaduje, kołkiem w gardle staje. Ludzie dziwowali się, nie dostrzegając żadnego dzikiego psa i posądzali dziadka o pomieszanie zmysłów. Nie mogli mu w niczym pomóc, nie chcieli przyjąć krwi. Dziadek po kilku dniach odrzucał urojenia, zapominał o nocnych majakach, czuł się wyzwolony. Dziki pies wracał jednak coraz częściej i coraz mocniej przygniatał dziadka do ziemi. Aż nadeszła noc, kiedy dziadek był bardzo słaby i zaskoczony snem. Dziki pies zdjął powróż z nóg naszego konia, jeden koniec zapętlił dziadkowi na szyi, drugi przerzucił przez gałąź płaczącej wierzby i zawiązał na solidny węzeł. Potem podciął ledwie rozbudzone nogi dziadka, wesolo zamerdał ogonem i zbiegł. To dziadek ułożył

wierszyk i wymyślił sposób przepędzenia go, więc się mścił. Mówią, że dziki pies uciekł na księżyc. Koniopasi wpadli w popłoch, gdy zobaczyli wiszącego dziadka. Kilku z nich na zawsze wycofało się z nocnego czuwania. Zapędzili konie do zagrody i nocie przesykali w domowym łożu. Przez szereg wieczorów nikt nie wypędzał koni, łąka była pusta, tylko pod płaczącą wierzbą kołysał się na powrozie cień dziadka. Było sporo kłopotu z pochowaniem zwłok. Dobrodziej nie chciał ich przyjąć na cmentarz katolicki. Dopiero ojciec przekonał go, że to było morderstwo, a nie samobójstwo, bo niby dlaczego dziadek miał się wieszać? Upłynęło szereg dni, nim wieść o ostatniej tragicznej wizycie dzikiego psa poszła w niepamięć. Konie powróciły na łąkę, koniopasi pod płaczącą wierzbę.

Ognisko wybucha jaskrawym snopem płomieni. W jego blasku łążą po łące wielkie cienie. Pochylają się na pokracznych nogach albo gwałtownie wzrastają i sięgają gór. Każdy ruch naszych ciał zamienia się w stunogiego pająka, który w błyskawicznym tempie przesuwa się po całej dolinie albo spłoszony ogniem kuca nad derką jak kwoka. Fantastyczne cienie towarzyszą każdemu ruchowi., Jesteśmy przyzwyczajeni do nich i nie reagujemy. Właściwie nawet nie zauważamy tych gadów, smoków, ośmiornic, dzikich psów. Usiłujemy znaleźć sobie jakieś zajęcie, zatrudnić ręce.

Marian nieustannie mrużąc pod nosem podkłada suszki, które w dużym płomieniu błyskawicznie zamieniają się w popiół. Nie słyszymy, nie wsłuchujemy się w jego mrużenie, przecież nic nie rozumiemy. Obserwujemy

tylko jego ruchy Kurde Felek leży na derce i czyści piszczałkę. Zaślinił ją podczas koncertu. Oderwał z derki kawał szmaty i delikatnie przeciąga ją przez otwory. Chwilę przyglądam się kosmetycznym zabiegom Kurde Felka, potem odwracam oczy, spoglądam na Mariana, na kanie, wreszcie na Lucjana. Papieros przypalony od ogniska gaśnie mu, więc odrzuca go w kierunku rzeki. Uśmiecha się, odwraca do mnie i pyta:

— Miałeś na studiach jakie dziewczyny? — Zechce, że bym opowiedział jakąś pikantną historyjkę. Od kiedy spotykamy się pod płaczącą wierzbą, Lucjan nieodmiennie wypytuje o moje dziewczyny. Zbywam go byle opowiadką i zmieniam temat.

— Miałem i to blisko setkę, bo tyle dziewczyn było na moim roku.

— Ale chyba wszystkich nie tego...

— Żadnej „nie tego” — używam jego określenia. — Natomiast „tego” z tysiącem innych. Z koleżankami mogły być komplikacje, moje dziewczyny oddawały się bez słowa, zostawały, bez żalu, gdy odchodziłem. Zawsze były na pierwsze skinienie, na wyciągnięcie ręki. Nigdy nie narzekały ani nie krzywdowały sobie. — Lucjan nie chwytta aluzji i patrzy na mnie ze wzrastającym zdziwieniem. Również Marian i Kurde Felek przerywają swoje zajęcia i z podziwem patrzą na mnie. Cieszy to, więc dalej snuję wizję totalnych podbojów. — A gdy zaczynały nudzić, kupowałem nowe. Nie były drogie, tanie również nie. Tak na studencką kieszeń. Od dwudziestu do siedemdziesięciu złotych. Zresztą można było wypożyczyć od kolegi...

— To same kurwy były — przerywa Lucjan — albo ty się, bracie, chwalisz?

— Ani ja się nie chwale, ani one nie kurwy. Nieraz zdarzały się, trzeba przyznać, lecz najczęściej to stateczne kobiety od podlotków do dostojnych matron. Ty się, stary, nie znasz na płci pięknej...

Lucjan jest oburzony. W swoim czasie był największym Casanovą naszej doliny i jeszcze teraz miewa różne miłostki. Marian i Kurde Felek aż rozdziawili gęby. Nerwowo palą papierosy i uważnie słuchają.

— I wyobraźcie sobie, że żaden z kolegów nie miał pretensji. Nieraz sami oferowali się z wynajmem dziewczyn, bo przecież nie zawsze było dwadzieścia złotych. Pomagaliśmy sobie jak dobrzy koledzy. Nikt na tym nie tracił. — Dawno przesadziłem, zasiałem w nich zbyt dużo wątpliwości. Mogą zacząć się śmiać, a gdy zorientują się, o jakie dziewczyny chodzi, będą rozgoryczeni. Powiem sam. — To były dziewczyny z książek, a książkę możesz w każdej chwili odłożyć, wziąć w każdej chwili, kupić za dwadzieścia złotych czy pożyczyć od kolegi, z biblioteki. Możliwości jest bardzo dużo.

— Głupi jesteś i smarkacz! — Lucjan czuje się obrażony. Bierze bat i idzie w kierunku rzeki. Marian, tłamsząc w sobie śmiech, podkłada do ogniska wysuszoną wiklinę. Kurde Felek puszcza na piszczałce krótki akord. Jest ubawiony, podobnie jak Marian. Lucjan bije batem po wodzie. Wznieca fontanny drobnych kropelek, które w blasku księżyca i gwiazd świecą jak kryształki lodu.

Miewałem dziewczyny, chociażby Pucułka, ale co to obchodzi Lucjana. Pucułka należy rozpatrywać w nieco innych kategoriach. W chwilach szau obiecywałem sobie dozgonną miłość, marsz Mendelssohna i małżeńskie łóżko. Chcąc związać się materialnie, ja kupowałem książki dla niej, ona dla mnie. Miały tworzyć wspólną bibliotekę. Więcej potrzebowałem książek, więc Puculek częściej rujnował swoją kieszeń. Każda książka sprawiała nam wielką radość.

Nie mogłem powiedzieć o tym Lucjanowi, uciekłem w krainę drwiny. Podnieciłby się, kazał dokładnie opowiadać o każdym zbliżeniu, a przecież niewiele z tego pamiętam. Wszystko przekreślił rudobrody malarz. Lucjan nie zadziwi się byle miłostką. Niektórzy uważają, że Zborowskiego za jego babę ubił. Krytycznej nocy Zborowski popijał w klubie i głośno przeklinał Lucjana. Babie również się odgrażał. Obiecywał dopaść ją na gorącym uczynku z Lucjanem i zaszlachtować oboje, na suchej gałęzi powiesić. Nikt nie ujawnił tego przed sądem, a Kujawa nie wiedział, chociaż był bratem żony Zborowskiego. Upiękniało się Lucjanowi, lecz kochanka nie chciała go więcej widzieć. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia i przepędziła przy pierwszej okazji. Lucjan niby zapomniał o bolesnym ciosie, niby szybko znalazł ukojenie w ramionach innej mężatki. Udawał, takie pozory tworzył. Od pewnego czasu pauzuje. Pewnie wyczerpał swój limit wyznaczony na diabelskiej skórze. Nie w głowie mu teraz szczeniackie psoty i męskie

ambicje. Stoi nad rzeką i chłoszcze ją batem. Mści się za niemożność spełnienia męskich marzeń, za noce spędzone nad wodą, za jej przy miła jacy szmer i wiklinowe różgi, których często używał wobec nieposłusznych koniopasów, może nawet za moją drwinę. Musi się zmęczyć, wyładować nerwy. Nigdy nie mógł rozstać się z batem, często w ciągu dnia z nim chodził. Bat przyrósł mu do ręki jako symbol nocnego czuwania, zapętlił się na jego szyi i wrósł w łękę. Może to nie nad wodą, a «ad batem się mści? Chce go utopić, rozmiękczyć i porwać, kawałkami splewić do morza, oddać na pożarcie wielorybom. Jest zranionym ptakiem, który co chwilę podejmuje próbę lotu, ale może tylko zatrzepotać skrzydłami, kilka kroczków zrobić. Opada z sił i dla odpoczynku zaleguje na ziemi. Jest rybą nieopatrznie wyrzuconą na brzeg.

Patrzę na Lucjana, rozwiązuję jego zagadkę. Patrzy na niego również Kurde Felek. Chwilami bierze na piszczałce pojedyncze dźwięki, jakby w ten sposób chciał mu pomóc. I Marian spogląda w kierunku rzeki. Podkłada suszki do ogniska, chcąc dobrze upieczonymi ziemniakami sprawić mu radość. Wszyscy spoglądamy na niego, gubimy się w domysłach, usiłujemy wytłumaczyć sobie dziwne zachowanie.

— Kurde, jeszcze nachodzą go takie wariactwa — mówi Felek, jakby do nas, jakby do siebie. — Tłucze batem po wodzie albo godzinami przesiaduje na brzegu wpatrując się w rzekę. Rwie trawę na drobne źdźbła i puszcza je za wodą. Nieustannie pali papierosy. Nie wolno mu przerywać tego zapamiętania. Kurde, wścieka się na każdego

intruza, przeklina, obić może. Masz wielkie przody u niego, że darował ci taką drwinę. Do tej pory jeszcze nikt nie ośmielił się zakpić z niego. On umie bić i nie zna się na żartach. Masz wielkie przody... Teraz nie wolno mu przerywać. Gdy wysiedzi się, wypali kilka papierosów, sam przyjdzie. — Kurde Felek mówi dalej, nie zwracając uwagi na to, czy słuchamy. — Stany takie jeszcze go nachodzą. Coraz rzadziej, lecz jednak zdarzają się. Kiedyś, w pierwszym roku po wyjściu z aresztu, takie szaleństwa ogarniały go każdej nocy. Mnie powierzał opiekę nad końmi, a sam skradał się do zabudowań Zborowskiego. Przez płoty przechodził, pod oknami się czał, chcąc zobaczyć wdowę. Delikatnie pukał do drzwi i szeptem prosił o wpuszczenie go do mieszkania. — Mroczna sylwetka wsi ożywa w naszej wyobraźni, słowami Felka opowiada jedną ze swoich pikantnych historyjek. — Kurde, Zborowska znać go nie chciała, całą noc pod drzwiami przetrzymywała. Wracał Lucjan na łąkę i katował rzekę batem, a każdego przeskadzającego mu w tym obijał do nieprzytomności. Jeszcze teraz ogląda się za wdową, chociaż mocno w lata poszła. Kurde, nieraz celowo koło jej zagrody spaceruje. Na nic mu się to zdaje, ale chyba robi już to z przyzwyczajenia. Już większe szanse Matias ma, bo to sąsiad i młodszy od Lucjana. Wiadomo, że Matiasowi tylko o ziemię chodzi, bo pszenno-buraczana i po sąsiedzku. Chciałby ją kupić, dołączyć do swojej gospodarki i przeznaczyć pod paszę dla świń. Zborowskiej pewnie zaproponowałby pracę w chlewni... — Felek zgubił wątek Lucjana i przestaje nas

interesować jego wywód, więc gestem ręki proszą o przerwaniu opowieści. Marian starannie poprawia rozżarzone węgielki, które rozleciały się na boki poza krąg ogniska. Co większe bierze w dwa kije, natomiast małe chwytą w pal v ce i szybko przerzuca na ogień.

Patrzę na akrobatyczne poczynania rąk Mariana, co chwilę zerkam w stronę rzeki, słucham wywnętrzeń Kurde Felka i niewiele rozumiem. Właściwie, o co im wszystkim chodzi? Są: płacząca wierzba, łąka, konie smacznie pożerające trawę, wioska oddalona przez ciemność. Jest nawet rzeka i wielka cisza, wielki mrok. Pod szczytem kopuły zawisły tysiączne światełka, a nieco niżej, niczym na wyciągnięcie ręki, lampa księżyca. Przyroda wchodzi w nich, przenika, stara się uspokoić i rozbudzić pogodę ducha. Czego więcej pragną? Na co liczą uciekając pod płaczącą wierzbę? Gubię się w domysłach, usiłuję z zachowania wnioskować o stanie ich duszy. Każdy pochłonięty jest sobą, chociaż oczy ciągle przyjmują zewnętrzne bodźce, usta usiłują wypowiedzieć jakieś ważne myśli. Pozornie zachowanie ich nastawione jest na drugiego człowieka, na kontakt, niby całonocne czuwanie ma supłać gordyjski węzeł, ubierać w jeden garnitur, wyznaczać jednakowe ruchy i ujednolicać kroki. Wszystko ma na celu skonsolidowanie ich, ale w dalszym ciągu pozostają jednostkami, przypadkowym zbiorowiskiem nocnych koczowników. Obserwuję ich uważnie, usiłuję rozszyfrować pobudki postępowania. Chcę w ten sposób przypomnieć sobie świat,

który kiedyś był moim światem, a teraz powraca jedynie w mglistych wspomnieniach, w sporadycznych kontaktach ze wsią. Na wyblakłych fotografiach coraz grubszą warstwą osiada miejski kurz. Nie można go zmyć ranną rosą, kilkakrotnym obmywaniem w rzece, tarzaniem się po trawie, a nawet alkoholowymi zamroczeniami. Siedzi w nozdrzach, zgrzyta w zębach. Również krew, która obficie spływała z nosa i gęby, gdy Lucjan uczył mnie posłuszeństwa, nie mogła go splukać. Pragnę zrozumieć tych ludzi, a widzę tylko swoje racje. Książkowe wartości, które wtlaczano mi w szkołach przez tyle lat, zrobiły ze mnie sceptyka niedowierzającego drugiemu człowiekowi. Niby dostrzegam sens ojcowskiego łążenia po polu, wymiany spróchniałych części gospodarstwa, niby dostrzegam Lucjana, Kurde Felka, Mariana i innych koniopasów koczujących pod płaczącą wierzbą, zauważam ich problemy, lecz oceniam ich według swoich kryteriów. Dlatego obecne sytuacje konfrontuję z doświadczeniami wielkomiejskimi, kojarzę z sytuacjami z akademika, z uczelni, z klubu studenckiego, z naszych nocnych czuwań nad kartami, nad kielichem albo problemami podsuniętymi przez literaturę. Teraz na przykład nieodparcie pcha mi się do łba wspomnienie nocnego wypadku do botanika, jakbym chciał wskazać, w myśl zasady przeciwieństwa, na przyczyny, które zacieśniły więzy naszej paczki, jakże odmienne od tych łąkowych.

Miasteczko akademickie z jednej strony oddzielone było od miasta dużym parkiem zwanym botanikiem,

poprzecinanych we wszystkich kierunkach asfaltowymi wstążkami. Mimo tych udogodnień chodziliśmy „na skróty”, czyli przez krzaki gęsto obrastające alejki, przez trawniki podobne leśnym polanom, przez wielkie bukiety kwiatów porastających obrzeża parku. Chodziliśmy tam często, właściwie każdą wolną chwilę spędzaliśmy w parku. Można się było w nim zaszyć, jak w największym buszu. Spacerowałyśmy zwykle w towarzystwie dziewczyn, bo przecież tylko wtedy był sens włóczenia się po krzakach. Wieczorem w parku pojawiały się psy, przyczyną było wysypisko śmieci usytuowane w bliskim sąsiedztwie. Psy, gdy podjadły śmietnikowych łakoci albo nie mogły zaspokoić nimi głodu, przychodziły do botanika. Biegały po alejkach z podkulonymi ogonami, węszyły po krzakach i w poszukiwaniu żarcia naszczekiwały. Rzadko zdarzało się, żeby któryś w pojedynkę zaatakował zakonchaną parę. Lubiły biegać po kilku, w dwu-, trzyosobniczych stadach. Wtedy bywały bardzo bojowe i niejednemu żonkosiovi napędziły strachu. Dlatego do parku chodziliśmy zawsze w kilka par i już przy pierwszym ataku skrzykiwaliśmy się w gromadę i objiali natrętów. Psy śledziły nas kaprawymi ślepiami, węszyły, sumiennie wypełniając swoje posłannictwo. I nie dziwiliśmy się temu. Przecież taką rolę wyznaczono im w drabinie ewolucyjnej człowieka. W ciągu dnia psy znikwały, chowały się po dziurach albo rozłaziły się po mieście. Wieczorem znów pojawiały się ich całe stada. Co bardziej odważni spośród nas chwytali za

kamienie i sprawdzali celność oka i rąk. Psy zwykle ustępowały. Lecz jednego razu doszło do konfrontacji naszych sił. Belphegor wracał z dwutygodniowej wycieczki. Mocno już odczuwaliśmy jego nieobecność i powrót postanowiliśmy uczcić wielkim piciem. Każdy kupił po dwa jabole, herbatniki i zaprosiliśmy Belphegora do parku. On miał wobec nas zobowiązania, więc również kupił kilka win. W ciągu tych dwóch tygodni żył bardzo rozrzutnie i popadł w duże długi. Kierownik wycieczki uregulował je, ale swoją wspaniałomyślność kazał Belphegorowi odpracować. Chciał go zatrzymać na kolejne dwa tygodnie przy budowaniu domu. Belphegor popadł w czarną rozpacz, nawet bliski był samobójstwa. Zrobiliśmy składkę i uregulowali cztero-i półtysięczny dług, jeszcze postanowiliśmy zorganizować mu wspaniałe powitanie. Była już późna pora, ale nikomu nie chciało się odpoczywać. Rozłożyliśmy się na niewielkiej polance ukrytej w wysokich krzakach ligustru, które miały zabezpieczać przed ciekawskimi spojrzeniami i węszeniem psów. Wkrótce okazało się, że była to złudna nadzieja. Już po kilku minutach, ledwie odkorkowaliśmy pierwsze butelki, w krzakach zaczęły migać szpiegowskie spojrzenia. Nie zwracaliśmy na nie uwagi. Wino podniecało nas i wzbudzało chojracką odwagę. Dziewczyny śmiały się, głośno dowcipkując, że wkrótce będziemy mieć wspaniałe towarzystwo. Ciągłe pokazywały na krzaki. Rzeczywiście. W ciemnej bryle ligustru błyskało coraz więcej ogników. Psy obserwowały nas, podsłuchiwały. Kazik rzucił w ich kierunku pustą butelką. Ogniki zniknęły,

pojawiły się dopiero po długiej chwili. Pojedyncze naszczekiwanie, gwałtowne obcieranie się o krzaki dochodzące z różnych stron parku sygnalizowały nam, że psy zwołują się, jednoczą siły i że wkrótce wokół biesiadnej polany pojawi się pierścień szyderczych spojrzeń. Słyszeliśmy wszystkie odgłosy, ale wino ochoczo wlewane do żołądków zaczynało szumieć i zagłuszać głos rozsądku. Był jeszcze czas na wycofanie się i bezpieczną ucieczkę do akademików. Nikt jednak o tym nie myślał. Żartowaliśmy nieustannie, śmialiśmy się, podszczypywali dziewczyny, a nawet zaczęli się układać do miłosnego polegiwania. Nie dostrzegaliśmy niebezpieczeństwa: Puste butelki lądowały w krzakach. Świadomie igraliśmy z ogniem. W pewnym momencie jedna z dziewczyn głośno pisnęła. To mścił się pies zraniony butelką. Chwyił ją za długi warokocz i ciągnął w krzaki. Z Belphegorem skoczyliśmy dziewczynie na pomoc. Butami zadaliśmy bestii kilka ciośów. Obcasy tonęły w brzuchu jak w gęstej magmie. Pies ze skowytem wycofał się w krzaki. Dziewczyna histerycznie łkała. Uspokoił ją dopiero Belphegor dając butelkę wina. Krzyk dziewczyny, a potem jej łkanie uświadomiły nam grozę sytuacji. Byliśmy otoczeni szczelnym murem szpiegowskich oczu. Siły przeciwnika były znaczne, może nawet kilkakrotnie przewyższały nasze siły. Co prawda udało nam się przepędzić natrętów raz i drugi, Waldi uderzeniem butelki przetrącił jednej bestii nogę, Kazik dopadł sękatej pały i macał nią pyski, Zbyszek rozglądał się dookoła, chcąc uzbroić rękę, ale były to chwilowe zwycięstwa. Któryś z chłopaków krzyknął:

— Zejdźcie mam z drogi!

Psy ożywiły się jeszcze bardziej, zakotłowały i zamarły, jakby oczekując, co powiemy dalej.

— Nie będziemy się bić! To nie ma sensu! — krzyczał Zbyszek.

— Rozejdźcie się do domów. Nie zakłócajcie naszego spokoju — nagle dało się słyszeć pojedyncze szczekanie, jakby układające się w słowa.

— Dobrze, ale pozwólcie nam dokończyć ucztę.

— Nie! Rozejdźcie się do domów zaraz. Nie będziemy czekali ani chwili dłużej.

— Wobec tego pocałujcie nas tutaj — użył wymownego gestu Belphegor.

— Ostrzegamy po raz ostatni. Za minutę przystępujemy do ataku.

— Podłe psy, nie będziecie nami rządzić! Spróbujcie tylko, pogruchoczemy wam kości — Belphegor unosił się honorem i przekreślał próbę pokojowego rozwiązania sporu, jaką podjął Zbyszek.

— Kompania! W szyku atakującym, zbiórka! — usłyszeliśmy rozkaz psiego dowódcy nim upłynęła minuta. I błyskawicznie wokół nas utworzył się zwarty pierścień ogników. Zbyszek wystraszony szybkim rozwojem sytuacji zagwizdał na palcach; raz długo, a dwa razy krótko. Był to sygnał proszący o pomoc. Wiedzieliśmy, że wkrótce powinni zbiec się wszyscy, którzy przebywali w tym czasie w botaniku i w bliskim jego sąsiedztwie. Liczyliśmy na szybką pomoc, na znaczne posiłki. Ale psy również znały nasz sygnał i podobnie reagowały. Po kilku sekundach, które zdały się być godziną, ze wszystkich stron botanika

usłyszeliśmy głośny tupot. To nadciągały posiłki. Towarzyszyły im głośne szelesty, naszczekiwanie. Psom również szły na pomoc dodatkowe siły. Waldek chwycił gazetę i podpaliwszy ją, uniósł do góry. Chciał dokładnie wskazać miejsce naszego pobytu. Tupot zbliżał się bardzo szybko, naszczekiwanie również. Utworzyliśmy zwarte koło, pośrodku którego stanęły dziewczyny. Naprzeciwko nas pierścień złowrogo świecących ogników. Ślepia psów kłębiły się, dwoiły, troiły. Szybko obiegały nasze koło, czyniąc wielki harmider. W naszych przymglonych alkoholem oczach tworzyły wirującą wstęgę ognia. Rzucaliśmy w nią butelkami, garściami trawy, suchymi gałęziami pozostawionymi na polanie po wiosennym strzyżeniu ligustru. Nic to nie skutkowało. Ognista wstęga wirowała coraz szybciej. Nagle coś zakotłowało się, wstęga rozpadła się na drobne cząstki, krzaki pochyliły się do ziemi i tuż obok nas stanęli koledzy, znajomkowie z uczelni. Było wśród nich wiele dziewczyn. Wszyscy byli uzbrojeni w sękate kije. Poczuliśmy się raźniej. Mieliśmy znaczną przewagę nad psami, które widząc naszą siłę, pochowały się po krzakach. Im jeszcze nie nadciągnęły posiłki. Zapadła denerwująca cisza, tylko z daleka dochodziło złowrogie naszczekiwanie. Nie było czasu na zastanawianie się, układanie planu, a nawet na zorganizowanie solidnej obrony. Zwalisty brunet, którego często spotykaliśmy na ławce pod pomnikiem „Marysi” w liczonym otoczeniu dziewczyn, zaczął pokrzykiwać i porządkować nas w kolumnę marszową.

— Wszyscy łamać gałęzie i robić solidne pały! Dziewczyny

do środka! Po bokach ustawić dwa rzędy z chłopaków! Maszerujemy! Naprzód!

Uformowani w kolumnę bezpieczeństwa wolno przedzieraliśmy się przez krzaki. Brunet szedł pierwszy, wielką maczugą torował sobie drogę wśród psów i nieustannie pokrzykiwał.

— Trzymać się za ręce! Nie pozwolić, żeby ktoś wypadł z szeregu.

Psy ustępowały z wielką niechęcią. Ale co chwila doskakiwały, szarpały za nogawki i tarmosiły kolumnę, chcąc rozerwać jej szyki. Z rozwścieczonych pysków ciekła krwawa ślina. Wzbudzało to wstręt i dodatkowo potęgowało strach. Uderzaliśmy po pyskach sękatymi pałami. Lecz ciosy wychodziły bardzo matowe i nie wyrządzały przeciwnikowi większych szkód, tylko wzniecały w nim coraz większy gniew. W odległości dwustupięćdziesięciu, trzystu metrów majaczyły ciemne bryły akademików. Niewielka to odległość, ale w obliczu niebezpieczeństwa rozrastała się do wymiarów kilometra. Naszczekiwanie idące psom w sukurs było już blisko, niemal mieszało się z tym otaczającym nas. Przyspieszaliśmy kroku, pragnąc jak najszybciej wydostać się z chaszcy botanika, ze złowrogiej ciemności, otrząsnąć się z tego delirium strachu. Przyspieszaliśmy kroku, bo siły nasze słabły. Alkohol działał coraz szybciej. Dziewczyny stawały się wiotkie i trzeba je było podtrzymywać pod ręce. Pod nogami chłopaków wirowała ziemia, więc potykali się często, przewracali i z mozołem podnosili się z upadków. Siły nasze bardzo szybko topniały. Brunet zniknął, jakby pożarły go psy. Może zapadł gdzieś w krzakach, znalazł dogodną kryjówkę i został w

niej? Bestie atakowały coraz zacieklej, doskakiwały grupami i wyciągały z kolumny chłopaków. Dziewczyny podnosiły wielki wrzask, odgrażały się bezradnymi pięściami i również padały ofiarami rozwścieczonych instynktów. Przyspieszaliśmy kroku, nawet zaczęliśmy biec, mimo tego na skraju botanika nasze szeregi były mocno przeredzone. Właśnie nadeszły psom posiłki. Siły ich podwoiły się, potroiły, a nasza kolumna coraz bardziej rzedniała i słabła. Już jej pierwsze szeregi wstąpiły w światło neonów, wyzwoliły się spod przewagi zła i gwałtownie cichły, jakby światło rozpraszało nocne majaki, przepędzało strach. Tylko jeszcze na końcu kolumny ciągle słychać było rozpaczliwe jęki, wzywające na pomoc, proszące o litość głosy. Dopadliśmy sterty kamieni i rzucaliśmy w tamtym kierunku. Grad pocisków gęstniał, skomlenie psów nasilało się. Widocznie pociski nasze trafiały do celu. Kolejne szeregi wchodziły w obręb światła, ilość głosów żądających ratunku zmniejszała się, nasze siły pod wpływem blasku neonów i ciągle napływających szeregów wzrastały. Wreszcie ostatni z chłopaków, resztkami sił opędzając się sękatą maczugą przed sforą psów, wszedł w krąg światła. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło całkowicie, jeszcze odczuwaliśmy bliskie jego sąsiedztwo, więc ustawiliśmy na granicy światła i mroku mur z najdzielniejszych wojowników. Naprzeciwko niego ziały ogniem szydercze spojrzenia. Psy bały się wejść w światło, były przecież mroczną siłą, więc zalegały na ziemi i oblizywały krwawe pyski. Za murem reszta towarzystwa

leczyła rany, porządkowała garderobę. Usiłowaliśmy zliczyć nasze straty. Było to bardzo trudne. Nie znaleźliśmy ilości wojowników, którzy przyszli nam z pomocą. Można było jedynie zliczyć „naszych”. Brakowało Waldiego. Ostatni raz widzieliśmy go, jak podpalał gazetę i sygnalizował nadciągającym posiłkom miejsce, naszego biwakowania. Potem znikł. Znikła również jedna z dziewczyn, z którymi wybraliśmy się na powitanie Belphegora. Po chwilowym odpoczynku pościągaliśmy czujki i ubezpieczenia i smętnym krokiem ruszyliśmy w stronę akademików. Pokonani wlekliśmy się bardzo wolno. Naszczekiwanie oddalało się i uspokajało. Psy nie umiały wiwatować zwycięstwa, kuliły ogony i rozbiegały się po botaniku, czekały na kolejnych intruzów-śmiałków. Ukradkiem przemykaliśmy między akademikami, które wyjątkowo tej nocy były jaskrawo oświetlone. Gdy przestępowaliśmy próg naszego domu, naszczekiwanie umilkło całkowicie. Portierka spoglądając na nas, obszarpanych i wybrudzonych, żałośnie pokiwała głową i mrużąc pod nosem o naszej niewdzięczności dla rodziców, podała klucze. Przygoda była wielką alegorią walki, zmagania się; dobra ze złem w obrębie psychiki, a może nawet...

— Mów głośniej, nie mruż tak — Lucjan przerywa moje wynurzenia, nie pozwala dokończyć myśli. Powrócił znad rzeki spocony i obcierając się rękawem koszuli prze-rwał moje rozmyślenia, moją spowiedź, układanie bzdurnej historyjki, Kurde Felek i Marian zagadkowo uśmiechają się. Po ich minach widać, że słyszeli całą opowieść.

— Kurde, fajne biby organizowaliście — właśnie odzywa się Felek, bardzo powierzchownie interpretując przygodę z psami.

— No to opowiadaj dalej. Przepraszam, że przerwałem — Lucjan szybko orientuje się w sytuacji i zachęca do dalszych wynurzeń. Melancholia już go opuściła. Jest zadowolony i aż tryska radością. Zakłada gruby, czarny sweter.

— O czym? — pytam, niby nie rozumiejąc obu ostatnich wypowiedzi.

— O psach. One były gorsze od naszego — odpowiada Kurde Felek. — Nasz tylko młode źrebaki porywał. Nigdy nie brał się za ludzi.

Marian jądluje, nie mogąc wypowiedzieć ani jednego słowa, jakby chciał wskazać na dziadka i zaprzeczyć ostatnim słowom. Czerwienieje na twarzy, jego czoło pokrywa się niebieską siateczką, a ręce biegają jak u paralytyka. Takie są jego słowa, jego męczarnie ze słowem.

— W mieście też zdarzają się dzikie bestie? — pyta Lucjan.

— Nie wiesz, o co chodzi. Oni tak zapili, że aż toczyli walkę z psami. To takie wyobrażenie, choroba. Psy to ich białe myszki — uświadamia Kurde Felek Lucjana.

— Jeżeli nawet podsłuchiwałeś, to przeszło obok ciebie. Myśmy naprawdę stoczyli taką walkę. Mogę pokazać bliźny — usiłuję przekonać ich o wiarygodności podsłuchanej opowieści, ale Kurde Felek śmieje się, a Lucjan unosi brwi i wydyma policzki, nic nie rozumiejąc.

— Może z waszą walką było tak, jak z powieszeniem twojego dziadka?

Uznaję, że dalsze tłumaczenie nie przekona ich. Milczę, całkowicie zamykam się w sobie. Porządkuję ubranie, które już wyschło, a które założyłem byle jak. Przesuwam się do ogniska, bo coraz większy chłód. Kurde Felek daje mi wreszcie spokój, podchodzi do Mariana i pyta, co z ziemniakami? Lucjan zapala papierosa, kilkakrotnie zaciąga się i mówi:

— Ze śmiercią dziadka dziwna sprawa. Niektórzy wierzą w dzikiego psa, ale ty chyba nie?

Jestem o krok od uznania bajki o śmierci dziadka. Przecież „nasze” psy mogły nas pożreć i też by nikt nie uwierzył, więc i dziadek mógł zginąć za sprawą dzikiego psa, ale chyba nie przez powieszenie. Taka wersja śmierci może być tylko wymysłem zabobonu.

— Dziadek miał wielu wrogów. Celowo dokuczał ludziom, żeby zrobić sobie z nich wrogów. Chociaż samotność bardzo mu ciążyła, dziwnymi praktykami odstraszał wszystkich od siebie. Świadomie dręczył się, umartwiał. Pokazywał na piersi i udowadniał, że zbroczone są krwią po ugryzieniu przez dzikiego psa. W czasie letnich upałów rozrywał koszulę i przekonywał wszystkich, że krople potu to łzy wyciekające z jego okrwawionego sumienia. Obnosił się po wiosce z koszulą rozdartą na piersiach i nakłaniał spotykane osoby do przyglądania się jego owrzodzonej skórze. Nie dostrzegaliśmy krwi, nie wierzyliśmy w łzy powstałe z potu, mimo tego nikt nie chciał pogłaskać skóry. Dziadek wpadał w szał. Rzucił się na niedowiarków i obcapiał za szyję, jakby chciał udusić. Tego obcapiania baliśmy się najbardziej. Najczęściej nachodził sąsiada.

Czatował na niego całymi dniami ukryty za rogiem płotu, za kopcem albo wprost szedł do niego na pole. Nakłaniał go do publicznego oświadczenia, że to on wydawał wyroki na zdrajców, a dziadkowi polecał je wykonywać. Nikt temu nie wierzył. Kwaśniewski podczas wojny był kilkuletnim szczeniakiem i nie miał pojęcia o walce, wydawaniu wyroków. W dzień poprzedzający śmierć dziadka pokłócili się bardzo, nawet chwycili się za czupryny i nadarli sobie włosów. Kwaśniewski zdusił dziadka, powalił na ziemię i nawymyślał mu od wariatów, starych sklerotyków i alkoholików. Niewiele to pomogło. Uciekali wszyscy od dziadka, samego na łące zostawiali albo przepędzali na bok, na kilkadziesiąt metrów od płaczącej wierzby. Skazywali go na samotne czuwanie. W ten sposób żarli się (między sobą całe lata, żarli się jak dzikie psy. Dziadek był już stary i słaby, musiał ustąpić. Nie wiem tylko, dlaczego wybrali mu tak podłą śmierć? Nie wiem również, czym dziełem było to powieszenie? Początkowo posądzaliśmy Kwaśniewskiego, że już miał dość dziadka i skończył z nim. On nie mógł tego zrobić. Kury boi się zabić, a co mówić człowieka powiesić. Dziadek ze zgryzoty mógł sam zadziorgnąć powróż na gałęzi i oplatać wokół szyi. Mogli również zrobić to koniopasi. Nie jest wykluczone, nawet prawdopodobne. Nie było żadnego świadka. Wszystkich zmorzył jakiś dziwny sen, jakby się szaleju opili. Sprawdziłem już, na pewno spali wszyscy. Przy szczerych chęciach i nawet niewielkich zdolnościach szpiegowskich pewno by się coś znalazło, ale nie miał się kto tym

zainteresować. Mnie nie zależało, bo przecież w spadku dostałem zaszczytny tytuł pierwszego koniopasa. Sam wiesz, jak to jest...

Nie wiem. Nic nie wiem. Nie wiem nawet, dlaczego Lucjan mówi o tym, odgrzebuje historię sprzed kilkunastu lat, usprawiedliwia siebie i innych? Nie wierzę w bajkę o dzikim psie i śmierci dziadka. Ojciec nie chce na ten temat rozmawiać, matka również. Sam nie mogę dojść przyczyny tej śmierci. Jakie ślady mogę znaleźć po tylu latach? Dziadka właściwie nie znałem. Zmarł, gdy byłem maleńkim szczeniakiem. Pamiętam go tylko z opowieści matki, z lakonicznych napomknień ojca, z różnorodnych dykteryjek, jakie jeszcze krążą o nim po wsi. Spoglądam na konar pochylonej wierzby, na którym powiesił się lub został powieszony dziadek. Niczym nie różni się od pozostałych. Jest gruby, porowaty i tonie w blaszkowatych liściach.

Marian rozgrzebał ognisko i rozwidlonym kijem wygrzebuje ziemniaki. Dotyka ich jednym palcem, potem dwoma. Obgniata dookoła i chwyta w ręce. Podrzuca do góry, chwyta i znów obgniata. Zadowolony układa ziemniaki na rogu swojej derki. Nieartykułowanym dźwiękiem sygnalizuje, że już upieczone. Lucjan sprawiedliwie dzieli ziemniaki na cztery części. To przywilej pierwszego koniopasa. Chwytam ziemniaki, na których połyskują jeszcze iskierki ognia, parzymy ręce. Spieczona skórka odchodzi jak skorupy z jaja. Parzymy wargi i język. Nawet bez soli ziemniaki smakują wyśmienicie. Zabrakło jej

wczoraj i nikt nie pomyślał o uzupełnieniu zapasu. Zajadamy się, ostro wachlując brodami, mrużąc pod nosem.

Ojciec długo siedział na stercie żerdzi. Wyglądałem przez okienko wychodzące na podwórko. Głowę miał nisko opuszczoną, niemal wsadzoną między kolana, ręce skrzyżowane, między palcami nieustannie tlił się papieros. Wyglądał na fraszobliwego Chrystusika, który przypadkowo zawędrował na podwórko, zmęczony przysiadł na stercie żerdzi i rozpaczal mad oplakany stanem gospodarstwa. Nie poruszył się ani nie drgnął. Wyglądałem co chwila, lecz ojciec nieustannie siedział w tej samej pozycji. Szybko pociemniało, mrok zatarł jego pokurczoną sylwetkę, pochłonęła ją ciemna bryła stodoły. Przestałem wyglądać. Niepokoiłiśmy się z matką, zachodzili w domysłach, ale żadne z nas nie odważyło się pójść, przerwać jego zadumania i przyprowadzić go do domu. Musieliśmy czekać. Ojciec nigdy nie zmarnował tyle czasu na durne siedzenie i dumanie. Zwykle dzionek był za krótki, noc za długa, słońko za późno wstawało, a wcześniej kładło się do nocnego polegiwania i ojciec biegał chybotliwym krokiem po podwórku, ostro wywijał batem nad koniem, pospieszał matkę. Nagle pozwolił sobie na wielkie próżnowanie, jakby już wszystko było gotowe do przyjęcia darów ziemi. Czekaliśmy niecierpliwie. Zegar stojący w rogu izby wydzwonił godzinę dziesiątą. Pora wieczornego posilania się minęła. Świeżo ugotowane ziemniaki wystygły, biała kawa również. Wieczereż zawsze zajadaliśmy razem, jeżeli tylko byłem w domu. Był to pomysł ojca, a jednak tego wieczoru

zapomniał, zamienił go na posiadanie na żerdziach. Byliśmy już skłonili do najgorszych przypuszczeń, lecz matka nadal nie pozwalała zejść do ojca. Jeszcze miała nadzieję, że lada chwila posłyszemy ciężkie kroki i w drzwiach ukaże się pochylona sylwetka. Sam również na to liczyłem. Nagle domową ciszę przerwało głośne szczekanie psa, jakby ktoś do niego podchodził i drażnił się. Pies urwał. Z podwórka dochodziło powolne człapanie zmierzające w stronę domu.

— Bierzysz wreszcie? — niecierpliwie pyta Lucjan. — Wystarczy jeszcze po jednym. Co się z tobą dzisiaj dzieje: ciągle dumasz, pod nosem mruczysz, jakby cię dziadkowa zmora zaczynała dusić?

— Nic, nic. Nic takiego... tak mi jakoś...

— Nasza kuchnia nie dorówna mamusinej ani studenckiej stołówce, ale to nie znaczy, żeby nią gardzić. Marian tak się starał, a ty tutaj... — Lucjan nagle podnosi głos i zaczyna krzyczeć.

— Bardzo smaczne. Nawet bez soli smaczne. Dawno nie jadłem pieczonych ziemniaków, ostatni raz z dziesięć lat temu. Już nie pamiętam ich smaku. Dziękuję bardzo...

— Teraz sobie poleżymy, a Kurde Felek coś zagra. Dla lepszego trawienia. Chętnym pozwalam na tańce. Szkoda, że nie ma dziewczyn — głos Lucjana coraz cichszy.

Marian również chce wtrącić swoje trzy grosze. Sygnalizuje ręką, że nie może mówić z powodu gęby wypchanej ziemniakami. Uśmiechamy się i nie czekamy na jego wypowiedź. Wiadomo, że będzie jądlił długo i nic z tego nie

wyjdzie. Denerwuje się więc, czerwienieje na twarzy i bije pięściami po kolanach.

— Graj wreszcie, Kurde Felek, ale tak jak na weselu Helki, żeby serce się radowało, kiszki do gardła podchodziły, a nogi rwały się do tańca.

Chociaż ojciec nie pozwalał Felkowi kumać się z Głuszką i Sroką, on jednak zawsze znalazł sposób, żeby przyłączyć się do nich i pograć na weselu, na chrzcinach czy zwykłej zabawie w klubie. Ludzie z zainteresowaniem słuchali zawodzenia piszczałki, nieraz ocierali łzy, wirowali do omdlenia, a Felek królował nad całą muzyką. Na weselu Helki Lasoty przeszedł sam siebie. Stał pośrodku podwyższenia dla orkiestry, zaśpiewał jędrną rymowaną, przytupał i zagrał. Sala oniemiała, bo nikt nie spodziewał się takiego grania, a brat Helki, który przyjechał na wesele z wielkiego miasta, mało nie udławił się kielbasą. Felek dął w piszczałkę co tchu w piersiach, przytupywał i zaśpiewywał. Umilkły skrzypki Sroki i bęben Głuszka. Ruszyły pierwsze pary, tłum zawirował. Na środek sali wyskoczyła Helka ciągnąc za sobą ogłupiałego pana młodego. Zawirowali. Długi welon wzniosł się ponad głowy innych tancerzy i powiewał jak obłoczek mgły nad mokradłami. Suknia zrobiła się baniasta, zajmowała połowę sali. Podobni więc byli do wirującego pośrodku drogi diabła, do huraganu przewalającego się po lesie, do styczniowej zawiwi. Pan młody kurczowo trzymał się ramion dziewczyny, a ona wirowała coraz szybciej, coraz wietrzniej. Kurde Felek grał, zawodził raz rzewnie, żeby tancerze mogli nieco uspokoić nogi, to znów zamieniał ich w wirujące kłęby. Co

słabsi ustawiali: zdyszani, spoceni, ale z uśmiechniętymi gębami odchodzili pod ściany. Granie Felka sięgało zenitu, gdy posłyszeliśmy nieludzki krzyk i przez salę przetoczyła się jakaś straszna siła przewracając i tłamsząc tancerzy. Cień ustokrotniony rozbłyskami lamp poleciał w stronę muzykantów i piszczałka ucichła, Kurde Felek urwała w pół dźwięku. Zachwiał się i stoczył z podwyższenia. Cień dalej skakał po suficie, po ścianach. Często sięgał podłogi, po której w konwulsyjnych drgawkach tarzał się Kurde Felek. Dostkoczyło kilku chłopów i uspokoili cień, unieruchomili, postawili pośrodku sali w blasku największej lampy. Wszyscy zamarliśmy ze zdziwienia. Ojciec Kurde Felka był speszony, zawstydzony, tylko drżały mu ręce. To właśnie cień jego ręki przedłużony kołkiem wyrwanym z płotu tak skakał po suficie, po ścianach. Pochylał się nad podłogą. Wynieśliśmy Kurde Felka z sali do ogrodu, żeby poleżał na trawie i odpoczął. Cień znikł podczas naszego pochodu z potłuczonym Felkiem. Tej nocy już nie słyhać było grania piszczałki.

Lucjan przypomina Kurde Felkowi tamto granie i zamawia takie samo, na co Felek uśmiecha się w podziękowaniu. Już nie pamięta ojcowskiego bicia. Ślubny welon powiewa nad łąką, a piszczałka zawodzi najwdzięczniejszymi tonami. Płomienie ogniska buszują po twarzy Felka jak po suchej trawie, zamieniają ją w wielki balon, który wkrótce wybuchnie. Nie może się jednak zdecydować, dotknąć ustami piszczałki, tchnąć w nią muzycznego ducha i Lucjan zachęca go ponownie.

— Robisz to każdego wieczoru, a dzisiaj nie masz chęci?

Dlaczego? No, grajże wreszcie, skurwysynie — chwyta go za klapy marynarki i potrząsa, po czym osłupiałego stawia na ziemi.

Kurde Felek nie odpowiada. Pewnie brakuje mu słów? Głaszcze piszczałkę i podnosi ją do ust — przymierza się do grania. Zaraz zacznie.

Wygodnie układamy się na derkach i zamieniamy się w słuch.

Kurde Felek gra. Leżymy pośrodku łąki pod płaczącą wierzbą. Obok nas w odległości półtora kilometra wieś. Dyszy dziesiątkami zmęczonych piersi, usiłuje zebrać siły na cały dzionek, wyrzucić z siebie wszystkie zakalce i zmory, zamienić się w krystaliczny sen. Jednak ktoś nieustannie depcze po jej ścieżkach, rozbłyskiem światła osłepia okna. Co chwilę budzi się któryś z licznej zgrai psów i donośnym szczekaniem oznajmia Światu, że czuwa. W ten sposób nawiązuje z nami kontakt i uświadamia, że nie jesteśmy sami. A może to na nas szczeka pies? Nad głowami wielki cień drzewa wtopiony w czarodziejski płaszcz nocy. Jego poły przetykane mrowiem świętojańskich robaczków odchylają się na boki, falują. Klamra księżycy nie pozwala im rozsunąć się całkowicie i pokazać wnętrza nieba, największej tajemnicy. Dół płaszcza poplamiony mlecznymi obłokami, jakby gospodyni wylewała skobki mleka. Księżna pani zatrzymała się na chwilę i coraz niżej pochyła nad nami. Nie możemy dostrzec jej nóg, a przecież oczy takie łakome. Wytężamy wzrok do łez, pragniemy dostrzec chociaż kolana, rozsunąć poły królewskiego płaszcza. Księżyc opada i udaremnia nasze zamiary. Nie widzimy nawet stóp. Zachodzą za wierzchołki

gór, toną w jarach i wąwozach. To z nich wyszła księżna pani i pochyliła się nisko. U jej stóp wielkie bryły ciemności, powalone góry, porozrzucane kłody. Gdy pokona je, wejdzie na gładkie łąki.

Kurde Felek gra coraz piękniej. Piszczalka zamienia się w wielką łąkę, w miękki dywan traw gęsto usiany różnobarwnymi kwiatami. Trawa łśni, jakby przed chwilą cesał ją ogrodnik. Połyskuje gwiazdami, zamienia płaszcz księżnej pani w muślinową szatę, ścieli się przed nią niczym rozłożysta karoca. Tylko konie niesforne. Ledwie księżna pani przystanęła, poplątały się w zaprzęgu, rozbiegły po łące, zrzuciły uprząż i smacznie zajadają trawę. Niewiele obchodzą je dyszle karocy. Co chwila rżą spoglądając na siebie i na ognisko. To dorodne konie księżycego zaprzęgu. Skóra łśni jak smarowana łożem, uszy nieustannie nasrożone. Chwytamy konie, dosiadamy i harujemy po łące. Albo rwiemy pełne naręcza kwiatów i przystawiamy do pysków. Jedzą łakomie. Jak psy z radością machają długimi ogonami i obiecują pozostać, nie pozwolić się wprzęgnąć do księżęcej karocy. Uradowani rozbiegamy się po łące i pohukujemy na siebie, kryjemy się po krzakach, łamiemy długie witki wikliny. Zmęczeni przysiadamy nad rzeką.

Kurde Felek gra nieustannie. Łąka ucieka dysząc głośno. Siedzimy nad rzeką, która unosi się i opada, rytmicznie, raz po raz, jakby zmęczona naszym oddechem, migoce. Biegamy po niej wzniesając wysokie słupy piany, mocząc ubrania. Marian brodzi przy brzegu i co chwila zanurza

w wodzie wiklinowy kosz. Idę trzy metry przed nim, długą żerdzią obstukuję brzeg. W koszu pojawiają się drobne ryby, szkraby, oślizła zieleń. Rzeka ucicha, rozlewa się po całej łące, tworzy wielkie morze. Spuszczamy na wodę łodzie i wypływamy w nieznany świat. Burza rzuca naszymi drobinkami, zalewa, strugami deszczu, rozbija okręty o podwodne skały. Pokonując niewiarygodne trudności, głodując tygodniami, obolali, powracamy do domów. Ojciec wyciąga ze spodni rzemienny pas i łomocze nim po tyłku.

Piszczalka Kurde Felka zawodzi, wygrywa głośnie uderzenia pasem. Tylko nie słychać naszego płaczu. Uderzenia są suche, powtarzają się rytmicznie. Chwytny wielkie pajdy chleba i biegniemy do krów. Z zazdrością spoglądamy, jak dziadek wypędza konie na łąkę. Chcemy biec za nim, chwytając się końskich ogonów i szybować jak latawce. Dziadek nie pozwala. Piszczalka zanosi się płaczem, dławi.

Ognisko znów przygasa, bo Marian zasłuchał się w granie. Niemal zniknęliśmy w ciemnościach, nie dostrzegamy się. Kurde Felek przerywa koncert, jakby mrok przeszkadzał mu albo bał się zmylić palce. Czekamy aż Marian podrzuci gałęzi, a płomień znów otoczą nas blaskiem.

Lucjan usnął ukołysany graniem piszczalki. Dla niego zbyt odległe jest wędrowanie za kwiatami, hasanie po rzece czy budowanie tratw i spuszczenie ich na wielką wodę. Nie w głowie mu końskie ogony. Chętnie wspominałby bójkę z Józkiem Baryłą o spadek po dziadku i fetowanie zwycięstwa. Józek poleżał miesiąc w szpitalu i już nie

wrócił do nas, został w mieście stróżem wielkiej budowy. Nie chciał wracać i po raz drugi podejmować walki. Dali mu kozuch, filcowe buty, ciepłą czapkę. Zarobić dali. Przyjeżdża w każdą sobotę wystrojony jak pan młody. Stawia chłopakom wódkę i przechwala się miejskim dobrobytem. Lucjan posłuchałby opowieści Józka o miejskim stróżowaniu, o maszynach łączących dzień i noc po budowie, o dziewczynach wystrojonych niczym lalki. Sam by postawił wódkę, gospodarz przecież. Poprosiłby Józka o upatrzenie jakiejś posadki dla niego. Józek nie chce rozmawiać z nim, omija jak psa, pamiętając bijatykę o miano pierwszego koniopasa. Lucjan może nawet chętnie posłuchałby chłopskiego zaśpiewu. Po weselach przecież często chodzi, wiele przyśpiewek zna, głos ma mocny i dość dźwięczny. Wyszedłby na środek izby, orkiestrze czerwienca rzucił i zaśpiewałby, przytupał głośno, dziewczkę wpół pochwyił i wichrowego obertasa wykręcił. Tancerz to on pierwszej wody. Mógłby nawet za koniem po swoich skibach łązić. Na słonko by spoglądał, czy daleko mu jeszcze do zachodu, pospieszał konia batem i o nocnym czuwaniu marzył. Mógłby o wszystkim rozmyślać, puszczalka Kurde Felka nie chciała być posłuszna jego woli, ani razu nie zgodziła się z jego myślami. Głośno chrapie, aż nos rozdyma mu się niczym końskie nozdrza.

Ognisko rozbłyska. Spoglądamy na Lucjana. Spi skulony jak dziecko. Płomienie chodzą po nim niczym jaszczurki, wciskają się pod rozpiętą marynarkę, za nogawki podciągnięte do kolan, do rozchylonych ust i falującego nosa.

Przebiegają w zawrotnym tempie od głowy do nóg, pokrywają go drgającymi plamami, zacierają wyrazistość kształtów. Lucjan jest niewielkim garbem pośrodku łąki, jakby wybrzuszonym korzeniem drzewa.

— Kurde, zmęczony weteran odpoczywa — mówi Felek, spoglądając na Lucjana. — Powaliły go nocne czuwania, marzenia o innym świecie i moje granie. Kiedyś bardzo rzadko mu się to zdarzało, a nawet dorabiał na tym czuwaniu. Za opłatą przyjął na siebie obowiązek obrony wioski przed ogniem i złodziejem, czyli stróżowania. W ciągu nocy dwa razy dosiadał konia i objeżdżał wioskę, sprawdzając, czy ktoś nie zaprószył ognia albo czy złodziej nie podkrada się do zagród. Wszyscy byli zadowoleni, bo Lucjan sumiennie spełniał obowiązek. Mimo to ogień nawiedził wioskę. Lucjan pierwszy raz objechał ją na koniu i uspokojony zaszedł do Zborowskiej. Ogień pojawił się w zabudowaniach Grabowca. Pewnie sam Grabowiec podpalił. Jego dom i stodoła i tak prześwitywały dziurami, pochylały się do ziemi. Chociaż na ubezpieczeniu zarobił. Spłonęły trzy zagrody, a Lucjana nawet nie było przy ogniu. Chyba przesiedział pół nocy u Zborowskiej. Może nie? Gdy wrócił, był niemożliwie zły. Po raz pierwszy wtedy porwał bat na krzakach i na rzece, a potem położył się spać. Po tym ogniu gospodarze przestali ufać Lucjanowi, zwolnili go z obowiązku stróżowania. I od tamtego czasu Lucjan każdej nocy podsypia sobie.

— My też powinniśmy chociaż podrzemać, jutro będziemy skiśnięci — przerywam Felkowi, niby usprawiedliwiając sen Lucjana.

— Nikt nie żąda, żebyś, kurde, czuwał, ale pamiętaj o pilnowaniu koni. Ktoś musi to robić. Nie można zostawiać ich na swoje widzimisię. Chociaż spokojne, a pastwisko ogrodzone górami, mogą się zapodziać. — Kurde Felek wie, że słowa jego mijają się z prawdą, jednak chce mnie nastraszyć.

— Zwykle robi to Marian.

— Jemu też należy się chwila odpoczynku.

— Nawracanie koni sprawia mu przyjemność. Widać po twarzy, po ruchach ciała...

— No to co?

Milknę. Co mogę odpowiedzieć Kurde Felkowi na jego słowa, na obronę Mariana? Kiedyś byłem zdecydowanym przeciwnikiem wykorzystywania słabości ludzkich, a teraz chcę się kimś wysługiwać, zaprzeczyć dawnym ideałom. Spoglądam na Mariana. Siedzi przy ognisku i bawi się rozżarzonym węglem. Pokurczony, z wielką troską na twarzy, z wybałuszonymi oczami. Siedzi na gołej ziemi, niczym mój ojciec na stercie żerdzi. Nogi nieruchome, podciągnięte pod siebie, korpus ciała również nieruchomy i głowa nieruchoma. Wszystko zapatrzone jest w ogień, zauroczone jego blaskiem i fantazją. Tylko ręce... miarowo podrzucają rozżarzony węgiel, mechanicznie. Broda od czasu do czasu budzi się z odrętwienia i wykonuje kilka skaczących ruchów, wtedy i oczy jakby powiększały się, wybałuszały, a przez ciało przebiega gwałtowny skurcz i widać wielką walkę, wielkie mocowanie się z sobą.

Kurde Felek długo czekał na odpowiedź. Zapomniałem o nim obserwując Mariana. Zdenerwowany podchodzi do

ogniska. Wytrzępuje ślinę, która dostała się do pieszczątki. Ręce jego drżą. Nie wiem, czy od gorąca płomieni czy ze zdenerwowania. Nie mogę sobie wyobrazić w nich łopaty, radła czy pługa, nawet bat trzyma się ich byle jako. Choć pokaleczone scyzorykiem i znaczone licznymi odciskami, niewiele w nich gospodarskiego obrządku. Długie, z mocno wystającymi kośćmi przegubów, nieustannie blade. „Którego ręka... dla swej białości alabastrowej — i wzięcia — i szyku — i chwiejnych dotknięć jak strusiove pióro — mieszała mi się w oczach z klawiaturą...” Przykłada pieszczątkę do ust i słyszeć kilka delikatnie branych akordów. Układa się na derce i odwraca do nas tyłem.

Matka drżała i bladła ze strachu, ja wsłuchiwałem się bardzo uważnie. Czekaliśmy w wielkim napięciu, aż te powolne kroki miną podwórko i podejda do drzwi. Narastały, przyspieszały, ale jakoś nie mogły dojść, sięgnąć klamki i przeraźliwie zaskrzypieć drzwiami. Matka ciągle spoglądała to na drzwi, to na mnie. Poczulem na rękach drżenie skóry, a po plecach przechodziły zimne ciarki. Kroki już kilkakrotnie winny przejść podwórko, nawet pół ojcowskiego gospodarstwa, lecz one nieustannie zmierzały w kierunku domu i nie mogły dojść. Wreszcie coś zaczęła pękać pod drzwiami, kilka uderzeń butami o próg i powolne opadanie klamki. Dębowe drzwi wybite dużymi ćwiekami ustępowały wolno. Ledwie w szparze ukazała się ręka, wiedzieliśmy, że to ojciec. Kto inny mógł przyjść? Tylko dlaczego tak celebrował każdy ruch? Pojawił się w

drzwiach zasłaniając cały ich otwór. Kiedyś zasłaniał tylko jego część, nawet głowy nie pochylał. Ojciec podczas tego posiadania na żerdzi rozrósł się znacznie, spotężniał, że biła od niego wielka siła. Policzki pokraśniały i promieniowały nietajoną radością. Czapka osunęła się na tył głowy, odsłaniając łyse czoło. Rozpięta marynarka przykrywała tylko połowę piersi. Ojciec jakby z jarmarku wracał po udanej sprzedaży świń i uczciwym litrkupie. Nie zamykając drzwi zrobił jeszcze kilka kroków i zapytał matkę:

— Gdzie lampa?

Matka zatrzęsała się cała, jakby ojciec z batem do niej podchodził i z wrażenia zapomniała słów. A może to wygląd ojca tak ją przeraził? Nie mogła nic odpowiedzieć.

— Po co ojcu lampa? — usiłowałem ratować wystraszoną matkę.

— Nie ciebie pytam, to nie wtrącaj się. Potrzebna. Muszę sobie przyświecić.

Matka już pobiegła do komory i słychać było, jak przedstawiając różne rupiecie, szuka lampy. Wróciła po chwili z długim sznurem zakończonym z jednej strony wtyczką, a z drugiej żarówką.

— Idź spać! — nakazał mi ojciec. — Za kilka godzin jędziemy do lasu po drzewo.

Zaskoczyła mnie nagła decyzja ojca. Po co mu drzewo? Na podwórku leżały całe sterty, przy drodze przed oknem rosły jeszcze trzy wysokie topole, które zamierzał ściąć w tym roku. Dostatecznie dużo było drzewa, a on jeszcze do lasu chciał się wybierać. Nie rozumiałem ojca.

— Po co ci drzewo? — przemówiła wreszcie matka. —

Do zimy wystarczy tego na podwórku, a na zimę kupi się węgla, daje więcej ciepła.

Ojciec groźnie spojrział na matkę, ale ona już wyzbyła się strachu, czuła obrońcę we mnie. Odważnie patrzyła na ojca, wytrzymała ciężar jego groźnego spojrzenia. Patrzyli tak na siebie i sprawdzali, czyje oczy są silniejsze. I nagle wzrok ojca spłoszył się, umknął w bok. Biegał po ścianach, po świętych obrazach, po całej izbie i wszędzie szukał sprzymierzeńca. W pewnym momencie przelotnie dotknął również mnie. Było to przypadkowe. Powolnie wyjął lampę z rąk matki i skierował się w stronę drzwi. Przy progu zatrzymał się i powiedział:

— Będę budował dom.

Od razu uświadomiłem sobie, że postanowienie ojca jest ostateczne, że nie zmieni go żadna dyskusja. Właśnie tą stanowczością chce zatuszować swoje wahanie, swoją przegraną. Uderzyłem z innej strony.

— Teraz już nie buduje się z drewna. Kamień, a przede wszystkim cegła są najczęściej stosowane...

— Jenżynier budował z drzewa — już z progu przerwał mi ojciec. — Kamień zimny, a cegła czerwona jak krew — i stanowczym krokiem opuścił izbę.

Obozy hippiczne są drogie, zwykle kosztują ponad tysiąc złotych. Dla studenckiej kieszeni to bardzo dużo. Trzeba ją dokładnie wywrócić podszewką na wierzch, przeszukać wszystkie zakamarki i wyłuskać najdrobniejszy grosz. I to mało prawdopodobne, że uzbierasz wymaganą sumę. A na pewno nie znajdziesz, gdy suma jest

podwojona, bo honorem jest zapłacić za dziewczynę. Dobrze, że obozy zaczynają się w dwa, trzy tygodnie po zakończeniu egzaminów. Możesz wynająć się do rozładunku wagonów albo popracować przy budowie. Latem wagonów mało, więc najczęściej budujesz domy. Dobrze płacą, do trzystu złotych dziówka. Wolne trzy tygodnie dają ci możliwości zarobku na opłacenie obozu i dość rozrzutne życie przez kilkanaście dni.

Budowałem więc domy. Mieszałem wodę, cement, wapno, piach w wielkiej wannie. Ładowałem papkę do dwóch wiader i przy pomocy liny podciągałem je do góry. Podawałem cegłę, kruszyłem kamień i transportowałem w podobny sposób. Ręce po dwóch godzinach pracy stawały się szorstkie, pogniecione na opuszkach palców, a niejednokrotnie zdarte do krwi. Krew znaczyła się na kamieniu ciemnymi plamami, ale po kilku minutach, gdy zagapiłeś się, z majstrem na papierosa przystanąłeś, z gospodarzem zagadałeś, plamy znikają, jakby rozpływały się po całym kamieniu. Zostawały tylko niewielkie ślady, jak źle postawione pieczętki. Gdy usłyszałeś porównanie cegły do krwi, nie mogłeś zaprzeczyć ojcu. Liczyłeś, że szybko wyjdzie z izby i nie będziesz musiał szukać dodatkowych argumentów w celu postawienia na swoim. Tak się stało. Ojciec wyszedł. Powrócił po kilku godzinach, które zdały się jedną chwilką. Odciągnął na bok pierzynę i ostro szarpnął mnie za ramię, bardzo ostro raz i drugi szarpnął. Byłeś przekonany, że to alarm. Podczas ostatniego obozu

dowódca kompanii często bawił się w nocne marsze. Wszyscy przeklinali go, ale wstawali na pierwszy krzyk. Wojsko na studiach to nie przelewki, każdy o tym wiedział. Miałeś przykład dwóch kolegów, którzy kilkakrotnie nie zdążyli na alarm, nie zdali egzaminów i pożegnali się ze studiami. Na alarm każdy musiał się stawić w jak najkrótszym czasie. Ty nie usłyszałeś pierwszego ani drugiego krzyku, więc to szarpnięcie postawiło cię na nogi. Usłyszałeś wtedy:

— Ubieraj się. Wóz już gotowy, jedziemy do lasu.

Dopiero wtedy przypomniałeś sobie o stanowczej decyzji ojca. Zdenerwowałeś się i ponownie ułożyłeś się na poduszce. Ojciec odczekał kilka minut i znów, zaczął cię budzić. Nie używał kańczuga, jak dawniej. Nie wpychał pajdy chleba do ręki i nie popędzał uderzeniami do krów. Cierpliwie stał nad tobą i szarpał za ramię aż przetarłeś oczy i leniwie zwlokłeś się z łóżka.

— Lucjan sypia teraz spokojnie, nie ma już chętnych na jego buławę.

Słyszę głos Kurde Felka. Myślałem, że usnął. Po ostatnich dźwiękach odłożył piszczałkę na bok i wygodnie legł na derce. Słyszać było tylko jego chrapliwy oddech. Pewnie rozmyślał o swoim graniu, o szkole, w której mógłby się uczyć muzyki. Może nawet, podobnie jak Lucjanowi, marzy mu się miasto. Chętnie rozmawia z nim na ten temat. Wczoraj nawet dokładnie wypytywał się o możliwości uzyskania pracy, wynajęcia mieszkania, o szkoły muzyczne w mieście. Lucjan niechętnie udzielał odpowiedzi, przecież nie zna się na tym. Sam chce nawiązać kontakt z

Józkiem i przy jego pomocy urządzić się w nowym miejscu. Nie podejmuję dyskusji z Felkiem, ale on mówi dalej.

— Kurde, długo walczył o buławę, a teraz chce się jej dobrowolnie zrzec. Działo się to w czasach, kiedy jej posiadanie było największym wyróżnieniem. Każdy się o nią bił. Przez kilka tygodni Lucjan wracał po nocnym czuwaniu pokrwawiony, w porwanym ubraniu, z nienawiścią w oczach. Najcięższą walkę stoczył z Józkiem Baryłą. Pół nocy się kotłasil po łące, w rzece topili, łamali kije i obijali wzajemnie. Przegrany wyszedł Józek, bo Lucjan uciekł się do podstępu. Dopadł swojego konia i zaczął najeżdżać nim na przeciwnika. Kilka razy sięgnął go kopytem. Józek musiał się poddać i ustąpić z łąki.

— No i co, myślałem, że chce wyjechać do miasta? — przerywam Felkowi.

— Chyba. Pole zaniedbał, że samym powojem zakwitło, dzieci głodne chodzą, obszarpane, baba suszy mu łeb każdego dnia. Jako gospodarz dawno się skończył, nie ma już powrotu. Co ma robić, gdzie pójść, do kogo? Marzy o ucieczce od biedy.

— W mieście kasza manna z nieba nie leci. Trzeba dobrze pracować. Nie wiem, czy nawet nie ciężiej niż tutaj?

— Nie. Odwalisz swoje osiem godzin i czysty pieniądź bierzesz. Po południu telewizja, kawka, piwko... Chce ci się, to na mecz idziesz albo na spacer do parku, a jak nie, to wyciągasz instrument i grasz dopóki sił w płucach staje.

Kurde Felek ma bardzo wyidealizowane pojęcie o pracy i życiu w mieście. Nie rozwiewam mitu o ośmiu godzinach,

czystych pieniądzech, telewizji i spacerach po parku. Nie przekonam. Sam jeszcze niewiele doświadczyłem pracy w mieście. Wyładunek węgla czy pomoc przy murarzach zdarzały się okazjnie, gdy potrzebowałem pieniędzy, gdy Puculek potrzebował pieniędzy. Przy rozładunku węgla z wagonów pracowaliśmy na akord, więc każdemu zależało, żeby jak najwięcej zrobić. Przy murarzach na dniówkę, ale majster zdrowo gonił od świtu do nocy. Mógłbym się posłużyć ojcem Banasika. Był dyrektorem dużego przedsiębiorstwa i rzadko spotykało się go w domu. Dyrektora nie obowiązuje wymiar godzin, aby interes się kręcił. Wyjeżdżał na targi krajowe i zagraniczne, przyjmował gości, gościł u innych albo przesiadywał na naradach i konferencjach. W zakładzie rzadko się go spotykało, a na hali produkcyjnej chyba nigdy. Taka już była jego praca. Nawet pieniądze nieraz przysyłali mu pocztą. Kurde Felek nie zrozumiałby charakteru dyrektorskiej pracy, a tym samym upewniłby się w swoich wyobrażeniach.

— Ty też myślisz o ucieczce do miasta?

— Ja? nie, ale... Czego się czepiasz? A po co ty wyjechałeś? Masz teraz wakacje, a my musimy harować okrągły rok. Na obozy chce ci się jeździć, a nam tylko do sklepu na piwo i pod drzewo na łąkę... To wielka różnica. Przewracasz se książeczki, a my ciągle drepczemy w miejscu. Dobrze ci mówić. Na łąkę dla rozrywki przychodzisz, koniem wyjeżdżasz w pole, żeby bacikiem pomachać... Mądrała się znalazł, kurde...

Felek jest rozgoryczony, sama żałość przez niego przemawia, wszystkie niespełnione marzenia skropliły się w żalu. Zapala papierosa i idzie w kierunku koni.

Ćwiczenia z poetyki były bardzo burzliwe. W „Kamienie” ukazała się kolumna poezji Samsary. Andrzej, teoretyk i wódz grupy, sprowokował dyskusję o wartości tej poezji. Magister Żwirski zdecydowanie ją skrytykował, zarzucając jej bylejakość, codzienność tematu i brak poetyckiej metafory. Wtedy Andrzej ruszył do ataku.

— Pan magister mówi, jakby nie czytał naszego programu. Ogłoszony został w poprzednim numerze „Kamieny”, radzę przeczytać. Naszą poezję należy rozpatrywać w oparciu o jej teoretyczne założenia, a nie według jakiejś scholastycznej recepty. Kimże był i kimże jest tak zwany twórca, wieszcz, jak nie nihilista usiłującym się przypodobać tłumowi obnażając jądra? Czy pojedynczy człowiek cokolwiek znaczy, czy ma prawo przemawiać do ludu i „cierpieć za miliony”? Nie! Dotychczasowa poezja to kwilenie pojedynczych osobników. Nie takiej poezji żądamy, nie taką poezję pragniemy tworzyć. Nasz głos będzie głosem tłumu, głosem milionów, będzie samą prawdą.

Ze zdziwieniem patrzyliśmy na Andrzeja, jak atakował asystenta. Szeroko rozkładał ręce, niekiedy przymierzał pięści do uderzenia w blat ławki, podnosił je i gwałtownie opuszczał rzucając po zebranych groźnymi spojrzeniami. Magister Żwirski stał pochylony nad biurkiem i w spokoju słuchał wywnężeń Andrzeja. Odezwał się, gdy ten przerwał na chwilę.

— Jak wyobrażasz sobie, pan, pisanie takiej poezji, gdzie pomieścisz tylu poetów, gdzie będziesz ich drukował?

— Nie ja, panie magistrze, nie ja. My!!! Będziemy tylko rezonatorami tłumów zapisującymi ich głos. A proces tworzenia, to wielki festyn słowa. Poeci będą chodzić ulicami, spać w knajpach, na dworcach kolejowych, w parku pod ławkami... przy kuchni, najnowocześniejszej tokarce czy buchającym żarem piecu, a pisać będą choćby na papierze toaletowym. Będziemy wszędzie. Nikt jednak nie będzie sobie uzurpował prawa wyższości. Będzie to poezja anonimowa, bo tworzyć ją będzie każdy. Żeby panu udowodnić, panie magistrze, że wielość jest zawsze w stanie pokonać jednostkę, proponuję napisanie dwóch wierszy na ten sam temat: jeden przez pana, drugi przez nas... przez resztę. Przekonamy się, że nasz głos będzie głosem prawdy, a pan może się tylko nadymać — rzucił wyzwanie asystentowi.

Magister Żwirski zbladł, po raz pierwszy W oczach jego pojawił się strach.

— W naszym wierszu pojedyncze odczucie zostanie skorygowane odczuciami innych, czyli będzie to ogląd ogółu, obiektywna prawda.

Magister Żwirski spojrział na zegarek, chwilę zastanowił się i powiedział:

— Podjąłbym rękawicę z wielką przyjemnością, ale, wybaczenie mi, musimy skończyć ćwiczenia nieco wcześniej. Mam zgłosić się do rektora. Chyba państwa nie informowałem o tym? — poskładał kartki porozrzucane po biurku i szybko wyszedł z sali.

Patrzyliśmy na Andrzeja z wielką aprobatą, bo dalej miotał się i ciskał gromy na współczesną poezję. Według naszego wyobrażenia miał świętą rację. Byliśmy gotowi pomóc mu pokonać Żwirskiego.

Czułem się wtedy bardzo dumny. Zaproponowano mi uczestniczenie w procesie twórczym. W niewielkiej części zostałem poetą. Mógłbym chodzić jak Belphegor czy Józek O. z zadartą głową i recytować wiersze. Puculek byłby pewnie zadowolony? Gdyby ojciec zażądał wiersza o zbożach, siewie, czy o chodzeniu za koniem, skrzyknąłbym chłopaków i w ciągu kilku minut napisalibyśmy poemat. Nie wstydziłbym się Lucjana, nie rumienił na jego prośbę o wiersz o koniach. Może nawet zorganizowałbym na wsi delegaturę Samsary i układał chłopskie rymowanki?

Marzenie o poetyckiej przygodzie przerywa Marian. Szarpie mnie za ramię i pokazuje na Kurde Felka, jądli. Z niechęcią spoglądam we wskazanym kierunku. Kurde Felka ogarnął szal. Dosiadł swojej starej kobyły i mocno okłada ją batem. Koń ma spętlone nogi, ale pod wpływem razów Felka skacze. Wybija się przednimi nogami do góry i usiłuje dostawić do nich tylne. Nieraz potyka się, niemal podciera pyskiem. Felek trzyma się grzywy i ciągle macha batem. Nieco podobny jest do nieudanego pomnika ułana na chwilę przed atakiem. Właśnie wzniosł konia na uździe, by ten twardym kopytem ugodził w pierś przeciwnika. Zygzakowata szabla również wzniesiona, zatrzymana w momencie podejmowania błyskawicznej decyzji, w które miejsce ciąć. Koń opada, podrzuca zadem i niefortunnie jeździec koziołkuje na ziemię. Zrywa się Felek,

chwyta za uzdę i okłada konia po podbrzuszu. Kopie go. Odczuwam ból w prawym barku. To Marian wpiął się w niego palcami. Poczerwieniał na twarzy, a skóra pokryła się siatką niebieskich żyłek. Mimo ułomności jego mowy słyszę:

— Too gnójjj...

Marian chwyta z ogniska rozżarzone polano i biegnie w kierunku jeźdźca. Biegnie bardzo szybko. Gdyby nie żarzące się polano, nawet nie dostrzegłbym go w tym szaleńczym biegu.

Kurde Felek znów dosiadł szkapy, ale już po pierwszym uderzeniu podzielił los pomnikowego jeźdźca. Ciężko podnosi się z łąki. W tym momencie dopada go Marian, to znaczy rozżarzone polano. Widać, jak ognik błyskawicznie wznosi się i opada znacząc drogę warkoczem iskier, jasnymi rozbłyskami. Niknie w wysokiej trawie, pewnie wyleciał z rąk Mariana albo wytrącił mu go Kurde Felek. Widzę tylko kotłaszące się cienie, jakby walczyły o padlinę dwa pająki. Wiele nóg, wiele rąk, nazbyt dużo ruchów. Znów pojawia się ognik. Teraz jego uderzenia są bardzo krótkie, więc i szybkie. Ledwie odrywa się od ciemnej plamy, unosi się co nieco i opada. Słychać jęki, niczym echo jądlenia.

Gwałtownie szarpnię Lucjana za ramię. Nakazuję mu szybko wstać i uspokoić rozeźloną kawalerkę. Ostatecznie to jego królestwo i jego poddani. Zaprowadzenie porządku należy do dyktatora.

Lucjan, zdziwiony, przeciera oczy i niewiele rozumie z moich dość nieopanowanych ruchów. Wskazuję mu więc

na dwa cienie z migającą nad nimi poświata. Lucjan nadal nic nie rozumie.

— Twoi goryle zaprowadzają nowe porządki — uświadamiam.

Nie zwróciwszy uwagi na określenie kompanów, pyta:

— Dlaczego? O co im chodzi?

— O konia! — krzyczę mu prosto do ucha.

Już nie zastanawia się, zrozumiał wszystko. Zrzuca płaszcz, który miał chronić od chłodu nocy, zrywa się i biegnie w kierunku szamotających się pajaków. Sadzi wielkimi susami, jakby niosły go stumilowe buty. Już widzę. Łąką biegnie bocian. Wyciąga długie nogi, pomaga sobie szybkim machaniem skrzydeł. Niby chce się wznieść, oderwać od ziemi, skrzydła jednak są zbyt słabe. Pochyla się, wyciąga szyję, żeby zmniejszyć opór powietrza. Zobaczył właśnie łatwą zdobycz. Dwie potężne żaby wzięły się za łby. Zrozumiał bocian, że żaby walcząc coraz bardziej zapamiętałe, nie zauważą go, więc przyspiesza biegu. Pogodzi je, wymierzy jednakową karę. Połknie. Lucjan jest już bardzo blisko swoich goryli, zostało mu ledwie kilkadziesiąt metrów. Pokona je samym rozpędem. Impet nóg przeniesie na ręce i jak halniak przetoczy się po koniopasach. Właśnie już dopadł ich. Chwycił za rozgorączkowane łby, uniósł nieco i tłucze jeden o drugi. Pająki wierzgają w powietrzu rękami i nogami jak kalekie wiatraki. Całkowicie zdane są na huragan, który jest dzisiaj wyjątkowo niełaskawy. Czochra ich łby, rzuca po ziemi i miesza z trawą. Nagle pojawia się poświata. Początkowo ledwie dostrzegalne światełko przecina niebo

zygzakami. Rozbłyska się, rozjaśnia, zamienia w płonącą żagiew. Z ciemności czerpie siłę swojego blasku. Widzę jak Kurde Felek i Marian kotłaszą się pod razami pałki Lucjana. Przywierają do ziemi, usiłują zamienić się w owady i zniknąć wśród traw. Kulą się, rękami zasłaniają głowy. Nie protestują. Przyjmują karę w ciszy podkreślonej odgłosami uderzeń. Król rozgniewał się, więc należy w spokoju przyjmować jego razy i wiernym patrzaniem w oczy dziękować za wyświadczoną łaskę. Mógłby przecież rozdeptać, koniem zatratować albo półprzytomnych wrzucić do rzeki. Łaska królewska może być okazywana w najróżniejszy sposób. Żagiew robi kilka okrężnych ruchów nad głową Lucjana i leci w kierunku rzeki. Zamienia się w nikły obłok pary. Obraz znika. W jego miejscu atramentowa plama. Kilka długich chwil ciemności. Znowu pojawia się Lucjan. Stoi obok Felkowego konia. Głaszcze, go po bokach, zadzie, obmacuje razy bata, przytula się do nisko pochylonego łba. Podchodzi do powalonych cieni, jednego z nich stawia na nogi i prowadzi do zwierzęcia. Kurde Felek słania się, usiłuje chwycić końską grzywę. Lucjan dociska go do konia, zmusza do całowania nozdrzy, głaśkania po suchych gnatach, przepraszania. Bojowość opuszcza jeźdźca. Jeszcze tylko usiłuje bronić się, odciąga głowę od nozdrzy, kręci nią na boki. Lucjan jest jednak bardzo konsekwentny. Raz i drugi prostuje głowę, naprowadza ją na chrapy, a gdy to nie pomaga, uderza pięścią z prawej, potem z lewej strony i jeszcze między oczy. Bezwolny Kurde Felek pada przed koniem. Podnosi się na

kolana. Lucjan kopie go, więc znów pada na twarz, jakby składał zwierzęciu pokłon i przepraszał. Nieruchomieje w połyskliwej od rosy łące. Lucjan jeszcze raz obmacuje konia. Staje zasepiony. Przypala papierosa. Podchodzi Marian. Lucjan częstuje go. Stoją obok siebie odwrócenimi plecami, już pogodzeni, wybaczający sobie winę.

Konie stanęły. Żelazny wóz obciążony wielką stertą drzewa głęboko werznął się w piasek. Wszystko przeciwko nam. Najpierw długo nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego drzewa, do białego dnia ojciec kluczył końmi po przecinkach, jakby nie znał lasu. Już podejrzewałem, że to budowanie to tylko pretekst do konnej wycieczki, taka starczo-sklerotyczna zachcianka ojca. Słońce już wzbilo się na dwa, trzy chłopcy. Wreszcie konie zatrzymały się w starej części lasu, gdzie drzewa wysokie, grube, dumnie dzierżyły korony nad innymi, niczym wierna straż nad odpoczywającymi wojami. Ojciec pociągnął tylko za lejce i konie przystanęły. Pierwsze uderzenia siekier rozniosły się po lesie jak złowrogie krakanie wron. Pracowaliśmy bardzo ostro. Wkrótce dwa drzewa, z wielkim trzaskiem ocierając się o korony innych, sięgnęły ziemi.

— Żał mi ich trochę... drzewo nie urośnie za rok, dwa. Nieraz muszą całe lata minąć, zmienić się pokolenia. Ściąć łatwo. Jeszcze gdy siekiery ostre — bardzo łatwo. Wiele widziały, wiele słyszały, pewnie długo mogłyby opowiadać, ale nie mamy czasu słuchać. Budowa czeka — usprawiedliwiał swoje wymachiwanie siekierą.

Pierwszy raz od momentu podjęcia decyzji o wyprawie po drzewny budulec odezwał się po ludzku. Gwałtownym szarpnięciem za ramię zbudził mnie z ledwie rozpoczętego snu. Na matkę złowrogo spojrział, gdy chciała wręczyć mu tobolek z jedzeniem i też nic nie powiedział. W milczeniu zaprzęgał konie, w milczeniu również układał worek wypchany sianem i wskazywał mi miejsce obok siebie. Rozpoczynając jazdę strzelił z bata. Bez jednego słowa, częstując się od czasu do czasu papierosami, przejechaliśmy drogę i okrążyli połowę lasu. Uparcie milczał. Na rękę mi było jego zachowanie, mogłem spokojnie drzemać, przedłużać sen. Konie zatrzymał w szerokiej przecince. Przełamał się dopiero, gdy pierwsze drzewo jęknęło, uderzając o ziemię i przeciwko sobie, przeciwko swojej decyzji żałował drzewa. Siekiery stukwały jak złowrogie przepowiednie Marcysi, jak gdakanie rozeźlonych kwok. Las drżał szarpany na wszystkie strony echem. Co kilkadziesiąt minut dawało się słyszeć głośny trzask łamanego pnia i narastający szum koron. I w zwartej zabudowie lasu powstawała dziura, przez którą nieśmiało zaglądało słońce. Pracowaliśmy bardzo intensywnie. Już kilka drzew leżało na ziemi. Ojciec szykował się do podcinania kolejnego pnia. Wysoko podniósł siekiere, mocno odchylił się w krzyżu i... Nie wiem dlaczego nagle zabroniłem ojcu ściąć sosnę, do której przymierzał się ze starannością. Błyskawicznie stanąłem między ojcem a drzewem, wystawiłem się na uderzenie jego siekiery. Dobrze, że nie wyprostował się, nie machnął rękami, nie puścił siekiery w dół. Staliśmy

tak naprzeciwko siebie długo. Ojciec usiłował wytłumaczyć mi, że z sosny będą dwie ładne krokwie, może jeszcze na kilka lat wystarczy. Nie przekonały mnie takie argumenty. Uparłem się, ale i ojciec się uparł. Staliśmy naprzeciwko siebie z siekierami. Ojciec trzymał swoją na ramieniu. Niby przymierzał się do drzewa, niby mnie straszyl. Kurczowo ścisnąłem w ręce swoją siekierę, stałem oparty o sosnę i mrużąc oczy patrzyłem na ojca. Staliśmy naprzeciwko siebie i mierzyli siły. W pewnym momencie na wierzchołku sosny głośno zakrakała wrona. Otrząsnąłem się. Siekiera nagle zaczęła mi ciążyć, nie sposób było ją utrzymać w spoczonej ręce, więc oparłem o pień drzewa i wolno odszedłem na bok. Niech ojciec robi, co chce. Ustąpiłem mu placu. Ojciec nisko spuścił głowę i również odszedł na bok. Zrezygnował z dwóch krokwie i kilku lat. Drzewo zostało uratowane.

Staliśmy na zboczu niewielkiego pagórka. Wóz zarznął się w piachu i konie nie mogły pociągnąć.

— Odpocznijmy — powiedział ojciec.

Niezbyt odpowiadał mi odpoczynek na piaszczystym pagórku. Chociaż dawno minęło południe, słońce prażyło jak na przysłowiowej patelni. Gorąc niczym w dzień pieczenia chleba. Odpoczynek był jednak konieczny. Konie ociekały brązową pianą, szczególnie koń sąsiada, który szedł w parze z naszym. Chrapy ich rozdymały się, a brzuchy falowały, jakby za chwilę miały się rozerwać z wysiłku.

Po oparciu siekiery o pień sosny wróciłem na miejsce wyrębu i usiadłem na świeżym odziomku. Między

drzewami migąła postać Pucułka. Gonilem za nią, ale nieustannie się oddalała. Przystawała, kryła się za drzewami i gdy pobiegłem za daleko, wychylała się zza pnia i pohukiwała na mnie. Biegało mi się bardzo ciężko. Nogi do kolan zapadały się w miękkim poszyciu, krzaki kolczastymi gałęziami chwyciły za ramiona albo podstawiały korzenie, i fikałem koziołki. A Puculek jak ptaszek przeskakiwał od drzewa do drzewa, śmigał między krzakami, zanosił się głośnym śmiechem. Krótka spódniczka unosiła się i odsłaniała zgrabne nogi. Pałałem wielką żądzą, pochwyliłbym Pucułka i połknął. Nagle w końcu przecinki pojawił się rudy wilk. Zauważyliśmy go równocześnie. Puculek z krzykiem ruszył w moim kierunku. Biegliśmy ku sobie. Bardzo szybko biegliśmy, ale odległość nie zmniejszała się, natomiast wilk był coraz bliżej. Oblał mnie zimny pot. Byłem świadomy, że stracę Pucułka...

— ...zmęczyłeś się — ojciec szarpał mnie za ramię.

Konie odпочęły co nieco i odwracając łby spoglądały na nas. Chciały iść do domu. Słońce szykowało się do snu. Ojciec trzymał już lejce i układał w ręce bat. Krzyknął raz, drugi, hojnie obdzielił końskie zady batem i konie szarpnęły. Wóz wyładowany stertą drzewa drgnął i wolniutko potoczył się po piaszczystym pagórku. Ruszyłem za nimi. Biorąc sen za rzeczywistość, usiłowałem uzmysłwić sobie, czy wilk dopadł Pucułka, czy ja byłem pierwszy. Na uzgadnianiu tego zeszła mi większa część drogi, lecz nie doszedłem do jednoznacznego wniosku.

Wyjeżdżając na drogę łączącą góry z naszą doliną, ojciec gwałtownie skręcił. Coś zaskrzypiało, potem trzask i tylne koła wozu rozkraczyły się. Ojciec kłął, bił konie, ale one nie mogły ruszyć dalej. Musieliśmy rozładować wóz, podwiązać pod rozworę krótki kawałek belki i znów załadować pnie. Zeszło nam z tym do wieczora. Do domu dotarliśmy przed północą. Matka czekała na nas z wystygniętą jajecznicą i białą kawą już rozlaną do kubków. Po zaspokojeniu pierwszego głodu i zapaleniu papierosa poprosiłem ojca o pozwolenie na nocne czuwanie. Liczyłem, że zadowolony jest z całego dnia, z tej wycieczki do lasu, i że wyrazi zgodę. Bez zastanowienia powiedział:

— Zwieziemy drzewo i możesz się bawić w koniopasa.

Podskoczyłem z radości i ucałowałem ojca w szorstki policzek. Nie wiem, dlaczego tak zależało mi na wypasie koni, dlaczego tak nieustannie nagabywałem ojca o pozwolenie na nie? Czyżbym usiłował szukać zapomnienia ostatnich dni w nocnym zmęczeniu, w sennym plątaniu się po podwórku? A może nie chciałem mieć snów, które nawiedzały mnie każdej nocy, rzucały ciałem, oblewały potem? Najczęściej wracał sen o uciekającym między drzewami Pucułku, o wilku i o mojej bezradności. Już nawet nie pamiętam, kiedy nawiedził mnie pierwszy raz. Czy to było w noc poprzedzoną wizytą w Arcusie i pierwszym spotkaniu Pucułka z rudobrodym, czy może po tym idiotycznym poleganiu w łożu, które miało nas połączyć, pogodzić, a stało się miejscem wielkiego kłamstwa?

Za każdym razem budziłem się spocony, niemal obłany wiadrem wody, a nogi były zmęczone zapadaniem się w grząskim poszyciu lasu, nic nie skorzystały z odpoczynku. Pierś dygotała biegiem nóg. Rudy wilk dopadał Pucułka, a ja odwracałem się i uciekałem do ojcowskiej chaty albo do akademika. Budziłem się. Od razu uświadamiałem sobie, że w najważniejszym momencie stchórzyłem. Nie umiałem podjąć walki o Pucułka. Wolałem płakać, namawiać chłopaków do zemsty w moim imieniu, rozpaczać. Na koniec oblać egzaminy i usprawiedliwiony przemęczeniem organizmu wziąć urlop dziekański i przyjechać do ojca. Była to zdrada, moja ucieczka do spokojnej doliny.

Lucjan i Marian idą w moim kierunku, to znaczy w kierunku ogniska i płaczącej wierzby. Trzymają się pod rękę, a właściwie Lucjan podtrzymuje Mariana. Idą wolno. Przysiadają co chwila i odpoczywają. Marian zatacza się, pochyła, jakby dźwigał wór zboża. To bijatyka tak go przytłoczyła. Za nimi na wiotkich nogach wlecze się Kurde Felek. Lucjan siada na derce, Marian przystaje na chwilę, głęboko zaciąga się powietrzem i rusza dalej. Idzie w kierunku rzeki. Felek zatrzymuje się przy ognisku. Ubranie ma porwane, szczególnie rękawy marynarki i nogawki spodni. Twarz w siniakach. Ukosem przez prawy policzek biegnie mocno krwawiąca rana. Lewe oko obrzęknięte, sine. Po dłoni prawej ręki cieknie niewielka strużka krwi. Z trudem utrzymuje się na nogach. Chce usiąść, odpocząć jak najszybciej, ale Lucjan wskazuje ręką na ognisko, więc jeszcze nie wolno Felkowi odpoczywać. Czeka go braterstwo ognia. Lucjan

przypomina zabawę dziadka i każe ją powtórzyć Felkowi. Musi on trzy razy przeskoczyć ognisko, jakby wykąpać się w płomieniach, zmyć ślady krwi z rąk, z nóg, z twarzy, z całego ciała. Zostanie wtedy bratem ognia i naszym bratem. Felek nie może się przeciwstawić woli Lucjana, nie wolno mu odpoczywać. Cofa się więc kilkadziesiąt kroków i bierze rozpęd. Biegnie. Nędzny ten jego bieg, bardzo powolny. Nogi częściej idą na boki niż do przodu. Kolebie się Kurde Felek, zatacza coraz większe zygzaki i powoli zbliża do ogniska. Zaczynam drżeć, obawiać się o skok. Czy nie upadnie w środek ognia? Nikt mu nie pomoże, nie wolno. Będzie musiał sam się wygrzebać i ponowić próbę. Lucjan zaczyna uderzać się rękami po kolanach, przypominając kolejną część zabawy dziadka. Dopinguje Kurde Felka. Moje ręce również rozkolebane, uderzają po łądzwiach. Dopingujemy Kurde Felka. Przyspiesza bieg, zmniejsza zygzaki. Nogi już nieco pewniej dotykają ziemi, już biegnie szybko. Ognisko tuż-tuż. Odbicie i... Wielki słup iskier, pyłu, girlandy płonących żagwi. Kurde Felek nie przeskoczył. Wylądował na skraju ogniska. Gdyby pewniej czuł się na nogach i mniej był zmordowany biciem, przeskoczyłby bez żadnych kłopotów. Kurde Felek podrywa się i skokiem kangura ucieka poza pierścień ognia. Ląduje na trawie. Długo odpoczywać Przygotowuje się do próby po raz drugi. Ręce nasze klekoczą wolno, dopiero gdy Felek rusza, przyspieszamy uderzenia. Pokrzykujemy. Ciężko, jakby skrzydła ptaka nie miały mocy, przefrunął nad ogniskiem. Zachodzi z drugiej strony.

Trzykrotnie musi zaliczyć ten skok. Druga próba udaje się bez trudności, dopiero trzecia bliska jest tragedii. Choć biegł dość szybko, w momencie odbicia wytracił pęd i ledwie przeleciał nad ogniskiem. Płomienie owionęły go, zajrzały w oczy. Zalegał na łące w miejscu upadku na długi odpoczynek.

Marian obmył twarz z krwi i uważnie obserwując poczynania Kurde Felka, wraca do nas. Woda przywróciła mu siły. Jeszcze chwiał się na nogach, potykał, przystawał, ale nim Felek skończył skoki, doszedł do nas. Teraz siedzi obok i przygląda się rozbebeszonemu ognisku. Głośno dyszy. Broda gwałtownie skacze. Pewnie chce coś powiedzieć albo tak zmęczyły go te dwa słowa wypowiedziane przed biegiem do jeźdźca nieudacznika. Mimo jego posapywania wielka cisza. Wszyscy milczą zakłęci.

To kumanie się z ogniem wymyślił dziadek i dopóki przewodził koniopasom, ściśle go przestrzegał. Nawet usiłował uzasadniać, powołując się na jakiś stary zwyczaj symbolizujący braterstwo człowieka i ognia. Już zawodziła go pamięć i nie mógł sobie tego dokładnie przypomnieć, więc obmyślił na swój sposób. Lucjan nigdy tego nie traktował poważnie. Naśmiewał się, gdy dziadek jak pajac skakał nad ogniskiem i uważał to za wysmienitą rozrywkę. Nikt z koniopasów nie pamięta, czy kiedykolwiek dał namówić się na taki skok, ale gdy chciał komuś szczególnie dokuczyć, zmuszał do kumania się z ogniem na sposób obmyślony przez dziadka.

Dziadek przez ostatnie lata przed śmiercią często miał psychiczne zaburzenia, a już niemal codziennie wpadał w ponury nastrój. Godzinami posiadał na brzegu rzeki zapatrzonego w wodę. Na nikogo nie zwracał uwagi, nawet konie niewiele go interesowały. Lucjan utrzymuje, że dziadek w ten sposób przygotowywał się do wizyty dzikiego psa. Ojciec natomiast nie widział w tym nic więcej niż typowe objawy choroby psychicznej. Podzielałam zdanie ojca, chociaż przyczyn choroby dziadka w niewielkiej części doszukuję się, w jego postępowaniu, w tych codziennych kłótniach i złorzeczeniach, we wzajemnym przeklinaniu się. Dziadek chciał uczynić ojca swoim następcą, bo jemu psuł się wzrok i nie zawsze już na czas dostrzegał zwierzęta, a ojciec myślał tylko o gospodarce, nie w głowie mu było posiadanie pod płaczącą wierzbą. Noce chciał przesypiać spokojnie, żeby po wschodzie słońca mieć dużo siły dla gospodarstwa. Dziadek w dzień wyklócał się z ojcem, a wieczorem szedł na łąkę i przesiadywał nad wodą. Gdy koniopasi zapominali o jego pokurczonym cieniu, zrywał się i głośno krzycząc biegł drobniutkim krokiem w stronę ogniska. Kilkakrotnie, a właściwie aż do omdlenia, skakał przez ogień, pociągając za sobą długie jęczory płomieni i dymu. Koniopasi dopingowali go pokazując butelkę bimbru. Za butelczynę dziadek tak pajacował. Potem długo odpoczywał leżąc na łące w pozycji ukrzyżowanego. Ledwie jako tako odpoczął, nieco uspokoił oddech, chwycił butelkę i sam wypijał ponad połowę jej zawartości. Odurzony alkoholem opowiadał jakieś niestworzone rzeczy o dzikim psie, który ciągle nachodził go nocami i

namawiał do czynienia zła, o jego krwawiącym widmie pojawiającym się nad ranem. Zjawy chciały zabrać dziadka z sobą, nęcąc go piwnicami wypełnionymi po brzegi winem, dywanami kwiecistych łąk. Dziadek sam wierzył w te nocne majaczenia, a nawet przekonał do nich koniopasów. Przecież za jego tragiczną śmierć obarczyli odpowiedzialnością dzikiego psa. Krytycznej nocy dziadek nie mógł ani razu przeskoczyć ogniska. Podbiegał do niego i zatrzymywał się. Odczuwał przed płomieniami wielki strach. Koniopasi nie chcieli dać butelki. Prosił na kolanach, błagał, płakał wielkimi łzami i całował po rękach. Na nic nie byli czuli. Dopiero relacja z nocy poślubnej z oblubienicą przekazana w bardzo sprośny sposób zadowolila koniopasów i wybłagała butelkę. Dziadek poniżał się bardzo. Za kilka łyków bimbrow mógł sprzedać rodzonemu brata, a nie tylko małżeńskie tajemnice. Tej nocy, nim koniopasi wyrwali mu butelkę, wypił niemal wszystko. Upił się. Nad ranem ognisko gwałtownie rozbłysło i zatoczyło szeroki krąg. Paliła się cała łąka, jedynie płacząca wierzba była poza zasięgiem krwawych płomieni, dzielnie przeciwstawiała się ich żarowi. Płomienie dokuwały dziadkowi, przenikały do gardła, spopielaly całe ciało. Nie miał siły uciekać do rzeki i w niej szukać ochłody dla rozpalonego gardła, zresztą drogę przecinał wielki żar, ledwie udało mu się wdrapać na wierzbę. Wtedy pojawił się dziki pies. Jak nigdy nie zaatakował koni tylko dziadka. Ogień był jego sojusznikiem. Brodził wśród płomieni, rozniecał je, przygniatał piersi dziadka coraz większym

żarem. Jakimś cudem posiadał zdolność łażenia po drzewach. Ledwie wdrapał się na pierwsze gałęzie, dziadek usiłował mu, zarzucić na szyję powróż, wziąć niby na smycz, jak czynił to niejednokrotnie. Nie trafił. Za bardzo rozkołysał ręce i powróż zapętlił się na jego szyi. Dziadek stracił równowagę, poleciał w dół, ale powróż zaczepiwszy się na gałęziach przerwał w połowie jego lot. Oficjalnie przyjęto takie lub temu podobne tłumaczenie śmierci dziadka.

Jesienią, po wykopkach, gdy noce były już bardzo chłodne i koniopasi zaprzestali nocnego czuwania, paliliśmy na łące wielkie ognie. Zbierało się na jedną kupę chwasty z okolicznych miedz, podkładało kilka papierów i podpałało. Trzaski przypominały odgłosy walonych drzew, jakby płonął wielki las, tak ogień buszował po suchych badyłach. Dym rozciągał się nad pastwiskami nieprzeniknioną chmurą. Biegaliśmy pojedynczo albo chwytaliśmy się za ręce i szerokim kołem okrążali ogień. Rozsypywaliśmy się w małe grupki, by po kilku minutach znów połączyć się w jedną gromadę. W promieniu dziesięciu metrów od ogniska nie dało się stać. Zakrywaliśmy twarze ubraniami i podbiegali do ognia. W odległości kilku metrów na chwilę odkrywaliśmy twarze. Ogień oślepił i parzył. Wtedy odwracaliśmy się tyłem i uciekali poza jego zasięg. Próby takie ponawialiśmy wiele razy. Nikomu oczywiście nie udało się podbiec do samego ognia, do jądra tego wielkiego żaru, a przecież tylko o to nam chodziło. Ogień był dla nas wielką tajemnicą. Odkryliśmy ją w małym płomyku zapałki, w niewielkim ognisku, chcieliśmy

jeszcze sprawdzić w wielkim ogniu. Nie udało się tego dokonać, ale niejednokrotnie zaglądaliśmy mu w oczy. W naszych szczeniackich zabawach za krowami, w zabawach koniopasów odżywał mit ognia. Ogień wzbudzał strach, dopóki go nie ujarzmiono, dopóki nie zaczął służyć człowiekowi, który płoszył nim złe duchy, nocne zjawy, wyjednywał u bogów litość albo sam spalał się na wielkich stosach. Ogień dawał radość, zachęcał do tańca, organizował ludzi w jedną gromadę. Teraz pełni tylko rozrywkowe funkcje, chociaż nadal dla koniopasów jest źródłem ciepła i jakby symbolem zbratania się, darowania wszystkich win, zapominania o urazach i antypatiach. Ogień bywa piękny, gdy wypala zło.

— Obu wam się należało — cicho, jakby z goryczą, mówi Lucjan. — Przerwaliście mi sen i niepotrzebnie bili się o konia.

Marian bierze go za rękę i usiłuje coś powiedzieć, jakby chciał się usprawiedliwić, ale Lucjan niecierpliwie odpycha go na bok, nie chce słuchać nędznego jądlenia.

— Idę spać, dobrze pilnujcie koni!. — rozkazuje podniesionym głosem.

Zdenerwowany Marian, postępując, podnosi się z derki i idzie do Kurde Felka. Bierze go pod rękę, podnosi. Zataczając się, wracają pod płaczącą wierzbę. Twarz Kurde Felka jeszcze bardziej pociemniała. Zakrzepłe plamy krwi mieszały się z sadzą i zamieniły lica w dwa okopcone ziemniaki. Marian przynosi w butelce wody z rzeki i podaje mu dla obmycia twarzy i rąk. Kurde Felek, łączywie chwyciwszy butelkę, zamiast obmyć się, pije wielkimi

łykami. Zaspokoiwszy pragnienie, wylewa resztę wody na głowę. Pomieszana z krwią spływa po ubraniu dużymi strugami. Woda sprawia mu wielką radość, bo uśmiecha się, zapomina o biciu. Klepią się z Marianem po ramionach, głośno śmieją.

— Dziwi cię nasze zachowanie? — zwraca się do mnie Kurde Felek. — Znęcałem się nad zwierzęciem. Dobrze, że Marian mi przeszkodził, a Lucjan obił... Niepotrzebnie znęcałem się. Chciałem zapomnieć. Ból konia miał mi w tym pomóc. Tobie się wszystko udało, a mnie... Chciałem być muzykiem, a tu nawet na zabawach nie wolno mi grać. Marzenia zamieniły się w pasanie koni. Szlag mnie trafia. Przyjechałeś i kolesz w oczy, przypominasz moje plany, marzenia...

— Należało być twardym, postawić na swoim.

— W jaki sposób? Mój ojciec nie pozwoliłby mi na to, a nie odważyłbym się podnieść ręki na niego, jak ty na swojego.

— Przecież nigdy nie uderzyłem ojca.

— Ale kilkakrotnie się przymierzałeś. Jaka różnica? Na jedno wychodzi.

— Musiałem pokazać, że mam swoje zdanie i zawsze potrafię go bronić. Zresztą, nie chodziło o studia, tylko o metody gospodarowania. Chciałem mu pomóc, przekazać część tego, czego nauczyłem się w ogólniaku. Chwasty wyrывał ręką, a stonkę tępił azotoksem posypywanym z pończochy. Chciałem uświadomić ojcu, że sto procent lepiej robi to maszyna i bez ludzkiego wysiłku. I o to nam poszło, a nie o studia. To ojciec pierwszy sięgnął po kamień. Uciekłem. Nie miałem innego wyjścia. Ty zostałeś, ugrzązłeś. W tej chwili już za późno zaczynać.

— Może... zresztą, niech to szlag trafi. — Kurde Felek macha lekceważąco ręką i odwraca się plecami. — Kiedyś i tak połączę się z Głuszkim i Sroką, będzie na moim — składa deklarację i wołę przeciwstawienia się woli ojca. Mówi to na przekór sobie, dla pocieszenia się, bo nigdy nie zrealizuje marzeń. Może tylko przelewać żal na konia, okładać go batem i za osobiste poniżenia znęcać się nad zwierzęciem. Ładnie gra, ładnie śpiewa, ale i bić potrafi, szczególnie słabszego. Już doświadczyłem jego pięści. Skurczybyk, po mistrzowsku posługuje się rękami, zarówno grając na piszczałce, jak i uderzając w brzuch.

Marian cieszy się. Przeszkodził w biciu konia. Oberwał przy tym, ale... przyzwyczajony jest do bicia. Nieraz za kromkę chleba, miskę zupy oberwie niejednego kuksańca. Sierota przecież i przybłąda. Bardzo dawno temu przywiózł go z miasta nieżyjący już Maciej Podkowa. Stał na przystanku, czekając na autobus, który podwiózłby go do wioski. Wtem podeszła do niego kobieta w eleganckim płaszczu i wysokich butach, prosząc o potrzymanie niemowlaka przez jedną chwilkę, gdyż jej bardzo... Zrozumiał Maciej Podkowa rumieńce na twarzy kobiety i przyjął dzieciaka. Czekał z nim na powrót matki do wieczora. O pierwszym zmroku poprawił sobie dzieciaka na ręce, w rozwrzeszczaną buzię wetknął kawałek słodkiej bułki i ruszył do wioski. Dopóki żył Maciej, dzieciak świetnie się rozwijał. Jak małpka chodził po drzewach, pasał gęsi i

nieustannie szczebiotał. Nawet już opiekował się podupadającym na zdrowiu i siłach Maciejem. Dzieci wołały na niego — znajda, lecz dziadek tłumaczył, że jest jego wnuczkiem, a mamusia wyjechała daleko i już niedługo wróci. Kiedyś Maciej przestał rozmawiać z dzieckiem, potem nawet przestał się poruszać, jakby się pogniewał. Marian kilka dni czekał, aż dziadek przemówi, odwróci się do niego, pogłaszcze po głowie, przestanie się gniewać. Nie doczekał się. Podczas pogrzebu Marian zaniemówił, przestał reagować na słowa sąsiada, który chciał wziąć go do pasienia bydła, nawet Marcysia długo nie mogła wydobyć z niego słowa. To ona zaopiekowała się kilkuletnim znajdą po śmierci Macieja Podkowy. Marian nie miał u niej źle, mimo to ciągle uciekał w pola, chował się w krzakach nad rzeką i bardzo często nocował w stogach siana, w sąsiedzkich stodołach. Ludzie wypytywali, dlaczego jest taki niewdzięczny, ale on zaczynał płakać i jąkać się. Po kilku latach uciekł od Marcysi. Od tamtej pory chodził po gospodarzach i pracował za jedzenie, za byle odziewek, a nawet za noc przespaną w chałupie. Komuś zwierzył się z przyczyn ucieczki od Marcysi. Wieczorami brała go do swojego łóżka, przyciskała do wysuszonych piersi albo kazała się głaskać po brzuchu. Marian wolał tułaczkę niż wstrętne polegiwanie z Marcysią. Tak już zostało. Gospodarze cenią sobie jedzenie, żądają pracy ponad siły. Za każdą niedokładność zaciskają pięści i biją po oczach, kopią ufajdanymi w gnoju butami. Marian zna gospodarzy bardzo dobrze. A Kurde Felek, chociaż kumpel, gospodarski syn, a w takim zawsze siedzi coś z pana-dziedzica.

Koniecznie należało mu natrzeć uszu.

Marian odpoczął już, więc idzie do koni. Widzę go niby ciemne bóstwo. Bez oczu, bez twarzy. Nieustannie smagany deszczem, owiewany ciepłym wiatrem łąki, pokurczył się, pochylił i drepcze na wiotkich nogach. Ciemna plama na ciemnym tle łąki. Ledwie dostrzegalna.. Im bliżej zwierząt, tym krok jego szybszy, bardziej nerwowy. Co chwilę zapada się w nierównościach łąki, nawet nikt nie widać w trawie, jakby bóstwo pokładało się i podnosiło tylko dzięki modłom najbardziej wytrwałych koniopasów. Już jest przy koniach. Rozlazły się, więc spędza je w stado. Głaszcząc po łędźwiach nóg, klepie po szyjach i zadach, pociera wiechciem z trawy. Gdy pochyła się i nisko opuszcza ręce, przypomina dzikiego psa. Właśnie podkradł się do koni i wybiera najbardziej tłuste sztuki. Od brzuchów zaczyna, bo przecież mięso tutaj najdelikatniejsze. Skrada się do nisko pochyłonych łbów i szepcze słowa obietnice. To bardzo dziwny dziki pies. Nie ma w nim nic z dawnej agresywności, ze złodziejskich zamiarów. Łagodny i pokorny. Marian głaszcząc konie po grzbietach, tuli i przymiła się do nich.

Ani łóżko, w którym przeleżałem z Pucułkiem blisko cztery godziny, ani ofiara jej ciała nie rozwiąły moich wątpliwości. Złagodziły je tylko, przyciszyły lepkim zmęczeniem, ale już następnego dnia odezwały się one szyderczym głosem. Postanowiłem zabawić się w nieufnego psa i śledzić Pucułka, dreptać za nim krok w krok, podsłuchiwać rozmowy, odczytywać myśli. Kilka dni była wierna na

pokaz. Zjawiała się na każde zawołanie, tłumaczyła z najkrótszej nieobecności. Już ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że nazbyt ostro postąpiłem z Puculem, już zaczynałem się wstydić podchodów i zastanawiać się, jak jej o tym powiedzieć? Chciałem być całkowicie lojalny. Panie Boże, zgrzeszyłem, ale daruj mi, poprawę obiecuję. Jednego razu musiałem pójść na ćwiczenia z ekonomii, i tak już miałem sporo nieobecności, musiałem spuścić ją z oczu. Po pół godzinie, tłumacząc się bólem żołądka, wyszedłem. Pod „Marysią” siedział Puculek z rudobrodym malarzem. Głowy ich były pochylone ku sobie. Na jego ramieniu spoczywały jej blond włosy. Może to złudzenie. Wiatr był duży, mógł je przypadkowo zarzucić. Zbliżyłem się nieco. Jej ręka spoczywała w jego potężnej garści. Jeszcze miałem złudzenie, że to przypadkowe podobieństwo postaci, więc podszedłem jeszcze bliżej. Nagle zrozumiałem dużą ilość zajęć w różnych punktach miasta, czym tłumaczył się Puculek z, braku wolnego dla mnie czasu. Zrozumiałem dodatkowe wykłady, zainteresowania muzyką, etnografią, a nawet wieczornymi modłami w Arcusie. Na ławce pod pomnikiem „Marysi” siedział Puculek z rudobrodym malarzem. Przekonałem się o niedokładności mojego systemu podglądania. Wyrzuty sumienia zamieniły się we wściekłość. Zdecydowany na wszystko podszedłem do ławki.

— Wolne? Można usiąść?

— Tak — mruknął rudobrody, nie spojrzawszy na mnie.

Puculek nie był zaskoczony. Spuściła głowę. Nie patrzyła ani na mnie, ani na rudobrodego. Czekałem, czy

odezwie się słowem, spojrzy choć raz. Nie. Rudobrody też nie interesował się mną, udawał, że nie dostrzega. Puculek wreszcie przemówił:

— Poznajcie się. Kolega Andrzej — Wskazała na rudobrodego — i kolega...

— Nie za dużo tych kolegów?. — zapytałem bezpardonowo.

— A co? Coś nie gra? — wtrącił się rudobrody.

— Nie wsadzaj nosa do cudzej michy.

— Koleś, spierdalaj, bo rączką pomacam — zagroził rudobrody.

— Dajcie spokój — uspokajał Puculek. — To moja wina — Puculek niby starał się załagodzić spór, ale w rzeczywistości czekał na jego ślepe rozstrzygnięcie.

Czułem przewagę barczystych ramion, byczego karku i dużych kopyt rudobrodego. Jednak nie mogłem ustąpić. Postanowiłem zaatakować pierwszy. W tym tkwiła moja szansa. Szybko wypuściłem lewą rękę.

— Ooo, koleś, nie za ostro?

Usłyszałem i ręka jakby trafiła na mur, coś nią szarpnęło i odbiło. W szczęce poczułem ostry ból. Nie wiem, czy to moja ręka tak odbiła i strzeliła mnie w pysk, czy uczyniła to ręka rudobrodego? Gdy ból powtórzył się z prawej i znów z lewej strony, i w żołądku, rozpoznałem pięści rudobrodego. Układałem się do snu. Jeszcze jedna błyskawica wstrząsnęła ciałem i ciemność, wielka przepaść. Nieoczekiwanie burza zamieniła się w ciszę, pioruny w drobniutki świecidełka. Poszycie lasu było bardzo twarde, jakbym ułożył się na sękatym korzeniu. Przespałem się,

odpocząłem. Z pomocą Puculka usiadłem na ławce.

— Głuptasie, on by ci kości połamał. Jest moim asystentem. Wiesz przecież, że przeniosłam się na historię sztuki. Będę miała kłopoty z zaliczeniami. Jeszcze za świeża jestem. Przez niego muszę sobie załatwić parę spraw.

Głos Puculka był bardzo odległy, jakby dolatywał z łąki, zza parawanu mgły. W głowie przelewała się rzeka, las szumiał głośno, ciało przygniezione przez powalone pnie bolało. Nie rozumiałem sensu słów. Została ze mną. Jakaż to była radość, ile zobowiązań i jakież wyrzeczenia. Zawstydziłem się psiego usposobienia, lisich podchodów. Z czułością wziąłem ją pod rękę. Odprowadziła mnie do akademika. Nie było żadnego z chłopaków.

— Przypominasz mi Wiatra. Albo bardzo spokojny, albo zbuntowany. Nie wiadomo, kiedy wierzgnie i zrzuci z grzbietu — powiedziała, gdy podnosiliśmy się ze zmiętego łoża. — Muszę już iść, mam bardzo ważny wykład.

Nie protestowałem, chociaż czułem, że spieszyła się na spotkanie z rudobrodym. Szybko zamknęła drzwi. Długo słyhać było stukot jej pantofelków na wyłożonej linoteksem posadzce korytarza. Ponownie zaległem w łóżku. Zmogły mnie słodka ociężałość i lepkie zmęczenie.

Rozsypaliśmy się w długi szereg, myszkujemy po krzakach, po zakamarkach parku. Po mojej prawej stronie idzie Belphegor. Mocno pochylony, bo przecież słusznego wzrostu, a krzaki tu niskie. Z jego prawej strony idzie Zbyszek. Nie ma kłopotu z myszkowaniem, niski, najniższy

z całej paczki. Dalej Waldi i Kazik. Często spoglądają na mnie, jakby odczuwali strach przed gąszczem ligustru. Tak wygląda moje prawe skrzydło. Lewe jest nieco krótsze. Idzie w nim tylko trzech chłopaków: Józek O., Marian i Lucjan. Nie wiem, skąd się tutaj wzięli Marian i Lucjan? Pojawili się niespodziewanie, gdy weszliśmy do parku. Idą z nami, idą jak zakłęci. Mariana rozumiem, ale Lucjan?... Robimy nagonkę na rudobrodego. Co chwila pojawia się jego bujna czupryna między krzakami ligustru albo tuż pod koronami jarzębin posadzonych wzdłuż alejek. Nieustannie przyspieszamy kroku, rudobrody również. Nie możemy zbliżyć się do niego na wyciągnięcie ręki, choćby na odległość rzutu kijem, kamieniem. Jest bardzo sprytny i wodzi nas za nos. Dowodzę pogonią, więc to mnie oszukuje, ciągle wyprowadza w pole. Chłopaki denerwują się. Belphegor wygraża mu pięścią, Zbyszek obrzuca obelżywymi słowami. Waldi radzi, żeby wziąć go w kocioł, oskrzydlić. Nie obejmujemy całej szerokości parku, wymknie się i znów zrobi z nas balonów. Rada Waldiego nie jest słuszna. Daję znak ręką i jeszcze bardziej przyspieszamy kroku. Niczym gończe psy pędzimy za spłoszonym zającem. Park rośnie w oczach i nie możemy go przebiec. Rudobrody znikł, zapadł pod jakimś krzakiem. Spłoszonym wzrokiem rozglądamy się dookoła, własne oczy_ podejrzewamy o kłamstwo. Przecież nie mógł zapaść się pod ziemię. Szliśmy tropem, a trop nagle się urwał. Nawet krzaki nie szeleszczą, ruda czupryna

nie pojawia się na tle zielonej jeszcze jarzębiny. Nic. Spoglądamy po sobie, powątpiewając poruszamy ramionami i niechętnie myszkujemy dalej. Niektórzy skłonni są już zrezygnować z pogoni. To przecież tylko mnie osobiście zależy na schwytaniu zająca. Zachęcam kolegów cukierkowymi słowami, obiecuję ucztę; konia z rzędem. Belphegor cicho gwizdże, żeby zwrócić na siebie uwagę i krótkim pomachiwaniem ręki wzywa nas do siebie. Przykłada palce do ust, pokazując znak ciszy. Bezszelestnie skradamy się w jego kierunku. Stoi przy gęstym krzaku ligustru i bezgłośnie chichocze. Przechodzą mnie dreszcze. Śmiech jego szydery, przyprawiający o drżenie rąk. Z ciekawości wybałuszamy oczy. Podchodzimy cichutko. Belphegor pokazuje, żeby ustawić się wokół krzaka, otoczyć go. Podajemy się jego woli, posłusznie wykonujemy rozkazy. Krzak pośrodku pusty jak wianek z mirtu na mocno ufryzowanej głowie panny młodej. Najpierw widzę zwalistą postać rudobrodego. Leży na ziemi i usiłuje w nią wejść. Bije biodrami o wystające korzenie, a między palcami czochra gałęzie ligustru. Obok niego leży Puculek. Rozłożyła się na welonie z koszuli rudobrodego, przymknęła oczy i oczekuje na przyjęcie żonkosia. Jest rozebrana, jedynie wążutki stanik i jeszcze węższa przepaska wokół bioder przesłaniają jej nagość. Lewa noga, nieco uniesiona w kolanie i lekko odchylona, zachęca do grzechu. Podłożone pod głowę ręce nadały piersiom kształt podłużnych gruszek. Rozkłada się Puculek i coraz bardziej nas onieśmiela. Chłopaki zaczynają się podniecać. Mnie nieustannie drżą ręce. Rudobrody zniknął. Zajmują jego miejsce.

Chłopaki również gdzieś znikli. Leżymy z Pucułkiem pośród kwiatów na łące. Z całej okolicy zbiegły się konie i patrzą na nas, gotowe zabrać nas na daleką przejażdżkę. Przewodzi im Sobol. Stoi pod płaczącą wierzbą... Puculek przeprosza mnie za rudobrodego. Upewnia, że jej poleganie w parku było moim sennym przywidzeniem. Niepotrzebnie rozgadałem to wśród chłopaków i niepotrzebnie zorganizowaliśmy nagonkę. Niepotrzebnie również obiliśmy go do nieprzytomności. Krwawił i długo leżał w szpitalu. Pewnie teraz on organizuje swoją paczkę i czatuje na mnie? Nie wie przecież, że uciekłem z Pucułkiem na wieś, że zalegujemy pod płaczącą wierzbą. Mam do pomocy Lucjana i jego dwóch goryli. To nic, że jeden poszedł do koni, a pozostali śpią. Żadna to przeszkoda. Wystarczy krzyknąć, zagwizdać na palcach i natychmiast będę miał wspianą obronę. Mocno przytulam Pucułka, tłamszę między rękami, szukam w niej najcieplejszego miejsca. Mimo znacznego wysiłku rezultat bardzo opłakany. Puculek wysuwa się spode mnie i zaczyna uciekać. Nagle pojawia się Basia zaplątana w gałęziach. Stoi w welonie wśród drzew, z białymi witkami brzoźowych włosów, a niebieski kolor oczu zamienia się w granatowe chmury. Stoi i uśmiecha się, jakby ironicznie, jakby żałownie. Ręce jej drżą i nie mogą znaleźć odpowiedniego dla siebie spokojnego miejsca. Zapominam o Pucułku, patrzę na Basię. To pierwsza moja miłość. Jakżeż jej dawno nie widziałem. Znikła bez pożegnania przed moim październikowym odjazdem. Od tamtej chwili nie spotkaliśmy się

ani razu. Pojawia się dopiero teraz i pyta, jak daleko uszedłem. Nie rozumiem pytania, nie chcę rozumieć. Zawstydzony wyciągam do niej ręce, które okazują się za krótkie, jak ręce niemowlaka, a ona stoi daleko aż w brzozowym lasku. Uważnie obserwuje moje ruchy i śmieje się z gestów rozpaczy, ucieka za góry, rozplywa się w blednym niebie. Otwieram oczy...

Wygwieżdżone niebo, łąka, po której łążą konie, błyszcząca wstęga rzeki, a nad nią pochyłony cień Mariana. Obok na derkach śpią Lucjan i Kurde Felek. Moja derka skołtuniona, zwinięta w kłęb. To ślad po obecności Pucółka. U nóg gasnące ognisko.

Wypadki do lasu powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie. Wyjeżdżaliśmy po północy i do rana, do białego świtu zanurzaliśmy się w las. Natomiast ranek i pół dnia mijały na nieustannym wymachiwaniu siekierą przy podcinaniu drzew i oczyszczaniu powalonych pni z grubszych gałęzi. Zmordowani, ze spuszczoneymi głowami i ledwie powłóczęc nogami wracaliśmy do domu późnym popołudniem, nieraz dopiero o zmroku. Żelazny wóz skrzypiał, wyginał się i kolebał w nierównych koleinach drogi. A na nim wielki snop starannie ułożonych pni. Konie ociekały brązową pianą, posapywały i mocno zapierały się kopytami w piasku drogi. Chociaż ciężko im było, dzielnie ciągnęły. Ojciec rzadko używał bata, jedynie na podjazdach pod pagórki wspomagał je głośnym poświstywaniem węzłkowatego troku. Matka czekała na nas z kopiastymi talerzami jajecznicy, z pajdami chleba grubo smarowanymi

masłem, z półlitrowymi garnuszkami kopącymi białą kawą. Noc przeznaczana bywała na odpoczynek. Ojciec ledwie zjadł kolację, ledwie wytarł gębę i wąsy w lniany obrus, zwał się w ubraniu na łóżko. Nie pomagały prośby matki, nie chciał się rozebrać, nawet umyć. Po kilku minutach zasypiał i głośno chrapał. Ja za każdym razem dokładnie obmywałem ciało, szczególnie nogi i ręce długo pluskałem w wodzie, nacierałem pachnącym mydłem. Usiłowałem wyzbyć się zapachu żywicy, leśnych poziomek i leśnej duchoty. Niewiele to pomagało. Las przychodził w spoconym ciele ojca, w jego ubraniu wybrudzonym leśnymi sokami i pajęczyną, we włosach, w które często zaplątywały się szyszki, łupiny kory, suche igły sosen. Stawał pośrodku izby i rozrastał się. Wierzchołki drzew sięgały niebios, pnie grubsze były od największej w okolicy stodoły sołtysa. Zielone korony szumiały chaotycznie, jakby zebrało się stado ptactwa na ostatnią przed odlotem naradę. Potem gałęzie zachowywały się bardzo dziwnie. Marszczyły się i zwisały pajacowato wzdłuż pni, kołysały się monotonnie. Zawsze dziwiłem się, skąd się tutaj wzięły? Przecież zostawialiśmy je chaotycznie porozrzucane po lesie. Były krnąbrne i wędrowały za nami. Z lasu okalającego nasze posłania, nasz dom dochodziły dziwne stuki, jakby wielkoludy-krasnale obijały pnie pałkami. Te stuki, szумы nie pozwalały zasnąć, wierciły we łbie do nieprzytomności. Do tego jeszcze bardzo intensywny i ostry zapach sączył się do nozdrzy, szczypał w oczy. Dary natury wędrowały za nami, dręczyły nieustannie, nie pozwalały

zasnąć. Matka i ojciec polegiwali kamieniem, a mnie męczyła bezsenność. Oczy nie mogły się zamknąć. Ciągłe przeglądał się w nich las. Piersi falowały nerwowo w rytm odległych stuków. Dłonie zaciskały się, jakby wylatywała z nich siekiera. Czułem to nieustannie. Siekiera ciążyła ręką, palce kleiły się do toporzyska aż do bolesnego skurczu. Dzielne wyrąbywanie drzew szło za mną w noc, zakłócało odpoczynek. Zasnęłam dopiero po kilku godzinach, właściwie wtedy, kiedy należało już wstawać. I ledwie zamknęły się oczy, a piersi nieco uspokoiły, ręce natomiast przestały odczuwać sękowatość trzonka siekiery, ojciec szarpał mnie za ramię i nakazywał wstawać. Podnosiłem się z rozkołysanym lasem w oczach, z obwisłymi rękami, z ciężkością w piersiach i szedłem za ojcem. Zaczynał się kolejny dzień, niewiele różniący się od poprzedniego, chociaż nie jechaliśmy do lasu. Chodziliśmy wokół wozu, zdejmowaliśmy ciężkie kłody i układaliśmy je na stojakach. Lekką siekierą usuwałem z pnia sęki i pozbawiałem go kory. Nagość drzewa oślepiła oczy, przed którymi nieustannie stawał Puculek odarty z szat, polegający na łożu. Głaskałem drzewo delikatnymi dotknięciami, żeby nie zranić Puculka, pieściłem. Ojciec nie ceregielił się. Ściągał korę długimi pociągnięciami ośnika, sękatę miejsca wyrównywał mocnymi uderzeniami. Nie zastanawiał się nad kolorem drzewa, nie oślepił go żaden blask. Zwracał jedynie uwagę na prostą linię i długość. Części pokręcone odrzynałszy ręczną piłą i odrzucali na odpady.

Nasz dom, należy przyznać, nie był zbyt nowy. Budował go dziadek ojca i to za lat swojej młodości, czyli niemal w zamierzchłych czasach. Ściany domu jeszcze jako tako się dźwigały, okna jeszcze dość dziarsko spoglądały na zbocza gór, a drzwi bez kłopotu trafiały w swoje otwory. Tylko dach zapadł się miejscami albo wybrzuszał. Przy ulewnych deszczach nieco przeciekał. Można mu było wymienić czapę i służyłby jeszcze parę lat. To przede wszystkim stodoła i chlewnia wymagały remontu albo budowy od nowa. Rozkraczyły się, pochylały w stronę podwórka, przysiadły, a ich wylażące przez słomiane pokrycie krokwie tworzyły dwa rzędy krzyży, które królowały nad gospodarstwem niczym zdechłe wrony. W jesienne słoły i w czas wielkiego śniegu bydło uciekało z kąta w kąt, poszukując suchego miejsca. Podobnie zboże. Nigdy nie było bezpieczne w stodole, więc ojciec chronił je przed deszczem plandeką, kawałkami papy, a nawet przerdzewiałą blachą. Budynki gospodarcze wymagały szybkiego remontu, a ojciec szykował się do budowania domu. Bardzo zawróciła mu głowę scena budowania z książki dość chłodno przyjętej przez krytykę, z tego bardzo przeciętnego utworu. Chociaż ojciec odrzucił książkę pod ławkę i więcej do niej nie wracał, „Jenżynier” — budowlany hercules — został. Zamienił ojca w swój cień, zapłodnił fatalną myślą budowania, wyznaczył zadanie niewspółmierne do sił i możliwości. Siedzi pod łysiejącą czaszką ojca i wkręca się do mózgu jak choroba; prześladuje myśli, jak dziki pies dziadka. Ojciec porwał się na wielkie dzieło, a

przecież nigdy tego nie robił, nie był specem od budowania. Raczej za jego gospodarowania wszystko chyliło się ku ruinie. Każdego roku podczas moich wakacji uzupełnialiśmy co większe ubytki i ojciec był zadowolony, że do następnego mojego przyjazdu to wystarczy. Budowanie zawsze zostawiał dla mnie i nagle zmienił zamiary, postanawiając sam wybudować nowy dom. Na kartce byle jak wyrwanej z zeszytu wyrysował swój plan-marzenie i dał mi do przerysowania prostą linią. Zaskoczony byłem pomysłowością ojca. Skąd nagle u niego taka wizja. Pewnie „Jenżynier” prowadził niepewną rękę ojca po zygzakowatych liniach, wyznaczał zręby budowy. Dom był wysoki, z dużymi widnymi oknami, z gankiem solidnie zarysowanym. Dwa pokoje rozdzielała kuchnia połączona bezpośrednim wejściem z łazienką. Na ścianach kuchni zaznaczone były krzyżykami dwa miejsca na krany. Ojciec planował zlikwidować studnię, która znajdowała się w ogrodzie w dość znacznej odległości od domu i przysparzała wiele trudności przed każdym myciem, a szczególnie sobotnim. Ojciec chciał ulżyć sobie na stare lata i nie nosić wody z odległej studni. Miał zastąpić ją hydrofor. Pod schodami prowadzącymi na poddasze wyrysowana była spiżarnia, a w niej wiele przegródek. Na kartce nowy dom prezentował się solidnie i okazale.

Okorowane kawałki odkładaliśmy pod okap stodoły. Ojciec przerywał milczenie i komentował:

— Ten pójdzie na przyciesie. Gruby, widać, że solidny. Do tego żywiczny, nie będzie przepuszczał wilgoci. Musi dobrze leżeć. Na nim będzie spoczywała reszta. Toto może

tylko nadawać się na krokiew — obracał w rękach smukłą sosnę, kręcił z pozałowaniem głową i nieustannie mówił. — Cóż z tego, że proste, kiedy za bardzo śmigłe. Wystarczy, że będzie dach podtrzymywało. To też ważna funkcja. Nieraz ważniejsza od funkcji przyciesi. Gibkie, śmigłe. Z młodzika pochodzi, mało sęków, ale mocno wystrzeżiło do góry. Łaty weźmiemy z tych grubszych gałązek, resztę spali matka.

Mimo pozorów ojciec znał się co nieco na ciesielce i na budowaniu. „Jenżynier” doskonale kierował jego rękami i myślami. Ojciec zapalał się do pracy coraz bardziej i przyspieszał jej tempo. Co dwa, trzy pnie przerywał ciesielkę na papierosa, na krótką chwilę odpoczynku. Siadaliśmy na stercie gałęzi i palili w skupieniu. Ręce ojca, te dwa splecione węzły mięśni, może z wrażenia, a może ze zmęczenia drżały, ledwie mogły utrzymać papierosa. Siadałem nieco z boku i uważnie obserwowałem ojca. Odpoczynek nic mu nie dawał. Ciało nieustannie drżało i męczyło się jeszcze bardziej. Papierosa palił szybko i po każdym pociągnięciu sprawdzał, jak dużo jeszcze z niego zostało. W końcu odrzucał peta daleko na podwórko, spluwał w dłonie i chwycił za siekiere. Zorana chodzeniem za pługiem, przyprószona kilkudniowym zarostem twarzy, zwykle podobna do ścierniska wysuszonego na słońcu, kraśniała: Zapadnięte policzki nabierały okrągłych kształtów i pokrywały się rumieńcem. W wyblakłych oczach pojawiały się ogniki. I ojciec wzrastał. Praca uszlachetniała go, odmładzała. Obserwując ojca, uświadamiałem sobie, że chociaż chwilami

podobny był do starego kiepa, który dawno winien poddać się, usiąść na przypiecku i drzemać, tkwiąc w nim jeszcze znaczne siły, a może nawet nie minął jeszcze jego czas budowania. Obok ojca sterta świeżo okorowanego drewna. Biała, błyszcząca w słońcu, jeszcze napinająca struny martwej już tarcicy. Sielsko-wiejski obraz uzupełniam ja, ciągle niezadowolony, sceptyczny. Ojciec zaczyna mnie denerwować maniackim uporem budowania, a matka przesadną pokornością wobec ojca, wobec mnie, wobec wszystkich i wszystkiego. Już zaczynam żałować wcześniejszego rozpoczęcia wakacji i przyjazdu tutaj. Szukam zajęcia, które by zakłóciło mękę ciągłych wypadów do lasu, jednostajność dziennego postawiania pośrodku podwórka nad stertą niekorowanych pni. Szukam rozrywki. Proszę ojca, proszę matkę o pozwolenie wypędzenia konia na łąkę. Ojciec spogląda w moim kierunku i nagle zaczynają drżeć jego ręce, już nie ze zmęczenia ani z pragnienia budowania domu, lecz ze strachu przed moją upartością. Przecież może powtórzyć się historia mojego wstąpienia na studia. Mimo to nie zgadza się i przecząco kręci głową. Matka nie ma nic do powiedzenia. Nie nalegam więc. Przerwywamy odpoczynek i okorowujemy kolejne pnie. Matka woła na kolację. Na dzisiaj wystarczy roboty, odpoczynek też potrzebny. Idziemy do starego domu, ledwie powłócząc nogami. Ojciec ogląda się. Nie jest zadowolony z pracy. Za mało zrobione. Kolację zjadamy w milczeniu. Ponawiam prośbę o pozwolenie na nocne czuwanie.

Ojciec każe mi położyć się spać, bo jutro znów czeka nas kolejny pracowity dzień. Nie słyszy mojej prośby. Sam pójdzie na podwórko jeszcze trochę popatrzeć, może jeszcze coś zrobić? Żalonym spojrzeniem odprowadzam do drzwi jego pochyloną sylwetkę. Znika w ciemności otworu.

Pani profesor długo przegląda indeks. Wolno przewraca kartkę po kartce i odczytuje głośno moje dotychczasowe stopnie. Nagle pyta:

— Pan pochodzi ze wsi?

— Tak — potwierdzam niewyraźnym burknięciem.

— Domyślam się. Dotychczasowe stopnie dobre, nawet bardzo dobre się trafiają, ale dzisiaj nie powiodło się panu. U asystentów ma pan dobrą opinię, co potwierdzają dotychczasowe stopnie z egzaminów, ale dzisiaj... Brak systematyczności, tego chłopskiego uporu. Przejście do miasta wiąże się z różnymi przykrymi następstwami, szczególnie gdy jest się mało odpornym na blichtr, tandetę albo jeszcze dostatecznie nieukształtowanym... Przykro mi bardzo. Ma pan szansę po wakacjach.

— Dziękuję, pani profesor — chwytam indeks i uciekam z lakierowanego gabinetu. Pierwsza dwójka. Nikogo nie widzę. Uciekam z gmachu humanistyki.

Szukam Pucułka. Nigdzie go nie ma. Prawda, ona też dzisiaj zdaje. Biegnę do akademika. Chłopaki siedzą nad zmęczonym od butelek stołem. Zdawali przede mną. Witają mnie radosnymi okrzykami i natarczywie pytają o stopień. Rzucam w ich kierunku indeks, uciekam dalej. Moje miasto tętni życiem. We wszystkich kierunkach

cisną się tłumy ludzi. Nikt mnie nie zauważa. Samotny w tłumie. Był taki film. Ginę wśród nerwowo kroczących szeregów, wśród kolorowych witryn sklepów, w knajpach i kawiarniach porzrzucanych tu i ówdzie. Biała sala niby szpital. Jaskrawe światło. Pod ścianami dwa rzędy łóżek. Pole każdego łóżka wyznaczone białą farbą. Środkiem sali kroczą dwaj sanitariusze w długich kitlach. Podchodzą i krępują mnie kaftanem bezpieczeństwa. Dużo jaskrawego światła. Zapominam o słowach pani profesor, o Puculku, o sobie samym.

Znad rzeki wraca Marian. Otrząsywaniem ciała pokazuje mi, że nad wodą zimno: Nie dopilnowałem ogniska i nie ma się przy czym ogrzać. Rozdmuchuje jeszcze nie-licznie żarzące się węgielki, szuka ciepła. W powietrze wznoszą się tumany popiołu. Marian macha przed oczami ręką, pluje i głośno jądłując odskakuje na bok. Widzę bezradność jego rąk, słyszę gniew niemych ust i w niczym nie mogę pomóc. Zdobywam się tylko na podrzucenie mu zapalek, na delikatny uśmiech ni to współczucia, ni to ironii. Zauważa tylko ironię i jeszcze bardziej rozsierdzoney kopie zapalki. Niewielkie pudełko rozlatuje się na szereg części i przedłużone ogonem z drobniotkich patyczków łąduje w trawie. Marian chce mówić. Ręce jego bardzo zdenerwowane nie mogą wykonać ruchów obrazujących przedmioty, czynności, nie mogą zastąpić języka i ust. Nadyma się, zaciska wargi albo otwiera je szeroko, wystawia język na brodę, unosi, opuszcza, szybko przesuwa po zębach. Wprawia twarz w taniec grymasów, w

taniec- modlitwę o jedno słowo. Przegina się, jakby wibracją ciała usiłował pomóc językowi. Przytupuje i uderza pięściami po udach. Mocno zaciska zęby. Słysząc tylko syk, głośny szelest, niczym przesuwanie się wśród traw węża albo rój dzikich pszczół.

— Wszystko przeciwko człowiekowi. Kumple... gospodarze... noc...

Twarz Mariana sina od wysiłku, zastygła w kamiennym poruszeniu. Zastanawiam się, czy rzeczywiście słowa te wypowiada on, czy tylko moja wyobraźnia odczytuje jego niezaspokojoną chęć rozmowy? Pomagam mu, wyprzedzam.

— Nieraz tak się układa. Pieskie życie, ale co zrobisz? Do leśnej pustelni nie uciekniesz, jak grzesznica Kniaziocha, nie te czasy...

Przypominam mu widmo Kniaziochy, która dawno temu uciekła w leśne ostępy i wiedzie życie czarownicy-pustelnicy. Postami, piciem diabelskich ziół i niezemskimi praktykami usiłuje przywrócić swojemu niemowlakowi życie. Ktoś zmajstrował jej dziecko i nie chciał się ożenić. Nowo narodzonego zakopała w gnoju. Niektórzy uważają, że ojcem dziecka był Lucjan, inni natomiast, że dziadek. Jeden był już na tyle dorosły, a drugi jeszcze na tyle śwarny, że obaj mogli zmajstrować dziecko, ale żaden nie chciał się przyznać. Ludzie przepędzili ją z wioski. Zamieszkała w głębokim lesie. Jeszcze niedawno opowiadał stary Klocek, jak wybrał się w pojedynek do lasu po drzewo i spotkała go Kniaziocha. Szatańskimi zaklęciami, oblewaniem jakimś smrodliwym płynem usiłowała nakłonić go do grzechu, do zmajstrowania jej kolejnego

dziecka. Ratował się ucieczką. Ojciec, gdy przejeżdżaliśmy przez gęste krzaki, ukradkiem rozglądał się dookoła. Wstydził się mnie i swojej wiary w ludzkie bajdurzenie, ale nie chciał zbyt demonstracyjnie lekceważyć złych mocy. Przypominam Marianowi bajkę o Kniaziosze i przynoszę mu niewielką ulgę.

— Tak — potakuje już z nieco mniejszym wysiłkiem.

— Tak się nieraz układa. Bez twojego udziału, jakby ktoś obok reżyserował ci życie i zmuszał do przestrzegania reguł złej zabawy. Wystarczy, że zrobisz jeden, drugi i trzeci krok, a jesteś już w sidłach, musisz brnąć dalej, tańczyć jak pajac pociągany nitkami, przeciwko sobie, przeciwko innym, a za wolą jednej osoby lub najwyżej kilku. I nawet nie wiesz o tym, wręcz przeciwnie, przyjmujesz obce sterowanie za dobrą monetę.

Buduję przed Marianem dziwną filozofię. Tylko nie wiem, czy słowa te odnoszą się do mnie czy do niego? Czy to Lucjan kryje się za nimi czy Puculek? A może jeszcze ktoś inny? Nie wiem, nic nie wiem.

Grymas niemocy słów ustępuje z twarzy Mariana. Między zaciśniętymi zębami tworzy się szczelina. Wargi uspokajają się, przestają naśladować rybę wyrzuconą na brzeg. Oczy tracą nienaturalną wielkość, a policzkom wraca kolor różowo-blady. Ręce również opadają wzdłuż ciała i nieruchomieją w odpoczynku. Nogi do tej pory napięte i sztywne nagle wiotczeją, aż Marian musi usiąść. Gdy opada na derkę, słychać głęboki oddech ulgi. Wyrzucił z siebie

wszystko, oczyścił myśli, uspokoił wewnętrzne głosy. Porozmawiał ze mną. Właściwie to ja spokojnie porozmawiałem i nikt mi nie przeszkadzał.

Puculek siedział na brzegu łóżka i czynił mi gorzkie wyrzuty. Nasza kolejna kradziona miłość-pogodzenie kończyła się przykrymi słowami, smakiem piołunu w ustach, zgrzytliwym dźwiękiem w uszach. Siedzieliśmy odsunięci od siebie i głośno dyskutowali. Słowa cichły, pokrywały się mrokiem smutku albo przybierały na sile i ostro dźwięczały krzykliwym tonem. Zmiętoszone łóżko usiłowało nas pogodzić, zespolić w jedność. Spoglądaliśmy na nie z żalnością. Słowa psuły wszystko, zamieniały obcowanie w psie warczenie i pokazywanie kłów. Nie było nic z normalnej rozmowy. Puculek zarzucał mi wiejskie nawyki, chuligański sposób rozstrzygania sporu „kupą mości panowie”, brak delikatności i ogłady. Nisko zwiesiła głowę i mówiła, że nie życzy sobie wszczynania bójek o nią, żadnych awantur. Chodziło jej o rudobrodego malarza, któremu spuściliśmy solidne lanie. Po incydencie pod pomnikiem „Marysi” nie czułem się na siłach pokonać go w pojedynkę. Skrzyknąłem chłopaków, postawiłem trzy „jabole” i zgodzili się być moim mieczem wymierzającym sprawiedliwość. Jednego razu dopadliśmy rudobrodego w parku. Długo chował się po krzakach ligustru, myszkował, usiłując znaleźć ścieżkę bezpiecznej ucieczki; Nie udało mu się. Dopadliśmy go w największych krzakach, w których zaszył się udając spłoszonego lisa. Nie pomógł jego atak i próba rozerwania naszego pierścienia. Padł na

ziemię, jakby uderzył głową w mur. A mur zakołysał się tylko i powalił, przydusił go ostrymi, krawędziami kamieni, pięści. Mocno pokaleczył twarz, stłamsił ręce, nogi, brzuch, półprzytomnego zostawił w krzakach i wielce zadowolony poszedł na piwo. Udana była moja zemsta.

Puculek informuje, że rudobrody leży w szpitalu, że należałoby go odwiedzić. Chyba nie chce namówić mnie do tego? Już ułagodziła go, zgodził się na moją wizytę i jest skłonny darować mi, pogodzić się. Nawet nie powiedział milicji, kto go tak urządził. Ma dobre serce. Jednak tak. Chce mnie poniżyć, zmusić, żebym prosił rudobrodego o przebaczenie. Idiotyzm. Wykazać nieco dobrej woli, żałować tamtego i to wystarczy. Rudobrody zrozumie, nieraz stać go na królewskie gesty. Jest artystą, więc istotą bardzo czułą i nie będzie szukał zemsty. Mogę jej wierzyć. Gdyby nawet, należy mu przypomnieć jego zachowanie pod pomnikiem „Marysi”. Przecież to on zaczął, więc został ukarany. Sytuacja jest remisowa i najlepsza do zawieszenia broni. Należy to wykorzystać. Puculek szuka argumentów, pomnaża je i usiłuje mnie przekonać.

Siedzę obok z nisko opuszczoną głową przygniatany natłokiem myśli, mnogością obrazów. Najczęściej pojawia się ona. Pędzimy na Sobolu po janowskich polach, śmigamy wśród wysokich drzew, że tylko gałęzie szczypią nas po twarzach. Albo koń stoi, a my zapodziani gdzieś u jego nóg, smakujemy zapach traw. Tuż obok czereśnie i odgłosy hucznej zabawy. Nagle na moje spragnione usta spada świeży, mokry owoc, a księżyc mruga bezczelnie. Więc

cieszę się, przypominam sobie skrzydła i ulatuję. Świat jest taki mały, pokraczny i ledwie widać go zza odsłoniętych piersi Pucółka, ale bywa i agresywny. Porywa mi dziewczynę, kładzie łapska na jej ramionach, brzuchu i śmieje mi się w twarz. Różnokolorowa farba zalewa oczy i już nie dostrzegam Pucółka. Świat lubi się kryć za maską, malować twarz ochronnymi barwami i wstępować na wojenne ścieżki, wbijać krwawy topór w ziemię. Czerwona farba zasłania wszystko. Jeszcze czasami zauważam Pucółka, jak biega między cementowymi pudełkami domów i nieraz trafia do mojego pokoju. Drżącą ręką ścieram z niej rudą farbę. Białe piersi są liskiem, który wodzi mnie na manowce, czai się, myszkuje, chce wyprowadzić do lasu. Bronię się. Resztkami świadomości zamazuję ten widok. Jednak natura jest silniejsza i zaczynam ulegać, poddawać się zatechłemu zapachowi łoża, opadać, na zmietoszoną pościel. Lisek prosi, żebym pomalował się rudą farbą i naznaczył jak on. Lisek jest puszysty, bardzo delikatny w dotyku i śliczną mordkę ma, ale i rudy jest. Więcej na nim rudzizny niż szpakowatego koloru, mojego ulubionego koloru. Lisek jest chytry, chciałby zachować sobie dwa kolory dla dwóch różnych myśliwych. Chiałby, żeby rudzizna dominowała. Nie zgodzę się na to. Nie wolno mi się zgodzić. Co by powiedziała płacząca wierzba, koledzy, których ciągałem po krzakach ligustru?

Puculek widzi moje wahanie i denerwuje się. Już by chciała przechylić szalę na swoją stronę, już by chciała zakończyć przekonywanie i jeszcze raz nagrodzić za

posłuszeństwo. Nagrodzić ciałem. Dawno rozszyfrowałem tę sztuczkę i coraz rzadziej dają się na nią nabrać. Zbyt często znajdują ślady rudobrodego, co powoduje dreszcze i wiotczenie ciała, dziwne odruchy samczego egoizmu. Nieustannie milczę, pozwalam Pucułkowi odkryć wszystkie jego atuty. Mój atut zdrady i tak je pokona. Milczeniem protestuję przeciwko wizycie w szpitalu, przeciwko moim prośbom o łaskę rudobrodego, przeciwko samemu Pucułkowi.

Puculek jest poirytowany. Nie udaje się kuszenie, więc wstaje i ubiera się. Nie protestuję. Może sobie pójść, skoro zależy jej tylko na rudobrodym. Nawet lepiej, żeby sobie poszła, dała odpocząć skołowaciałej głowie. Jeszcze zawraca spod drzwi, zwleka z odejściem, podejmuje ostatnią próbę przekonania mnie do odwiedzenia rudobrodego w szpitalu. Wytrzymam ostatnią próbę. Ponownie przywołuje Sobola, janowskie pola, niebezpieczną rzekę, ponownie przywołuje naszą miłość.

Nagle otworzyły się drzwi i pokazali się w nich Zbyszek i Belphegor. Byli pijani. Zatrzymali się za progiem, ze zdziwieniem popatrzyli na nas i poczęli się śmiać. Belphegor pokazywał na nas palcem, rechocząc coraz głośniejsze.

— Dwa gołąbki się posprzeczały — śmiejąc się, mówił Belphegor, a śmiech miał wyjątkowo wstrętne. Słysząc w nim było ujadanie sfory psów, echa naszego nocnego czuwania w parku, a nawet odgłosy szyderczego poklaskiwania w „Arcusie”.

Belphegor zatacza ale i idzie w naszym kierunku. Już z daleka wyciąga łapska. Z trudem wyławiam z bełkotu słowa.

— Chodź, gołąbeczko! Ja cię dopiero popieszczę, nie to, co on — wskazuje na mnie. — Lepszy będę od rudobrodego, od wszystkich innych będą lepszy. Nagan mój podobny katuszy, bije seriami i długo. Chodź, przekonasz się i jeszcze sama będziesz prosić.

Belphegor szedł uparcie, mocno chwiejąc się na nogach i wyciągał obrośnięte łapska. Za nim również chybotliwym krokiem podążał Zbyszek. Byli już tuż-tuż, niemal dotykali Puculka. Zerwałem się i zasłoniłem ją przed natarczywością pijanych. Niewiele to poskutkowało. Belphegor odepchnął mnie na bok jak szmacianego pajaca. Niepozorny ruch ręki był bardzo mocny. Bezwolnie poleciałem pod okno. Mieli otwartą drogę do Puculka, wystarczyło wyciągnięcie ręki, jeden, półtora kroku. Nim podniosłem się spod okna, Belphegor ponownie wyciągał rękę i chwycił Puculka. Jednak pierwsza próba nie udała się. Puculek niespodziewanie pochylił się i czmychnął pod rękami pijanych. Skoczyła w kierunku drzwi, szarpała się z klamką, która nie chciała ustąpić. Dopadł ją Belphegor i obejmując w pasie rzucił na łóżko, ale sam się spóźnił. Nim opadł na zmiętoszoną kołdrę, Puculek stał z drugiej strony stołu i głośno dyszał. Bluzka puściła z guzików i odsłaniała część brzucha i piersi ledwie ujęte w kusy stanik. Belphegor siadł na łóżku, gestem ręki powstrzymał zapędy Zbyszka i zaczął prosić:

— Chodź, gołąbeczko! Nie będziesz żałować. Popieścimy

się troszeczkę i pójdiesz do swojego malarza. Słyszałem, że w szpitalu poleguje, prawda to? Cóż mu się stało? Może w krzyżu się zwieruszył albo pęciny ponadrywał? No chodź! Pocałujesz tę rączkę, która skaleczyła się na pysku rudobrodego. Jednym dotykiem ranę zagoisz — Belphegor umiał przemawiać, słowami żaglować, przecież był poetą. — Tego cycuszka przyłożysz do zbolełego miejsca. Ukoisz rączkę, a ja ukoję ciebie....

Puculek nieustannie stał za stołem i coraz głośniejszym głosem, słuchał bredni Belphegora. Sytuacja z każdą minutą stawała się coraz bardziej tragiczna i groteskowa. W pozycji „leżąc pod oknem” miałem doskonałe warunki do obserwacji. Odchodzący dzień wyraźnie ich oświecał. W resztkach blasku byli podobni do rozjuszonych kogutów. Nie miałem siły, a może nie miałem ochoty, mieszać się do zabawy. Udawałem mocno poranionego. Może chciałem trafić do szpitala, żeby Puculek i mnie odwiedzał? Belphegor wolno posuwał się z jednej, a Zbyszek z drugiej strony stołu. Pewne już było, że Puculek nie uniknie jeszcze jednego polegiwania, może nawet dwóch? Zaciskałem zęby i dusiłem w sobie odruch obrony. Nagle trzask. Puculek pełnym zamachem wyciągniętej ręki uderzył torebką w rubaszną twarz Zbyszka i ponownie rzucił się w kierunku drzwi. Belphegor za nią, lecz nieco spóźniony. Klamka, ustępuje, Puculek znika. Belphegor wybiega za nią, Zbyszek trzyma się za krwawiącą twarz, ja nadal leżę pod oknem. Wraca Belphegor, rozjuszony, poczerwieniały. Bije się po łbie pięściami i krzyczy:

— Dlaczego ją puściliśmy? Dlaczego?

Jestem zadowolony. Napędzili Pucułkowi strachu, a nie zrobili krzywdy. Jestem usatysfakcjonowany.

Nagle ktoś klepie mnie po ramieniu. To Marian. Nie spał. Czuwał przy mnie. Współczuje mi. Słuchał wywnętrzeń. Moje myśli przerodziły się w głośne słowa. Strzepuję rękę Mariana, i zawstydzony odchodzę w kierunku krzaków. Zapodzieję się w nich, ukryję wstyd.

Niebo nad łąką pojaśniało. Gwiazdy przybladły, zatraciły moc robaczków świętojańskich, wypaliły się nad ogniskiem, nad płaczącą wierzwą, nad nami. Jeszcze tylko niektóre mrugają resztkami światła, stanowiąc tylną straż ustępującej nocy. Na wschodzie winna pojawić się jutrzienka-panna. Jeszcze jej nie widać, jeszcze zasłaniają ją góry, ale już wkrótce. Dolina jeszcze okryta mrokiem. Góry przysłaniające pierwsze światło, rzucają na nas diabelski cień. Przywdziały srebrzyste płaszcze, a czapy przykryły wielkimi kapeluszami i pysznią się wyniosłością. Pochłaniają w siebie wszystkie promienie. Świecą, jakby okryły się powłoką lodowców. Użyczyły blasku jedynie wierzchołkowi płaczącej wierzwy i drzewom wyznaczającym kształt i wielkość wioski. Wierzba stoi pośrodku ciemności jak świeca na stole, drzewa wioski widoczne tylko , jasną plamą, bo nazbyt oddalone. Gromadzimy się wokół stołu, czekamy na wspólną kolację, na połamanie się chlebem. Nie możemy się doczekać. Chociaż tworzymy jeden krąg, coś nas nieustannie dzieli. Tylko świeca jest

wspólna i sprawiedliwie obdziela blaskiem. Sprawiedliwy jest również mrok. Wszyscy w nim jednakowo nurzamy się, tonimy, błądzimy po prostych ścieżkach. Nie udaje się ucztą okrągłego stołu. Każdy zajmuje się czym innym, każdy zaabsorbowany własnymi myślami albo własnym losem. Prorok usnął i zdał owieczki na łaskę wierzby. Więc tarłosimy się, szczerzymy zęby i ujadamy niepotrzebnie. Księżyc dawno zniknął, łąka znów zamieniła się w dno piekła. Szatańskie rumaki wypasają się na niej, wypoczywają przed kolejną wyprawą na ziemię. Styks jest beczynny. Nikt nie umarł, nikogo nie zabili. Przysiadam na jego brzegu i jak Charon puszczam łódeczki-patyczki na wodę. Jego nurt spieniony, jakby zdenerwowany beczynnością. Pochyliam się i ręką sprawdzam smak wody.. Jest zimna, lodowato zimna. Pachnie zgnilizną. Nie czekając na Charona i na jego łódź, wchodzę do wody i płynę ucepiony przypadkowego pnia. Zabieram ze sobą Pucółka. Razem popłyniemy w zaświaty. Broni się, chwytą zwiśających gałęzi. W pewnym momencie podaje jej rękę rudobrody i wyciąga na brzeg. Skąd się tutaj wziął? Płynę sam w mojej łodzi-nielodzi. Puściłem ster, zdaję się na mądrość rzeki. Wpadam w wir. Wkręcam się w dno i znikam. A jednak tylko stoję na brzegu i wpatruję się w rwący nurt. Jeszcze mi daleko do łodzi Charona, do wędrówki w zaświaty i zgłębiania tajemnicy samobójstwa. Woda czerpana pełnymi garściami obmywa twarz. Oczy trzeźwo rozglądają się dookoła, po plecach łązi mi zimny dreszcz. Znów łąka... zalana szarym blaskiem, unieruchomiona,

zaspana. Wigilijna świeca rozpała się coraz jaśniej i obejmuje blaskiem krąg izby. Światło wolniutko schodzi z wierzchołka płaczącej wierzby, rozkłada się po łące. W jego blasku dostrzegam Mariana. Kroczy w moim kierunku. Właściwie nie kroczy, ale płynie. Mgła przecięła go w połowie i dostrzegam tylko jego korpus uwieńczony rozwichrzona czupryną. Płynie. Ręce wachlują po bokach, rozpędzają mgłę niby wiosła. Marian płynie, płynie, a mgła unosi go coraz dalej, dalej. I zamiast się zbliżyć, oddala się. Przyspiesza ruchy, zaczyna biec. Pokonał wreszcie prąd mgły i jest coraz bliżej. Ma wielkie, wytrzeszczone oczy, rozpiętą na piersi koszulę. Głośno jęczy. Dopada mnie, chwyta w pasie i przewraca na brzeg. Wielce zdziwiony otrzepuję się z jego ciała i pytam, o co mu chodzi? Szybką gestykulacją rąk opowiada historię Zuzanny. Zuzanna w moich szczeniackich czasach należała do najładniejszych w okolicy dziewczek. Wielu kawalerów dobijało się do jej ręki, lecz ona upodobała sobie Lucjana. Żonaty już był i jeszcze gorąco kochał żonę. Zuzanna nie miała szans. Mimo to ciągle na niego polowała. Wreszcie dopadła go nocą pod płaczącą wierzbą i ofiarowała mu swoje wdzięki. Lucjan, chociaż nie był sam, bo jak zwykle towarzyszyło mu kilku koniopasów, skorzystał wtedy z wariactwa Zuzanny. Pół nocy miłował dziewczynę, a kompani otoczyli ich kołem i uważnie się przyglądali. Lucjan zrobił Zuzannie dziecko. Gdy ludzie zauważyli jej brzuch przybierający coraz okrągłejsze kształty i poczęli ją wytykać palcami, a kawalerowie z daleka omijać jej dom, w rzece

szukała zapomnienia. Popłynęła z zaokrąglonym brzuchem.

W rzece znalazł też miejsce wiecznego odpoczynku Wacek Kryś. Pławił konie, a że był wielką ciamajdą, konie same wróciły do zagrody. Ciało jego znaleźli po kilku dniach zaplątane w chaszczach w miejscu, gdzie rzeka znika, zapada się w głąb ziemi.

Marian dobrze pamięta te historie i opowiada o nich gestykulując. Moje postawanie nad rzeką wziął za chęć samobójstwa. Bierze mnie pod rękę i prowadzi w kierunku płaczącej wierzby. Bezwolnie idę pół kroku za nim.

Chodziłem posłusznie, spełniałem wszystkie mrukiwe polecenia ojca, poddawałem się jego woli. Przygotowywałem drewno na budowę nowego domu. Uczestniczyłem w maniackiej zachciance. Godziny mijały na korowaniu pni, na obcieraniu spoconego czoła i na krótkich, z wielką niechęcią jedzonych posiłkach. Jednego dnia obserwując pracę-udrękę ojca, powiedziałem:

— Może byś najął kogo do pomocy. Przecież sami nie damy rady.

Mimo pozornego skupienia nad ciesielką ojciec usłyszał słowa. Podniósł głowę, a w jego oczach zauważyłem spłoszenie, które szybko stał przymrużeniem powiek.

— Nie ma kogo. Myślę, że sami damy radę. Jenżynie-
rowi nikt nie pomagał, a dwa lata tylko budował... ja mam
ciebie.

Znów nieoczekiwanie wrócił bohater książki, która przypadkowo wpadła ojcu w ręce. Już zapomniałem o

nim, zapomniałem nawet, dlaczego przystąpiliśmy do budowania domu. Ojciec przypomina go i stawia sobie za wzór, jeszcze do tego wspomaga się mną. Wreszcie raz literatura wpłynęła na człowieka, uświadomiła mu sens dalszego życia.

— Można by Magdę — podpowiadam nieudolnie.

Ojciec przystanął. Koniec belki, którą nieśliśmy razem, wypadł mu z ręki, mocno uderzył o ziemię i szarpnął mnie do przodu. Spojrzałem na ojca. Usta jego zacisnęły się, tłamsząc przekleństwo. Po długiej chwili, wypełnionej moim i ojca zawstydzeniem, pochylił się nisko, podniósł koniec belki i poszliśmy dalej. Przypomnienie Magdy zrozumiał jako aluzję do ich miłości w stogu starej słomy. Podczas odpoczynku powiedział:

— Jej już nie ma. Wyjechała ze Zbyniem. Do miasta wyjechali. Ludzie mówią, że wzięli na wychowanie dziecko i są szczęśliwi. Ludzie tak mówią...

Zapomniałem o Magdzie, skoro tylko wyjechałem na studia. Nie zauważałem jej nieobecności podczas krótkich powrotów. Całkowicie wykreśliłem ją z pamięci, nawet w snach się nie przypominała, nie nachodziła i nie czyniła żadnych propozycji. Dopiero ciężka praca fizyczna uświadomiła mi, że ojciec zawsze kogoś najmował i że najczęściej tym kimś była Magda. Skończyła się ostatnia możliwość taniego najmu, więc sami pracujemy, a właściwie to ojciec sam pracuje na gospodarstwie. Moja pomoc ograniczała się do kilku dni w roku w okresie wakacji. Nie

mogę całkowicie wywiązać się z uczynionej po zdaniu na studia obietnicy pomocy. Przecież mieszkam w wakacje wiele swoich zajęć. Obozy hippiczne, wojskowe, wypadki na włóczęgę. Nie mogę dotrzymać obietnicy, nie chcę. . Muszę dorównać tym patalochom z miasta. Muszę wyrwać się z tego zaklętego kręgu chłopskiej obrzędowości.

— Taki upór nie popłaca. Na co ci budowanie w podszłym wieku? — pytam ojca i staram się wzbudzić w nim wątpliwości.

— Bo jest czas niszczenia i czas budowania — odpowiada niespodziewanie szybko i nadzwyczaj mądrze.

— W tym uporze podobny jesteś do dziadka.

— Może. Mało go znałeś, a oceniasz. Nie sztuka to. Łatwo się pomylić. Dziadka dopiero teraz rozumiem, chociaż więcej burzył, niż budował — urywa ojciec, struga dalej.

— Dostatecznie dużo wiem o jego życiu — prowokuję go do dalszej rozmowy. — Nie mogę tylko wytłumaczyć sobie, dlaczego się powiesił?

— I nie wytłumaczysz. Też nie wiem za dużo, nie wiem, dlaczego się powiesił.

— A kto wie? Lucjan opowiada o dzikim psie...

— Bajka! Cholera, Lucjan! To on jest winien śmierci dziadka. Przede wszystkim on... zresztą, wielu można winić. Mnie również. I za każdym razem będzie to tylko część prawdy. Dziadek miał bardzo uciążliwy charakter. Śmiechem mógł zakłuć człowieka na śmierć. Gdy ci było smutno, on firecykiem stawał się i pajacował na czterech nogach. Dotąd koziołki fikał, dowcipy opowiadał, aż

zapominałeś o smutku i dołączyłeś do niego. Długo mogliście się śmiać, a żaden nie wiedziałby z czego się śmieje. Wesółkowi natomiast nacierał uszu, oznajmiając nieprzyjemną nowinę, zasmucał.

— Taki wiejski stoik — pomagam ojcu zdefiniować charakter dziadka, ale ojciec nie przywiązuje do tego wagi. Przyzwyczajony jest, że często wtrącam do rozmowy niezrozumiałe słowa.

— Tylko Lucjan nie ulegał dziadkowi. Śmiał mu się w twarz albo smucił na przekór jego poczynaniom. W niczym nie mogli się zgodzić. Ja wziąłem stronę Lucjana. Razem zatruwaliśmy mu życie. Dziadek był chory, jakby obłąkany. Bezczyinnie włóczył się po wiosce i każdemu napotkanemu znajomkowi wmawiał, że jest kompanem dzikiego psa, bardzo oddanym kompanem. Ten jego przyjaciel, dziki pies — znaczy, siedział mu ciągle na piersiach i ssał krew. Ludzie uważnie oglądali piersi dziadka i nie dostrzegając, dziwowali się jego wariactwu. Zaczęli stronić od niego, bokiem obchodzić, a dziadek coraz bardziej pchał się do nich. Nie rozumieli winy dziadka, nikt z nas nie rozumiał jego winy. W okresie wojny należał do partyzantki i przeznaczony był do specjalnych zadań. Wykonał wiele wyroków i na Niemcach, i na Polakach współpracującymi z nimi, wiele krwi przelał. Już wtedy dziadek zmienił się znacznie; unikał ludzi, unikał rozmów. W tamtych czasach było to wskazane, ale dziadek długo nie mógł przemówić i po zakończeniu wojny. Do tego dołączyły się kłopoty z ziemią, bo przecież nie dostał jej tyle; co inni,

choć swoją krwią ją zraszał, potem kłopoty z sąsiadami, którzy ciągle obgryzali nasze skibki. Dziadek przemówił, ale bardzo kłótliwym głosem. Gdy ja się usamodzielniałem, przeniósł się na łąkę. Każdego wieczoru pędził konia i bawił się w nocne czuwanie. Po jakimś czasie zaczął opowiadać o dzikim psie i pokazywać na piersi. To jego sumienie zamieniło się w dzikiego psa, w dziką bestię, która nachodziła go dniami i nocami i ciągle zduszała. Chciał ją utopić w wódce, która zawsze znalazła się pod płaczącą wierzbą. Chciał, żeby ktoś mu uwierzył i zdjął ciężar z piersi. W krótkim czasie stał się nałogowym pijakiem. Spory udział miał w tym Lucjan, który nieustannie stawiał mu wódkę, ale i ja nie pozostawałem bez winy. Po każdej nocy dochodziło do kłótni między nami. Nie chciałem go puszczać na łąkę, dawno należał mu się odpoczynek. Wstyd mi było tego posiadania dziadka pod drzewem. W kłótni odgrażał się, że przyjdzie taki czas, kiedy ostatecznie zbrzydni mu życie i zjeździe mi z oczu. Nie chciałem wierzyć, niezbyt ostro protestowałem przeciwko jego samobójczym skłonnościom. Jednego ranka zamiast dziadka z końmi pojawił się Lucjan. Był zdyszany i nieco podпиты, właściwie skacowany. Szeptem powiedział o dzikim psie, który rzekomo powiesił dziadka na gałęzi płaczącej wierzby. Przyjąłem to za kolejny żart dziadka, za szantażowanie mnie, ale Lucjan mówił z wielkim przejęciem i zaklinał się na pamięć matki. Uwierzyłem mu. Poszliśmy na łąkę. Dziadek leżał na derce z powroziąną pętlą

na szyi, niby-różańcem. Kawalerka polewała go wodą. Dziadek dawno nie żył, już nawet zeszywniał. Do domu przyniosłem go na plecach. Był ciężki jak największa kłoda. Nie spodziewałem się takiego ciężaru w wysuszonym ciecie. Z wielkim trudem przyniosłem je do domu. Szybko i bez rozgłosu pochowaliśmy dziadka, tylko ksiądz robił trudności, ale w końcu ustąpił. Wstyd był przecież wielki. Od koniopasów dowiedziałem się, że dziadek miał z Lucjanem wspólną kobietę, obaj zakochali się w jednej kiece. Zrozumiałem, dlaczego tak przepadał za nocnym wypasem koni. Lucjanowi nie należy się dziwić, przecież młodym był, ale dziadek... Pilnował jeden drugiego jak oka w głowie, ciągle chodzili razem, nawet konie wspólnie nawracali. Lucjan jednak okazał się sprytniejszy. Upijał rywala i znikał na pół nocy. A nad ranem, gdy dziadek budził się mocno skacowany, opowiadał mu o urokach ich wybranki. Pewnie tak samo było ostatniej nocy. Nie wiem, kto bardziej zawinił: ja ze swoim uporem i ciągłymi kłótniami, czy Lucjan z podstępnyim stawianiem wódki i wykorzystywaniem słabości dziadka, i naigrawaniem się z niego? Może zawiniliśmy obaj w jednakowym stopniu. Lucjan objął królestwo płaczącej wierzby, ja stałem się prawnym właścicielem całej gospodarki. Jeszcze wtedy niezbyt zależało mi na ziemi. Mogłem pójść do pracy do miasta albo do milicji na zawodowego... Zresztą, ziemię od dawna już uprawiałem, dziadek nie wtrącał się do gospodarki. Wyglądało, jakby już była moja...

Rozmawiamy tak, rozbierając z kory kolejne sosnowe pnie. Z zainteresowaniem słucham wynurzeń ojca. Nie ujawnia żadnej tajemnicy. Słyszałem to już od Lucjana, od przypadkowych ludzi spotykanych na drodze, od matki. Nie słyszałem tylko z ust ojca. Jest to nasza pierwsza dłuższa rozmowa, od mojego przyjazdu. Chwilami przerywam struganie i uważnie słucham. Ojciec popędza mnie. Jego monologowi wtórują tylko świszczące pociągnięcia ośnika albo ostre uderzanie siekiery. Rozmowa toczy się podczas morderczej pracy, dlatego jest tak spokojna, zrównoważona. Nie mamy czasu wnikać w poszczególne słowa, doszukiwać się podtekstów i niedomówień. Każde zdanie przyjmujemy w podstawowym znaczeniu. Rozmowa więc nie rodzi nieporozumień. Nie czuję luk w wypowiedzi ojca, nie podejmuję dyskusji, która mogłaby się zamienić w osądzanie go, chociaż moja natura dalej jest buńczuczna i z góry negatywnie ustosunkowana do jego poczynań. Chwilami tylko daję się wciągać w tę maskaradę budowania. Zwykle nieustannie szukam okazji, sposobności, żeby się zbuntować. Dotychczasowe próby przynoszą niepowodzenie. Ojciec albo nie słyszy, albo nie podnosi rękawicy. Pewnie czyni to świadomie, jakby chciał uniknąć konfrontacji. Wystarcza mu, że tak samo pracował literacki demon.

Wolno posuwamy się po łące w kierunku ogniska. Gęsta mgła niczym mleczny płaszcz zawisła nad łąką. Dolina zamieniła się w wielkie lodowisko, w królestwo mrozu z wysoko sterczącymi na horyzoncie basztami zamku.

Chłodno, mroźnie. Przeszywa nas zimno. Przed nami ro-
dzi się cud. Zielona kopuła drzewa wyrasta ponad kopułę
mrozu i błyszczą ranną poświatą. Przyspieszamy kroku.
Marian nadal kurczowo trzyma mnie pod rękę i zagłąda w
oczy. Jakby chciał się w nich przejrzeć, odkryć tajemnicę
mojego postawania na brzegu rzeki, a potem uporczywe-
go milczenia. Ciągłe coś jądli, wymachuje wolną ręką.
Przyspieszam kroku i uwalniam się od jego towarzystwa.
Zaskoczony Marian zostaje. Zbliżam się do płaczącej
wierzby, pod którą winni spać Lucjan i Kurde Felek. Śpią.
Lucjan zwinięty w kłębek. Spod derki mocno naciągniętej
na głowę wyglądają tylko nos i usta. Wargi nieco rozchy-
lone, przez szczelinę między nimi powstała sączy się nie-
wielka struga śliny. Nos chodzi jak kowalski miech,
wzdyma się i opada. Skurczony Lucjan przypomina Mar-
cysię, która zdrożona bardzo często pokłada się pod krza-
kiem olszyny. Niepotrzebne jej miękkie łoże ani puszysta
pierzyna. Pod głowę podkłada zielarski skarb, ciało przy-
krywa kapotą, z którą nie rozstaje się nigdy. Ręce wkłada
między nogi, jakby szukała dla nich cieplejszego miejsca i
zasypia. Podobnie Lucjan. Obok Lucjana Kurde Felek.
Rozrzucony w niedbałej pozie. Prawa noga, zgięta w kola-
nie, wystaje spod derki. Jedna z rąk ułożona pod głową, a
druga wyciągnięta wzdłuż ciała. Leży na plecach. Leży,
jakby przed chwilą skończył zżynać duże stajanie pszenicy
i dopiero co ułożył się do odpoczynku. Piersi falują.
Wznoszą się i opadają. Za każdym ich ruchem z półotwar-
tych ust wydobywa się gwizd. Przy wdechu cichy i krótki,

przy wydechu głośny i długi. Powieki lekko uchylone, jakby patrzył za koźmi, nie dowierzając naszemu poczuciu obowiązku. Mimo chłodu jest mu gorąco. Odrzucił derkę.

Zbliżam się do nich, głośno szurając butami. Nie zachowuję żadnej ostrożności. Mogę już ich obudzić, spali dostatecznie długo. Lucjan chwali się zawsze, że rzadko sypia nocą, a jednak dzisiaj śpi już kilka godzin. Noc ta niczym nie różni się od poprzednich, nie stanowi żadnego wyjątku, a na pewno dla niego, więc powinien czuwać jak inni. W swoim beczelnie głośnym kroku nadeptuję na suchą gałąź leżącą w pobliżu ogniska, która łamie się z trzaskiem. Lucjan podrywa się i nerwowym ruchem sięga do kieszeni. W ręce jego błyszczy nóż. Szybkimi spojrzeniami szuka przeciwnika. Dostrzega tylko mnie stojącego tuż-tuż i Mariana oddalonego o kilka kroków.

— Mógłbyś chodzić ostrożniej, nie budzić ludzi po nocy
— zwraca mi uwagę.

— Ludzie o czystych sumieniach zawsze śpią spokojnie. Tylko przestępcy i wodzowie nieustannie czuwają, nawet podczas snu. Sumienie usiłują zagłuszyć gotowością noża...

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co ci się nie podoba?

— Nic, nic. Tak, sobie a muzom... Powtarzam jeden wierszyk — udzielam wymijającej odpowiedzi, bo głos Lucjana bardzo nerwowy, a ręce skaczą jak przed bójką. Rezygnuję z dalszej szermierki słownej.

Wykrzykiwane słowa budzą Kurde Felka. Jest zdziwiony

i zaskoczony naszą niby kłótnią. Ociężałe podnosi się z ziemi i szuka piszczałki. Gdzieś zapodziała mu się podczas snu. Coś mamrocze pod nosem i pyta Mariana, czy nie brał. Marian rozkłada ręce i jądli. Lucjan prostuje się w ramionach, aż trzeszczą kości i nagle wyskakuje spod derki. Kiwa na nas ręką, już pędząc w kierunku rzeki. Nie spodziewanie wszystko się zmienia, pryska ociążałość ciał i wzajemna niechęć. Za Lucjanem pędzi Kurde Felek, potem Marian, ja na końcu. Dołączam do nich. Biegniemy do rzeki, żeby zmyć nocne czuwanie, puścić za wodą zwiżenia i majaki, rozproszyć mroczne myśli. Jeszcze wielka mgła, więc wynurzamy się z niej jak nieopierzone ptaki, jak pisklęta dopiero co wychodzące z ciemnej skorupy. Płyniemy, szybko wymachując rękami. Cztery mewy podrywają się do lotu. Nogi ich jeszcze giną w mlecznej wodzie, tylko skrzydła unoszą się wysoko i mocno pracują. Brak im pełnej mocy, są zbyt ociążałe od snu. Dopiero woda rzucana na ciało pełnymi garściami orzeźwia nas, całkowicie przywraca do życia. Ostre ukłucia zimnych kropel parzą skórę, że aż drży, skowycze i rzuca się w gwałtownych drgawkach. Jest wściekle zimno. Nocne zwidy, sny i marzenia uciekają przepędzane drganiem ciała. Zapominamy o wszystkim. Jesteśmy tylko w rzece, pławimy w niej zmęczone ciała. Nic więcej nie istnieje, nie liczy się. Oczyszczeni z nocnych mrzonek wyskakujemy na brzeg, Jesteśmy radośni i promienni. Tańczymy. Nogi skaczą niczym podpalane ogniem, podbijają korpus ciała i fikają koziołki. Ręce obejmują cały świat, tulą go do piersi,

scałowują jego blizny i brudy. Wszystko z nami tańczy. Góry wzięły się za ręce i wirują dookoła. Utworzyły wokół nas wysoki pierścień horyzontu. Niebo połączyło się z nim w jedną całość, utworzyły wielką kopułę. Nawet wioska, jak satelita, krąży wokół naszego środka. Łąka również wiruje. Nie zważa na fakt, że deptamy po niej, tłamsimy puszyste futerko. A konie spłoszyła się. Pędzą w szalonym galopie, że aż świszczy wiatr. I wierzba ruszyła z odwiecznej posady, drepcze wolno, majestatycznie. Nagle świat się wywraca. Niebo staje się ziemią, a ziemia nieboskłonem. Wszystko nieruchomieje, a my leżymy w rosie łąki. Łąka drży, rytmicznie poruszana naszymi piersiami, więc śmiejemy się i roznosimy śmiech po całym świecie. Za nami zaczyna śmiać się wierzba, a konie rżą. Męczymy ciała w radości poranka i nieruchomo zalegujemy na puszystym futrze. Rzeka szumi, kołysze się na nierównościach podłoża i drży wprawiana w wibrację naszym śmiechem. Woda czepia się korzeni i gałęzi krzaków, jakby usiłowała zatrzymać się i przez chwilę побыć z nami. Ze zmiętoszonych traw odzywają się robaczki zbudzone wariactwem przyrody. Szeleszczą, cicho ciamkają pyszczkami, ocierają skrzydła o trawę. Wybudzają swoje głosy i przenoszą je nad nami w lekki powiew wiatru. Czujemy go na twarzach, na obnażonych piersiach i udach, we włosach czujemy i w rękach. Studzi rozgrzane ciała, owiewa chłodem, przypomina o łące, koniach i płaczącej wierzbie. Lucjan podnosi się, otrzępuje ciało z drobinek trawy i

idzie w kierunku miejsca nocnego polegiwania. Kiwa na nas ręką. Podnosimy się i idziemy za nim.

— No co, chłopaki, napijemy się jeszcze? Należy się, bo zmarliśmy zdrowo. Tak po kilka łyków na rozgrzewkę i powitanie dnia — powiedział Lucjan, skoro tylko zbliżyliśmy się do płaczącej wierzby.

— A masz co? — zaświeciły się oczy Kurde Felka, języczek począł oblizywać wargi, a grdyka skakać jak pies na łańcuchu.

— A mam, mam. Beze mnie z pragnienia rosę byście lizali, rzeczną wodę chleptali. O wszystkim muszę tylko ja pamiętać i nawet nie jesteście mi wdzięczni. — Lucjan wyciąga z tajemniczego spichlerza butelkę bimbru. Ogląda, ją w pierwszym brzasku i śmieje się jak do monstrancji. — Pierwszy ty — wskazuje na mnie palcem i wolno, delektując się swoim gestem, podaje butelkę. — Na zdrowie — syczy przez zęby.

W mojej ręce wyciągniętej do Lucjana dostrzegam rękę dziadka. Jest pomarszczona, stara. Drży, że dziadek nie może jej uspokoić. Chciałby powstrzymać ją, zawrócić w pół drogi i chwycić kawałek chleba, a nie butelkę. Jednak jestem bezsilny. Za ręką podążają skołkowaciały język, suche gardło. Grdyka wibruje opętańczo, a nogi przesuwają ciało coraz bliżej ręki Lucjana. Waham się, powstrzymuję rękę, usiłuję przepędzić widmo dziadka.

— Bierzesz czy nie? Inni czekają! — słyszę głos Lucjana i dostrzegam rękę wyciągniętą w moim kierunku i moją

rękę nie mogącą sięgnąć szkła.

Dziadek znika, a jego miejsce zajmuje ojciec. Stoi pochylony nad pniem, sosny, rękami uzbrojonymi w ośnik okorowuje pień. Od czasu do czasu rzuca półgębkiem pojedyncze słowa, które układają się w chaotyczną wypowiedź, oskarżają Lucjana i dziadka, ale przede wszystkim Lucjana. Ojciec siedzi przy piecu. Pociąga prosto z butelki, czyta książkę i uśmiecha się. Śmieje się lubieżnie. Wyciąga rękę z butelką w moim kierunku, zachęca. Przełamuję się, przerywam milczenie i łapczywie chwytając butelkę, dziękuję Lucjanowi. Kciuk układam w miejsce jego kciuka, który odmierza porcję przeznaczoną dla mnie. Jest sporo tego, ponad setkę będzie. Na nikogo nie patrzę, na nic nie zwracam uwagi. Mocno ściskam butelkę i kieruję ją do ust. Szkło bardzo zimne. Sprawia rozpalonym wargom ulgę. Przechylam butelkę. Ognisty płyn rozsadza gardło, rozdziera piersi. W oczach stają Belphegor, Zbyszek i Kazik, Waldi i jeszcze kilku mniej znanych chłopaków. Wokół nich gromadzą się psy. Szczerzą zęby, kłapią paszczami. Z wielkim tętentem zbliża się Sobol. Dosiada go Puculek. Za jego skromnymi plecami, za szeroko rozwianymi włosami kryje się rudobrody. Wpadają na psy, na chłopaków, rozpędzają zgromadzenie. Dosiadam dereusza i uciekam na łąkę, uciekam każdego wieczoru. Ojciec wychodzi do ogrodu i spogląda za mną. Staje między spaloną gruszą a uschniętą jabłonią. Za każdym razem jest mniejszy, coraz ciszej woła na mnie, a jego ręka obciążona

siekierą opada nisko i kreśli niewyraźne znaki. Nie mogę ich odczytać. Siekiera raz biegnie prostą linią, drugi raz zygzakami albo czyni prostopadłe do już zaznaczonych na piasku linii cięcia, odskakuje, to znów delikatnie skrada się do niewielkich prostokątów. Rozumiem wreszcie taniec siekiery, odczytuję jej mowę. Ojciec kreśli na piasku wizerunek domu. Nagle ojciec karleje, pochyla się, wrasta w ziemię. Grusza i jabłoń unoszą nad nim pokutnicze krzyże. Uderzam konia jeszcze mocniej i czym prędzej uciekam. Ktoś potrąca mnie, szarpie za rękaw. Lucjan wyrывa butelkę, krzyczy, że przekroczyłem swoją miarę. Nadal nic z tego nie rozumiem, nie dochodzę do żadnego wniosku. Przed oczami miga wariacki film, sytuacje zmieniają się jak w fotoplastikonie. Ledwie je dostrzegam, już uciekają. Gama kolorów, błyskawiczne ruchy, nic więcej. Brak sensu, brak idei. Kolorowa magma. Układam głowę na mokrej trawie, wpatruję się w wilgotny kolor łąki. Już lepiej, znacznie lepiej. Kurde Felek pije z wielkim łakomstwem. Lucjan musi wyrwać mu butelkę, kopnąć w podbrzusze, bo nie chce oddać. Na krótką chwilę, właściwie na jeden kadr, butelka wędruje do Mariana, a potem wraca do Lucjana i całkowicie traci ciężar. Jest pusta. Znika we wnęce drzewa. Lucjan zaciera ręce. Jest zadowolony, ukontentowany. Z Felkiem podnosimy się z wilgotnej łąki. Jesteśmy obolali i najmniejszy ruch potęguje ból. Podchodzimy do Lucjana i dziękujemy mu za poczęstunek. Już taki tu zwyczaj, takie koniopasie prawo. Kielicha za darmo można dostać, w jądra, w mordę też za

darmo, ale podziękować trzeba zawsze.

Pragnę już skończyć nocną maskaradę, więc bez dyskusji poddaję się woli koniopasów. Z ochotą pędziłem konia na łąki, z ochotą czuwałem każdej nocy, ale dzisiaj jestem wyjątkowo zmęczony. W mięśniach sosnowe kłody, a w głowie... Głowa obrośnięta myślami, wspomnieniami. Właściwie usiłuję zrzucić z niej całun Pucułka i rudobrodę. Gdzieś mi się, dziewczyno, podziała, gdzie księżyc i rwanie soczystych owoców? Do tego jeszcze wariactwo ojca. Budowanie domu-grobowca. Budowanie, w którym uczestniczę bez woli, bez zainteresowania. Wspomnienia idiotycznych sytuacji z kolegami z akademika. To ciemny obłok, który pochłonął mnie niespodziewanie, który wdziera się do organizmu i nasącza go swoimi barwami. Nie mogę się od niego uwolnić. Nie mogę uciec od obrzędu koniopasów, puszenia się i trzepotania skrzydłami. Skrzydła nie mają żadnej mocy. Nocą ptaki śpią, nawet wędrówki do innych krajów nie rozpoczynają nocą. Zbyt wiele przeszkód i ciemności, a nad ranem zbyt wiele rosy.

Wokoło jaskrawy świt, więc kończy się panowanie Lucjana i jego nad nami władza. Ale dopóki nie dosiędziemy koni i nie zjedziemy z łąki, ma ciągle prawo wydawać polecenia. Wykorzystuje swój czas do końca, do ostatniej sekundy. Właśnie mówi:

— Piszczalkę ty jeszcze masz? — pyta Kurde Felka. — Pewnie nie popsuleś nocą? To zagraj nam co. Smutno i tęskno się robi, gdy dzień nastaje.

— Zimno przede wszystkim... — usiłuję się wtrącić.

— Ty! Zamknij się wreszcie i czekaj na pozwolenie.

Wszystkim nam zimno. No, Felek, graj!

Lucjan nikogo nie dopuszcza do głosu. Chce do końca absolutnie sam panować. Kurde Felek z niechęcią zbiera się do wykonania polecenia wodza. Gdzieś zapodział mu się instrument, język skołowaciał, brakło oddechu. Z jego miny widać, że najchętniej zarzuciłby derkę na plecy, dosiadł starej kobyły i odjechał. Jeszcze nie może tego uczynić.

Wreszcie znalazł piszczałkę. Przykłada ją do ust. Sprawdza. Instrument jeszcze śpi. Słyszać tylko ciche charczenie, głośny świst oddechu. Kurde Felek dmucha coraz mocniej, chce pokonać senne odrętwienie instrumentu, wolno przebiera palcami po otworach. Słyszać narastający świst przerywany krótkimi uderzeniami palców, jakby „klaksony aut koncertowały w mieście” albo z gór zaczęła spływać śnieżna lawina, pociągając za sobą kaskadę głazów. Przerwał. Cisza. Kurde Felek uderza piszczałką po kolanie, wytrzepuje z niej sen pomieszany z gęstą śliną, obija za fałszywy dźwięk.

Patrzymy na grajka, uważnie śledzimy jego ruchy, strojenie się i strojenie instrumentu. Lucjan zarzucił derkę na ramiona, przykucnął, oparł się plecami o pień płaczącej wierzby i maksymalnie kuląc ciało przed zimnem, czeka. Marian niewielkim patykiem rozgrzebuje popioły ogniska, jakby szukał w nich ciepła i naszych nocnych rozmów. Ja patrzę to na Lucjana i Mariana, to na Kurde Felka. Czekam. Wszyscy czekamy na gotowość Felka.

Znów przykłada fujarkę do ust, bierze duży zapas powietrza, nadyma policzki i zaczyna ostatni koncert. Nad łąką mleczną płachtą ściele się mgła. Rozpięta między wysokimi górami a niezbyt wyraźnym zarysem odległych domostw, podparta nadrzecznymi krzakami i płaczącą wierzbą okrywa nas niczym wielka kopuła namiotu. Trzmiele, muszki i bezsilne ptaki przysiadły na ziemi i drżą. Wioska wypełza z nocnej magmy nieregularnymi konturami drzew, ostrymi załamaniem dachów. Pod palcami Felka budzi się ze snu pierwszymi okrzykami, echem porwanych słów. Z góry spływa światło, jakby anioł pański wstępował do namiotu, jakby jutrzeńka-panna usiłowała pokazać krasne lica. Góry okryte ciemną warstwą lasu. Po jego południowej stronie, gdzie już spotkały się mgła, poranne światło i brzeg lasu, brodzi kolorowe widmo. Zarzuciło na plecy przetykany łątami worek i posuwa się w głębokim skłonie. Idzie najczęściej na dwóch nogach, ale chwilami podpira się trzecią, w której pojawiają się garście kwiatów. Ręka wyszukuje wśród traw lecznicze zioła i upycha je do ceratowego worka. Marcysia rozpoczęła swój poranny obchód południowych stron lasu. Zioła tutaj dobrze wyrosnięte, wygrzane i mocno narosiałe. Będą skuteczne na dolegliwości psychiczne i fizyczne. Niejedna panna weźmie na zbyt opornego żonkosia, a mężatka na chłopca pijacznę, uchronią przed niespodziewanym pomorem, przed zarazą obronią. Marcysia wszystkim sprzedaje zioła, tylko naśmiewać się nie wolno, ludziom rozpowiadać. Niedużo żąda. Ot, dwa, trzy złote,

kromkę chleba albo nawet gorącą strawę. Dla jej żołądka uwięzionego w pochylonym ciele to wystarcza. Brodzi Marcysia południowymi stokami gór, zbiera zioła i podśpiewuje. Słysząc aż u nas. Pogodna melodia płynie po trawie, po pagórkach, przenika mgłę. A w niej rytmiczne kroki wystukiwane delikatnymi uderzeniami palców Kurde Felka. Mgła unosi się, przesłania Marcysię, przesłania góry, burzy kopułę namiotu. Spod niej wygląda łąka, na którą wyszli kosiarze. Słysząc ostre pobrzękiwanie kos, zgrzyty osełek po stalowych ostrzach i cichy szelest podcinanej trawy. Kosiarze zawinęli rękawy, zawinęli nogawki spodni i drobnutki krokiem krocą na szeroko rozstawionych nogach. W rękach ich złowrogie drzewca zakończone kosami niczym husarskie piki chorągiewkami. Kosiarze płyną. Tylko nieco dziwne ruchy ich rąk. Zamiast mocno trzymać wiosła i zdecydowanie odpychać wodę, krążą zapamiętałe przed żeglarzami. Nawet palce Kurde Felka wykonują podobne ruchy. Nie mogą oderwać się od trzech otworów. Jakby przyklejona maniacko wracają do nich, powtarzają te same uderzenia, więc kosiarze tną trawę. Chwilami ruchy zamierają, to ja wypadłem z tempa, ojciec dogonił mnie i teraz musi czekać. Gdy odejdę, gdy przeraczkuję kawalek, ręce ojca powrócą do tego samego ruchu. Kosiarze podchodzą do rzeki, płuczą kosy w jej wodzie. Słysząc krople, które ściekają z metalu na trawę. Nagle pomieszany tętent. Stado koni wybiegło na łąkę i harcuje po niej. Wychwytujemy konie, pętlimy im przednie nogi i zostawiamy na całą noc. Pod płaczącą

wierzba płonie ognisko. Drewno wesoło skwierczy. Słychać głosy, które wznoszą się i opadają, nieraz przeradzają się w krzyk. Kłócimy się z Lucjanem, żeby już wyjechał do miasta i zostawił nas samych, żeby nie wymyślał sztuczek z wtajemniczeniami, z nocną kąpielą w zimnej wodzie. Lucjan kłóci się z dziadkiem o kobietę, a ja późną nocą wyjeżdżam z ojcem rozklekotanym wozem i kieruję się w stronę najdorodniejszych drzew w lesie. Po pracowitym dniu zachodzę na łąkę. Przychodzą dziewczyny. Żartujemy z nimi, podszczypujemy, zaglądamy pod kiecki i za staniki. Dziewczyny znikają. Skacowani budzimy się z niespokojnego snu. Ognisko przygasło, konie rozeszły się po łące, a my leżymy w rozbabranych legowiskach. Nad nami płacząca wierzba i niktne gwiazdy. Wszystko w porządku, tylko Kurde Felek gra nieustannie, budzi marzenia i denerwuje człowieka. Natomiast gdy nie gra, gdy długo milczy, zaraz tęsknimy i prosimy o muzykę.

— Wystarczy już! — Lucjan przerywa grę Felka. — Zwijamy majdan. Na dzisiaj wystarczy. Muszę wcześniej być u sołtysa. Może on weźmie konia i uczciwie zapłaci? Miał chęć...

Sołtys też chciał kupić konia, bo podobał mu się bardzo. Ma taksówkę, ale szkoda mu niszczyć ją na wybojach podczas objeżdżania naszego sołectwa. Bardzo podoba mu się koń Lucjana.

— Jeżeli się nie zdecydujesz, kupi od Kwaśniewskiego — mówię strasząc Lucjana. — Dzisiejszej nocy miała mu się źrebić kobyła. Do tej pory pewnie się już oźrebiła. Potrzyma jeszcze kilka miesięcy i sprzeda matkę sołtysowi. Przecież też piękna. Kwaśniewski jesienią ciągnik kupuje,

więc po co mu dwa konie...

— Przecież mówiłem, żebyś się zamknął. Gównu cię to obchodzi, gnojku — przerywa mi Lucjan.

Kurde Felek kończy granie. Jest spocony, zdenerwowany. Wiele kosztował go ten koncert. Ogląda piszczałkę, przypatruje się, jej podejrzliwie, jakby zawiodła go, obcą nutą zaciągała. Co prawda nie słyszeliśmy niczego, ale ucho Kurde Felka znacznie czulsze. Jeszcze przygląda się jej podejrzliwie. Ugniata w palcach, tłamsi.

Ukradkiem zerkamy na wychodzące zza gór słońce, na wioskę rysującą się coraz ostrzejszymi liniami. Szybko zwijamy derki, układamy je między gałęziami płaczącej wierzby i pędzimy do koni. Rozpętliwujemy je. Lucjan bardzo się spieszy, jakby sołtys wyjeżdżał, przenosił się na inną planetę. Pospiesza nas, pokrzykuje. W jaskrawym blasku słońca podobni jesteśmy do koniokradów, do dziwkich psów, które podkrały się do zwierząt i wyłapują co ładniejsze sztuki.

Dosiadamy koni. Lucjan już skoczył na grzbiet swojego gniadosza i jak wódz czeka na nas. Znów pokrzykuje, żebyśmy pospieszyli się, nie zabawiali powrozami. Jeszcze tu wrócimy, więc po co je tak pedantycznie układać. Już zapomniał o postanowieniu sprzedania konia. Kurde Felek dosiada swoją szkapę, ja również. Tylko Marian bierze konia za uzdę i podnosi rękę, że jest gotowy. Będzie szedł, nie wolno mu dosiąść gospodarskiego konia. Lucjan daje znak ręką i ruszamy.

Kłusujemy po łące. Pierwszy jak zwykle Lucjan. Ma przecież najdorodniejszego konia, no i wodzem naszym

jest. Za nim Kurde Felek. Połamał piszczalę, jej resztki puścił za wodą, niby chciał pokazać, że już nie będzie mu potrzebna. Głośnymi uderzeniami bata popędza szkapinę, zmusza ją do utrzymania się w szyku. Z trudnością zajmuje to drugie miejsce. Za nim biegnie Marian. Trzyma konia za uzdę, biegnie długim krokiem, żeby również nie zostać, a przede wszystkim nie pozwolić sobie deptać po piętach. Ja znów na końcu, jak zwykle na końcu. Bo i nie spieszo mi pchać się na czoło, pędzić do budowy domu ojca, wychylać się z szyku. Za mną drugi koń, Kurde Felka, koń sąsiada i jeszcze kilka koni. Najbliżej jest koń Felka. Idzie wolno po naszych śladach, wlecze się. Trwożnie stawia patyczkowate nogi. Chudy jest, bardzo chudy, chudszy od konia, którego dosiada Felek. Szkielet-widmo. Z każdym krokiem zostaje, ale Kurde Felek nie dba o niego. Sam trafi do zagrody. Lucjan przyspiesza bieg swojego gniadosza, przechodzi w galop. Kurde Felek wzmaga siłę i częstotliwość uderzeń. Marian jeszcze szybciej przebiera nogami, zbliża się do granicy ludzkich możliwości. Jeszcze przede mną, jeszcze nie musi się oglądać i schodzić ze ścieżki, którą wyznacza Lucjan. Mógłbym go przeskoczyć w jednej sekundzie, zostawić daleko w tyle. Mam przecież bardzo dobrego konia, jeżeli nie najlepszego, to co najmniej tak dobrego jak koń Lucjana. Mógłbym chyba przeskoczyć ich wszystkich w jednej sekundzie. Mimo to jadę najwolniej, bo na końcu. Nie spieszo mi. Mam wiele czasu. Lucjan coraz bardziej oddala się od nas. Wysunął się na te dwadzieścia, trzydzieści metrów. Krzyczy:

— Próbuje teraz! Pokaż, co potrafisz i co twój koń potrafi.

Jego krzyk skierowany jest do mnie i do mojego deresza. Wyzywa nas na pojedynek mimo nierównego startu. Sztuczka chce udowodnić, że jego koń najszybszy, a mój łamaga. Przyjmujemy wyzwanie, podnosimy rękawice. Nie wszystkie szanse stracone. Piętami uderzam deresza po brzuchu. Jeszcze raz i jeszcze. Lejcami okładam po szyi. Zrywa się. W kilku susach nabiera znacznej szybkości. Dopadamy Mariana i jego biedę, przeskakujemy go. Ledwie zdążył odskoczyć na bok i odciągnąć konia. Ustąpił nam z drogi. Człapiący przed koniem Marian nie jest przecież przeciwnikiem ani nawet konkurentem. Po kilku susach deresza musi zostać daleko i wolno mu będzie jedynie obserwować nasz pojedynek. Gonimy za Kurde Felkiem. Jeszcze kilkadziesiąt metrów. Felek widzi nasze poczynania. Popędza swoją szkapę, nie chce się pozwolić dogonić, jakby miał nadzieję, że ucieknie przede mną, że tym razem spełni się jego marzenie. Na niewiele zdają się jego wysiłki. Jesteśmy już tuż-tuż. Dopadamy go i, podobnie jak Mariana, po kilku skokach zostawiamy daleko. Nie zmienia się tylko odległość do Lucjana. Nadal ma znaczną przewagę. Jego gniadosz nabrał maksymalnej szybkości, ledwie sięga kopytami ziemi. Lucjan dokładnie przylega do końskiego grzbietu, niemal zlał się z nim. Jeździec i koń tworzą jedną bryłę. Brak im tylko skrzydeł. Poszybowałiby lotem jaskółki, a tak są kamieniem

rzuconym przez wielkoluda. Szpilkuje konia obcasami, puszcza na wędzidłach. Niech mknie, niech będzie szybszy od jaskółki. Musi dorównać koniowi Lucjana. Co tam dorównać, prześcignąć go. Koniu, mój koniu! Mocne twoje nogi, ostre kopyta. Goń wiatr, co przed nami pędzi. Nie pozwól mu uciec i być lepszym od ciebie. Koniu, pomogę ci! Połaskoczę po żebrach, zadam taki ból, że uciekając przed nim, przegonisz wiatr. Będziemy lepsi. Masz długie nogi, koniu. Jednym skokiem połykasz kilka metrów, nie żałuj ich. Masz bardzo pojemne płuca, oszczędzaj oddechu. Powstrzymuje cię i nadaremnie tracisz siły. Oszczędź sobie zbędnego robienia bokami. Każdy oddech jest przeciwny kierunkowi twojego lotu, naszego lotu, pamiętaj o tym. Widzisz, już zbliżyliśmy się nieco. Tamten niedługo zacznie słabnąć, a tyś przecież mocny, mocniejszy od Sobola. Możesz połykać przestrzeń kilometrami. Gdy jeszcze trochę przyspieszysz, tamten załamie się, może nawet zrezygnuje z dalszej walki?

Modłę się do deresza, rozmawiam z nim jak z człowiekiem, używam bardzo idiotycznych argumentów. Nigdy jeszcze tak nie rozmawiałem. Nawet z Sobolem tak nie rozmawiałem. Zwykle używałem bata i lejców, chodząc po polu za koniem. Teraz już one nie wystarczają. Potrzeba słów-cudów. Bata nie mam, wypadł z ręki, gdy podrywaliśmy się do skoku. Lejce są krótkie, można nimi tylko kierować zwierzęciem. Jeszcze nogi mogą popędzać, ale narzuciły się już. Bolą w kolanach i udach, stają się watawowe. Pokonuję ich sztywność, ich ból i bodę konia po

brzuchu. Dodaję mu skrzydeł, popycham. Nogi nie wystarczają. Zbyt ważna to chwila, żeby tylko im ufać. Trwa próba sił mojego i Lucjana konia, próba zapowiadana od dawna, od mojego wariackiego wypadu na łąkę, od poklepywania ramion i zachwytu nad moim rumakiem. Lucjan obawiał się równego startu, chce pokonać mnie sztuczką, jak dziadka pokonał i Józka Baryłę. Zaproponował wyścig w momencie, kiedy miał znaczną przewagę. Skoro mój koń jest lepszy, niech dogoni. Podnieśliśmy rękawicę, bo nie było innego wyjścia i pędzimy w kierunku wioski, jakby wyjątkowo spieszyło nam się do budowania naszego domu. Bieg deresza można uznać za nadmierną gorliwość, za całkowite pogodzenie się z wariactwem mojego ojca. Przed nami pędzi Lucjan. Może wreszcie podjął ostateczną decyzję wyjechania i nie o wyścig mu chodzi, o sprawdzenie możliwości naszych koni, a tylko wielka potrzeba go tak pędzi? Znów nieco zbliżyliśmy się do niego. Gdyby zatrzymał się, wystarczyłoby kilka dużych susów. Ale on pędzi, on gna. Odrabiamy odległość centymetr po centymetrze. O zrezygnowaniu nie może być mowy. Przed nami wioska. Ten spłoszony zając, który przycupnął między górami, jak w głębokiej bruździe, gdy o pierwszym zmroku wyjeżdżaliśmy na łąkę, ten rozmazany i ciągle drżący w płomieniach ogniska cień, spotęźniał, rozrósł się i przyciąga nas do siebie jak magnez. Coraz boleśniej więc bodę obcasami butów końskie boki. Pod pozorem gonitwy i sprawdzania możliwości naszych koni pędzimy do wioski. Wielka cisza. Słyszać tylko stukot kopyt końskich i świst wiatru w uszach. Wioska zbliża się. Uważnie

wpatruję się w jej wydłużony kształt, zaczynam rozróżniać poszczególne drzewa, nazywać imionami właścicieli poszczególne zagrody. Odnoszę wrażenie, że drzewa podskakujące w rytm uderzeń końskich kopyt, falują na moje powitanie jak flagi na wietrze, pochylają się w ukłonie, niby witały, i dostrzegając moją szaleńczą jazdę, wysoko unoszą wierzchołki. A domy wytrzeszczonymi ze zdziwienia oknami oczekują, czy pokonam Lucjana, czy mój koń będzie szybszy. Odległość między mną a Lucjanem gwałtownie maleje, choć jeszcze w dalszym ciągu jest znaczna. W uszach, w dolinie, a może w wiosce rodzi się nowy dźwięk. Coś jak rytmiczne stukanie, uderzanie kamieniem o kamień albo powolny bieg dziecka z kijem po sztachetach. Jeszcze mocniej spinam konia. Jest, jest... Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ojciec stuka siekierą. Bardzo wcześniej zabrał się do niej. Może całą noc stukał? Mogłem nie słyszeć. Niejeden raz zastanawiałem się, czy w ogóle sypia? Często po wieczery wychodził na podwórko i nie mogłem się doczekać jego powrotu, a rano budził mnie rytmiczny stukot siekiery. Koniu, widać już zagrodę, słyszeć odgłosy pracy gospodarza. Chyba ci coś to mówi i do czegoś zobowiązuje? Koniu, mój koniu?! Świst w uszach nasila się, wiatr wzmaga. Coraz wyraźniej słyszeć siekierę ojca. Przewaga Lucjana zaczyna szybko topnieć. Już go mam, już pokonam. Jeszcze tylko kilka susów. Koniu, za chwilę chwycisz ogon wiewający przed oczami, ucapisz się go z całych sił. Posił się teraz głębokim oddechem. Za moment nie będzie na to czasu. Zbyt długo nie

możemy biec równolegle. Opadniesz z sił, przegrasz. No widzisz? Już zostali. Lucjan, chociaż całą nadzieję pokładał w gniadoszu, zmuszał go do biegu kilkudziesięcioletnim doświadczeniem, przegrał. Teraz musimy utrzymać przewagę jednego skoku, nie dać się wyprzedzić. Koniu, już nie będę cię popędzał, pomkniesz sam, unosząc mnie na grzbiecie, w kierunku wioski. Słyszysz uderzenia siekiery. Uchwyć ich rytm, to dodadzą ci sił. Pędź tak dalej!

Lucjan zostaje, mam już przewagę kilku skoków. Nie dogoni, nie nadrobi. Jego potrzeba jest słabsza niż moja, niż ojca potrzeba, bo dyktowana kaprysem, zachcianką leniwego chłopca. Nie moja, ojca potrzeba. Mam przecież niby zapewniony państwowy dom w akademiku, nie muszę budować innego. Wolałbym las, który został ścięty na budowę. Niechby stał, niechby szumiał, niechby ocieniał nas przyczajonych w miłosnym uścisku, a nie powalony i nagi leżał okorowanymi pniami pośród śmieci podwórka.

Daleko zostawiając Lucjana, mijamy łąkę, zbliżamy się do ogrodu. Uważnie go obserwuję. Między suchymi kikutami gruszy i jabłoni nie ma ojca, jakby już całkowicie zapadł się w ziemię, skarłał do wymiarów maleńkiego robaczka. Raczej opromieniony ideą budowania przeniósł się spod kalekich drzew na podwórko, niby na wielki plac budowy. Przecież słychać odgłosy jego pracy. I choć nikt nie kiwa na mnie ręką ani nie zachęca do powrotu, jeszcze pospieszam konia. Sam, z własnej woli wracam. Zbliżamy się do podwórka. Wpadamy w wielkim pędzie spragnieni

jego widoku, jakby po kilkuletniej nieobecności. Deresz nagle staje głęboko zarywszy kopytami w ziemię, a ja fikam przez jego łeb kozła. Wygląda na to, że koń poniósł mnie do wioski i zrzucił na podwórko. Podnoszę się z trudem. Całe podwórko zavalone świeżo okorowanymi pniami. Pośrodku nich stoi ojciec. Potężnie rozrósł się w barach, nogi wydłużyły się i wysoko nad ziemią dzierżą korpus ciała, nawet ta kulawa dorównuje zdrowej. Czapkę odsunął ojciec na tył głowy, odsłaniając wysokie czoło, i uśmiecha się szerokim rozciągnięciem warg. Zamienił się w wielkoluda, w tego symbolicznego bohatera książki. W ręce trzyma dużą siekierę. Za chwilę znów będzie ociosywał sosnowe pnie, wyrąbywał w świeżym drewnie DOM.